



Z PAMIĘTNIKA
ZAJĘTEJ

WRÓŻKI

EWA ZDUNEK

EWA ZDUNEK

Z PAMIĘTNIKA
ZAJĘTEJ

WRÓZKI



EDIPRESSE
Książki

Dla moich dzieci. Wszystkich.

4 września, niedziela

Debiut telewizyjny okazał się nie taki trudny, jak przewidywałam. O wiele większy stres przeżyłam w charakteryzatorni, gdzie pani Kasia załamała rękę, widząc, jak jestem ubrana. Wtórował jej pan reżyser, czyli Sławek M., w odróżnieniu od Sławka W., czyli operatora kamery. Ubolewali, że nie włożyłam cygańskiej kiecki, najlepiej w czerwono-fioletowy wzór, nie obwiesiłam się złotymi łańcuchami zdobnymi w amulety z króliczych łapek, a w uszy nie wpięłam kół młyńskich. Na domiar złego jestem blondynką, nie brunetką, tylko oczy mnie ratują. Ciemne i diabelskie, jak to pięknie określił Sławek W. No cóż, współczesne wróżki wyglądają zupełnie zwyczajnie, niestety. Poinformowałam zebranych, że miotły też już nie używam, i zasiadłam przed kamerą.

Do programu zostałam zakwalifikowana przez portal ezoteryczny, który uznał, że będzie to świetna reklama zarówno mojej osoby, jak i firmy. Przekonywali, że doradcy pracujący na wizji wręcz nie mogą opędzić się później od klientów, zatem te dwa dwugodzinne dyżury w tygodniu to bez mała prezent dla mnie, bo oni tylko trochę przy tym zyskają. Zgodziłam się. Nigdy nie występowałam przed kamerą, ale w końcu do odważnych świat należy. Trzeba mierzyć się ze swoimi słabościami. Chciałam też zaimponować Markowi, mężczyźnie mojego życia, który także realizował się zawodowo. Pragnęłam, by poczuł się dowartościowany tym, że odnoszę sukcesy jako telewizyjna wróżka. Wydawało mi się, że telewizja sama w sobie będzie magiczna, że klienci, którzy zatelefonują po programie, będą bardziej egzaltowani, bardziej uduchowieni i ich pytania od razu wzniosą mnie na wyżyny duchowej doskonałości. Ogromnie cieszyłam się, gdy pozytywnie przebrnęłam przez casting i zostałam zakwalifikowana do pracy na wizji, oprócz zaledwie pięciu innych osób. Uznałam to za osobisty sukces i coś w rodzaju awansu w pracy. Wprawdzie zaproponowane warunki finansowe nie mają nic wspólnego z telewizyjnym blichтром, ale jak wyraził się producent programu: „Jak się wylansujesz, to pieniądze będą ci same kapać z kranu!”.

Przed emisją spędziłam sporo czasu w charakteryzatorni, gdzie pani Kasia robiła, co mogła, żebym nie świeciła się „w obrazku”. A ja uparcie się świeciłam. Nie żeby specjalnie, tylko byłam okropnie zdenerwowana. Mój dyżur przypadał podobno na godziny największej oglądalności; wróżka, która prowadziła program przede mną, ściągnęła sporo połączeń, tak mi powiedzieli. To jak miałam się nie denerwować.

Pani Kasia robiła, co mogła. Nawet starała się „wydobyć moje rzęsy”, przez co nie mogłam potem mrugać powiekami, bo były zbyt ciężkie. W lustrze sama siebie nie poznałam, ale istotnie, wyglądałam pięknie.

Pierwsze połączenie dotyczyło snu, a jakże. Pani z przejęciem opisała mi, jak to się jej przyśniło, że w bardzo schludnym pokoju ściany zaczynały na nią napierać. Ona natomiast siedziała po turecku na stole i zawzięcie robiła szydełkiem serwetkę. I co to znaczy? Oba Sławki i reszta ekipy zastygli w oczekiwaniu, co powiem.

– Kochana pani – zaczęłam spokojnie – czy aby przypadkiem nie boi się pani zmian w swoim życiu? Zdaje się, że jest pani zatwardziałą konserwatystką?

– Owszem, nie lubię zmian – przytaknęła klientka. – Wszystko, co nowe, mnie przeraża.

– No właśnie, a to niedobrze. Zmiany w życiu są potrzebne i konieczne. Pani podświadomość wyraźnie panią ostrzega, że już wkrótce coś się w pani życiu zmieni i należy się na to przygotować. To szydełkowanie, cierpliwe tkanie kolejnych fragmentów pani życia, może stać się bardziej misterne, a może – mało skomplikowane...

– Aha – ucieszyła się klientka. – Bo ja teraz mieszkam u siostry, już drugi miesiąc, pomagam jej urządzać mieszkanie i tak się zastanawiałam, czy już nie pora wrócić do siebie, ale ja tak nie lubię zmian...

Później zatelefonowała kobieta, która przez parę minut dopytywała się, czy jest na wizji, bo się nie widzi. Panowie S. kucali ze śmiechu. Gdy w końcu udało mi się ją przekonać, że na wizji pojawia się jej głos, nie twarz, jakkolwiek to brzmi dziwnie i niesamowicie, uspokoiła się, że to nie jest żadne oszustwo i naciąganie ludzi na koszty, i zadała mi pytanie:

– Pani wróżko, czy powinnam rozwieść się z mężem? Bo w sklepie z butami obsługiwał mnie taki przemiły pan, który bardzo mi się spodobał, i gdy poszłam tam jeszcze raz, to zaproponował mi wspólny wyjazd do Zakopanego. Do tej pory wyjeżdżałam tylko z mężem i zwykle już pierwszego dnia urządzał mi sceny zazdrości o recepcjonistów, kelnerów i kierowców taksówek. Stawało na tym, że większość czasu spędzałam w pokoju, samotnie, bo mąż chodził zorientować się w infrastrukturze hotelu. Robił to konsekwentnie i bardzo skrupulatnie codziennie, aż do dnia wyjazdu. Potem kwitował inspekcję jednym stwierdzeniem: „Nie było warto tu przyjeżdżać!”. Zawsze wyrażał niezadowolenie: jedzenia było za mało albo za dużo, było ono za gorące lub za zimne, ewentualnie podane nie w tej kolejności, co należy. W Hiszpanii narzekał na upał, choć to on uparł się, żeby pojechać w lipcu, we Włoszech nie podobało mu się, że w sierpniu są korki na autostradach, a w Finlandii w styczniu drażnił go śnieg na chodniku. Zabytki w Grecji ocenił: „Kupa gruzu, nic ciekawego!”. Po trzech latach małżeństwa oznajmił, że musi się ze mną rozwieść, bo jestem absolutnie nieciekawą osobą o ciasnych horyzontach, której nic nie interesuje. Jednak to on w Luwrze wolał zwiedzać toalety, a w Turcji oświadczył, że do żadnego Stambułu nie pojedzie, bo boi się terrorystów.

No i ten nowo poznany mężczyzna wyznał, że zakochał się we mnie od pierwszego wejrzenia i chętnie pojedzie, chociaż nie ma pieniędzy, bo mu mało płacą. Co ja mam zrobić?

No cóż, gdy tylko padł ostatni znak zapytania, klientkę rozłączyło, a zaraz potem nadali reklamy. Ekspozycja podpasek, proszków do prania i batoników sprawiła, że jakoś głupio mi było dawać tej kobiecie życiowe rady. Niestety, zderzenie z rzeczywistością często bywa bolesne.

No i cóż, praca jak praca, pomyślałam, te same pytania, te same odpowiedzi, tylko w nosie nie można podłubać, bo wszyscy widzą. Tymczasem stres jest ogromny. Dziwnie się czułam, patrząc nie wiadomo gdzie, odruchowo mówiłam do operatora, który stroił miny, i to wytrącało mnie z równowagi. Po dwóch godzinach takiej pracy moje ubranie można było spokojnie wyżymać nad umywalką. Kolejny dyżur w czwartek. Na razie dwa razy w tygodniu, bo mają zobaczyć, jak się „sprzedaję”. Potem może będzie częściej. Ojcu oczywiście nie powiedziałam, dyżury są po południu i wieczorem, może nie przełączy akurat na ten kanał w telewizji.

Roksana trochę mi zazdrości. Ukończyła właśnie specjalny kurs, jak prezentować się publicznie, i wyraźnie dała mi do zrozumienia, gdy wychodziłam z domu, że mogłabym i dla niej coś tam wyszukać. Tylko co? Pranie na ekranie? Program o gotowaniu pościeli w krochmalu albo o przyszywaniu guzików? Pewnie skrytykuje mnie, wytknie wszystkie potknięcia na wizji. Trudno, oby tylko nie wygadała się ojcu.

5 września, poniedziałek

Marek powiedział, że świetnie wypadłam, Roksana była wprost zachwycona, choć nie wiem, czy ten zachwyt nie był trochę udawany, a Jacek tylko zapytał, czy istotnie te wszystkie telefony i SMS-y pochodziły od widzów, czy to była tylko taka ustawka.

Ojciec znów się do mnie nie odzywa. Akurat w tę niedzielę poszedł z wizytą do właścicielki zakładu pogrzebowego, pani Danusi, i ta naturalnie musiała mieć włączony telewizor, ustawiony na odbiór kanału ezoterycznego. Ściszyli głos, dlatego ojciec z początku zrozumiał, że załapałam się do pracy w telewizji jako takiej, może jako prowadząca główne wydanie „Wiadomości”. Chwalił się na prawo i lewo, że będę pracować jako dziennikarka, agitował do oglądania programu, który poprowadzę, a teraz twierdzi, że celowo wprowadziłam go w błąd i nie może przeze mnie pokazać się na osiedlu.

Fakt, że dzięki telewizji, a może także po trosze dzięki mojemu ojcu, który wykazał się niezwykłą wprost skutecznością w reklamowaniu mojej osoby, jestem bardziej rozpoznawalna. Mój telefon nie przestaje dzwonić, a drzwi do pralni wczoraj wypadły z zawiasów, i to bynajmniej nie dlatego że tyle osób postanowiło

skorzystać z naszych usług. I pomyśleć, że raptem wczoraj wieczorem pojawiłam się w „okienku”. Telewizja jednak ma siłę rażenia!

7 września, środa

Pani z warzywniaka uraczyła mnie dziś darmowym pęczkiem rzodkiewek. Jak się wyraziła: „To taki mały ukłonik w stronę pani wróżki, by napomknęła, że rzodkiewka ma magiczną moc uzdrawiania!”. Uprzedziłam ją, że nie mogę nic reklamować podczas programu, ale ona tylko pokiwała głową i mrugnęła do mnie porozumiewawczo. Nie podoba mi się to, może poszukam innego warzywniaka?

Roksana jest w swoim żywiole, ona lubi, gdy coś się dzieje. Mnie to i cieszy, i martwi, bo przecież w pralni, przed południem, pracuję czasem dla ojca, możemy wtedy chwilę być ze sobą, porozmawiać, bardzo chciałabym wreszcie jakoś znormalizować te nasze relacje, a on znów obrażony. To nie moja wina, że ludzie bardziej wolą prac swoje emocje niż gacie i prześcieradła.

Marek też już przestał się ojcu podobać. Z początku ojciec go oceniał jako bardzo przyzwoitego faceta, który wreszcie poukłada mi w głowie. Teraz nie mówi o nim inaczej, jak tylko „ten ciamajda” oraz stanowczo twierdzi, że prędzej interes przekazałby krasnoludkom niż jemu. Od prawie tygodnia stale powtarza mi, że nic z tego nie będzie, i gdyby to był porządny chłopak, to już dawno, po tych moich telewizyjnych wygłupach, wzięłby nogi za pas.

Ale Marek jest cudowny, niech tam ojciec mówi sobie, co chce! To Mój Książę z Bajki. Nie mogłam wymarzyć sobie bardziej romantycznej historii, która by wprowadziła mnie w relację z mężczyzną. Chyba zakochałam się w nim po uszy. Z rozczeniem patrzę, gdy śmiesznie podnosi jedną brew, kiedy się czemuś dziwi, albo gdy bezwiednie drapie się po głowie. Uwielbiam jego spokojny, ciepły głos i ogromny spokój, który ogarnia i mnie, gdy jesteśmy razem. Marek prezentuje bardzo zdrowy dystans do świata, woli grać rolę obserwatora, niż angażować się w coś bezpośrednio, wspaniale się uzupełniamy, bo ja lubię dużo mówić, a z niego raczej milczek. Marek wiele doświadczeń pozytywnych przywiózł z Anglii, tam właśnie nauczył się nie uzewnętrzniać za bardzo swoich pragnień, odczuć, myśli. Myślę, że to dobre podejście. I nie obchodzi mnie, że Marek nie podoba się ani Roksanie, ani mojemu ojcu. Ona jest po prostu zazdrosna, a mojemu ojcu nikt jeszcze nie dogodził, wieczny malkontent.

8 września, czwartek

Marek telefonuje do mnie częściej niż klienci. Nawet bywa tak, że na kilkanaście połączeń w ciągu dnia co najmniej kilka pochodzi od niego. To miłe i jak najbardziej wskazane, choć obiektywnie patrząc, chyba irracjonalne, skoro po zakończeniu rozmowy telefonicznej, raptem po kwadransie, już rozmawiamy twarzą w twarz. Ale i tak jest fajnie.

Rozkwitłam, widać to na mojej twarzy, po sylwetce, w moim zachowaniu, nawet sukienki noszę teraz bardziej ozdobne niż wcześniej. No i postanowiłam, że będę idealną narzeczoną, a później żoną. Nauczę się gotować, perfekcyjnie sprzątać, robić rozsądnie zakupy, wspaniale prowadzić dom, zgłębię tajniki doskonałego seksu, codziennie będę się gimnastykować, żeby uzyskać figurę bez skazy i oczywiście wszystko to dla ukochanego mężczyzny. Jutro opracuję sobie plan zadań. Nikt mi już nie zarzuci, że jestem do niczego, że nie potrafię nic światu zaoferować. Udowodnię ojcu i wszystkim innym, że wiem, co robię, moje działania są przemyślane i nie trzeba stale mnie niańczyć. Wyszukiwać mi męża i układać przyszłości. Relacja z Markiem to wstęp do nowego życia, mojego, własnego i samodzielnego. Z Markiem w charakterze partnera.

Gdy robiłam dziś zakupy w warzywniaku, spotkałam babcię Jurka. Zdziwiłam się, że widzę ją samą, i już przestraszyłam, że znów coś się stało, ale po chwili pojawił się obok niej Jurek. Babcia ostatnio stale mu ucieka, musi ją mieć na oku jak małe dziecko. To trochę uciążliwe, ale Jurek upiera się, że nie odda babci do zakładu dla osób starszych i stara się jakoś sobie radzić. Może dlatego został pisarzem? Dzięki temu może pracować w domu i jednocześnie opiekować się babcią. Podziwiam go, bo w gruncie rzeczy nie jest panem swojego czasu, wszystko zależy od kondycji psychicznej i zdrowotnej jego babci. Lubię Jurka, jest zawsze taki pogodny i zdystansowany do świata. Jego książeczki z opowieściami i bajkami dla dzieci nikt nie chce wydać, podobno takie książeczki nie sprzedają się dobrze. Trudno mi w to uwierzyć, bo zabawne historyjki o życiu, opowiedziane z perspektywy psa, brzmią naprawdę ciekawie, jestem pewna, że moi Kora i Bolek też mogliby wiele opowiedzieć. Dlatego Jurek rozważa napisanie horroru, to – jak powiedział mu wydawca – murowane pieniądze. Na razie pisze, żeby zarobić. Długo nie chciał się przyznać, co to za twórczość. Dopiero kiedy jego babcia podeszła do mnie i powiedziała: „Jerzyk napisał bajkę dla naturystów!” – domyśliłam się, co pisze. No cóż, trzeba jakoś zarabiać na życie.

Wierzę w Jurka i wierzę w jego książki. Umówiliśmy się na wieczór, gdy babcia położy się spać, a ja wrócę z telewizyjnego dyżuru. Jurek przyjdzie i przeczyta mi kawałek historii o wampirach, którą zaczął pisać. Zapalę świece, włożę długą czarną suknię i urządzimy sobie wieczór strachów. Wróżka i twórca wampirów! Może Marek do nas dołączy? Z treści SMS-ów wynikało, że nie ma dziś dużo pracy. Ale też nie odzywał się w inny sposób przez cały dzień, więc może jednak zajęty?...

wieczorem

Moim zdaniem to hit. Markowi się nie podobało, wyszedł dość wcześnie, tłumacząc się jakąś pilną robotą. Trochę głupio wyszło, bo nie uprzedził, że wpadnie, i gdy przyszedł, zastając mnie i Jurka siedzących przy zapalonych

świecach, to tak dziwnie popatrzył, że humor mi się od razu zwarzył. Pokręcił się chwilę po mieszkaniu i poszedł sobie. Mam nadzieję, że nie obraził się śmiertelnie. W sumie istotnie nie wypadło to dobrze, moja wina, powinnam była przewidzieć.

Przed wyjściem Marek zdążył jeszcze skrytykować dzieło Jurka, choć przeczytał raptem kilka stron. Jurek taktownie nie odezwał się, ale zauważyłam, że też był zły.

A ja uważam, że świetna jest ta historia o rodzinie Drakulowskich. Muszę sobie kawałek zanotować i kiedyś, gdy Jurek będzie sławny, pokażę ów fragment zanotowany w pamiętniku i powiem: *Proszę uprzejmie, radził się mnie, czy to dobry temat, a ja od pierwszych stron wiedziałam już, że tak. To dzięki mnie dokończył swoje dzieło i teraz jest sławny!*

9 września, piątek

Marek jest cudowny. Będę tak zaczynać każdy codzienny wpis. Naprawdę cudowny. Wysyła mi buźki SMS-em co rano i telefonuje w ciągu dnia. Ogromnie słodkie to z jego strony, gdy zaczyna rozmowę od słów: „No, co tam?”. Potem spokojnie słucha, gdy ja opowiadam i opowiadam. On sam niewiele mówi o sobie, ale to przecież nieważne. Znamy się dopiero kilka tygodni, a mam wrażenie, że od zawsze. Chyba odnalazłam wreszcie swoją bratnią duszę.

Wyszedł dziś z propozycją, żebyśmy zamieszkali razem. Najpierw ogromnie się ucieszyłam, a potem ogarnęły mnie wątpliwości. Jak to będzie? Dopiero co wyprowadziłam się od ojca i bardzo dobrze jest mi samej, gdy nikt nie płacze się po mieszkaniu i nie zgłasza pretensji o niepozmywane naczynia. Gdy mam ochotę zostawić mokry ręcznik pośrodku podłogi, to nikt poza mną o tym nie wie.

Może za bardzo przywykłam do roli samotnej? Świadczy o tym fakt, że stale podejmuję decyzje, rozważając przede wszystkim własne racje. Nie patrzę na świat z perspektywy dwóch osób, tylko jednej. Wiem, że krótko się znamy, ale wydawało mi się, że tak właśnie będzie, gdy poznam tego jednego jedyne. Tymczasem on jest, istnieje, a ja wciąż w myślach używam liczby pojedynczej, nie mnogiej.

Kto ma się do kogo przeprowadzić? Ja do Marka czy Marek do mnie? Przyzwyczaiałam się do tego, że wychodzę rano w kapciach i płaszczu zarzuconym na szlafrok, żeby wyprowadzić psa na trawnik przed domem. Sąsiedzi także już oswoili się z widokiem nas obojga, zaspanych, gdy sterczymy razem na trawie, pochrapując z lekka.

U Marka byłoby to niemożliwe. Przede wszystkim dlatego że przed jego domem nie ma trawnika, tylko elegancki klombik i przepiękna kostka brukowa. Musiałabym wyjść poza zagrodzony teren eleganckiego osiedla, tutaj nie uświadczysz nawet jednego centymetra kwadratowego trawnika, na który pies mógłby nasikać. Poza tym nawoływania Bolka dochodziłyby nawet do sąsiada

z sąsiedniego bloku, bo ściany w jego budynku są z papieru. Wczoraj słyszałam, jak pani mieszkająca obok siorbała herbatę.

Z kolei Marek także nie bardzo chce rozstawać się ze swoim mieszkaniem, w którym wszystko sobie zorganizował. On, podobnie jak ja, pracuje w domu. Projektuje strony internetowe i grafiki komputerowe. Odpowiednie połączenie wszystkich kabli, ustawienie światła padającego na ekran komputera, wyciszenie ścian w jednym z pokoi, żeby mógł się skupić, tego wszystkiego pewnie nie mógłby przenieść, od tak, do mojego starodawnego mieszkania w kamienicy. Jeden pokój jest zawsze zamknięty – Marek twierdzi, że znajdują się tam superczułe urządzenia i musi utrzymywać je w sterylnych niemal warunkach. Otwieranie drzwi powoduje przedostawanie się kurzu, dlatego prosił, abym tam nie wchodziła. No to nie wchodzę, poza tym i tak są zamknięte na klucz.

Zatem kwestia wspólnego zamieszkania na razie zawisła w powietrzu jako nierozstrzygnięta. Marek przestał nalegać, choć wyraził dezaprobatę dla mojego niezdecydowania. Mnie samą też to zaskoczyło, ale – szczerze? – odczułam ulgę, że ustąpił.

I dobrze, bo gdy wczoraj otworzyłam szafę w sypialni, po chwili doszłam do wniosku, że wszystko, co się tam znajduje, jest mi absolutnie potrzebne, niczego nie mogę wyrzucić, a co za tym idzie, należałoby kupić nową szafę i wstawić ją nie wiadomo gdzie, uznałam więc, że problem na razie jest nie do rozwiązania. Podobnie zresztą jak zagadnienie, czy weźmiemy ślub, czy nie, jeśli tak, to gdzie i w jakiej formule, i kiedy, poza tym, czy zorganizować wesele, czy nie, a jeśli tak, to wystawne czy skromne, a jeśli skromne, to czy zapraszamy tylko najbliższą rodzinę, czy rodzinę i najlepszych przyjaciół, czy nikogo, tylko świadkowie i my, czy jedziemy w podróż przedślubną czy poślubną, czy też w jedną i drugą... Ech, jakie to wszystko jest skomplikowane!

10 września, sobota

Roksana mnie wyśmiała, ona nie przeżywa takich rozterek. W zeszłym tygodniu wprowadził się do niej facet, którego kiedyś poznała w pociągu, ten cały agent służb specjalnych. Zaimponował jej wtedy, bo roztrzaskał na miazgę szklane drzwi do przedziału, tuż przed nosem konduktora. Nie żeby tak specjalnie, ale chciał szybko i nonszalancko zamknąć owe drzwi, które się zacięły, a tak naprawdę to konduktor się o nie oparł. Kazimierz, bo tak nazywa się nowy towarzysz Roksany, a dowiedziałam się o tym całkiem niedawno, szarpnął z całej siły i szyba rozbiła się w drobny mak. Konduktor aż usiadł z wrażenia, bo w pierwszej chwili uznał, że szyba pękła pod naciskiem działania sił nieczystych. Jest bardzo przesądny, a wszystko działo się trzynastego o trzynastej. Tak się przejął, że wysiadł z pociągu, gdy ten zwolnił przed zwrotnicą, nawet chyba biedak nie zauważył, że gna w szczerze pole.

Tak czy owak, Kazimierz Roksanie bardzo zaimponował i zaraz po przyjeździe do Warszawy stanął u jej drzwi z tobołkiem w ręce. Tobołek był mały, a dlaczego tak, tego nie wie nikt, bo to wszystko tajne przez poufne. Dziwny ten Kazimierz, ale w końcu to nie moje zmartwienie. Potem pomieszkiwał u niej czasem, słowa z nikim nie zamienił, a teraz nagle oświadczył, że wprowadza się na dobre i że nazywa się Kazimierz. Ale heca!

11 września, niedziela

W telewizji był wysyp klientów, którzy koniecznie chcieli wiedzieć, co ich czeka. Gdy pytałam, w jakiej dziedzinie, to się rozłączali. Zobaczyłam dziś jedną z tych wrózek, które także dyżurują. Siedziała na korytarzu i pisała SMS-y. Nie zareagowała na moje powitanie, tylko pukała paznokciem w ekran telefonu. Dziwna postać, wysoka, czarnowłosa, może pooglądałam ją kiedyś, jak wróży. Poza tym okazało się, że pani Krysia też się załapała. W niedzielę będzie prowadziła program przede mną, to w przerwach chwilę może pogadamy ze sobą.

Dyżury telewizyjne różnią się cokolwiek od tych telefonicznych, że o spotkaniach nie wspomnę. Są o wiele bardziej męczące. Bywa, że przez ponad dwie godziny nikt nie dzwoni, tymczasem ja muszę siedzieć i się uśmiechać. Jedyne, co mi wolno, to łyknąć herbaty z kubka, a i to bardzo dyskretnie, żeby nie było słyhać siorbania i przelykania. Nawet nie mogę podrapać się po głowie, bo to źle wygląda. Inne wróżki podczas takich przestojów opowiadają dowcipy, snują wizje przyszłości dla świata, dzielą się z widzami swoim doświadczeniem życiowym, opowiadając na przykład o swoich przeżyciach w innych wcieleniach, a ja nie mam pomysłu, jak ten czas sensownie wypełnić. Nie umiem tak mówić i mówić, nie wiadomo do kogo. Najchętniej wzięłabym książkę i poczytała. Nawet na głos. Przekonywałam dziś reżysera, że to świetny pomysł, mogłabym przecież czytać fragmenty książki Jurka, tej o wampirach, akurat wpisuje się w klimat programu.

Sławek M. najpierw narysował sobie kółko na czole, potem jednak poprosił o fragmenty książki. Zatelefonowałam natychmiast do Jurka i powiedziałam mu, co planuję. Muszę wyjaśnić, że zrobiłam to wszystko podczas programu na wizji, w czasie antenowym, nie przejmując się w ogóle, że nie powinnam tak postępować. Ale gorączkowe machanie Sławka W. wzięłam za jakiś tik nerwowy, a może skurcz go złapał, nie domyśliłam się, że daje mi znaki, żebym zamilkła. W końcu skąd mogłam wiedzieć, że te jego podskoki i wymachy to były jakieś sygnały dla mnie. Słuchawka wypadła mi z ucha i nic nie słyszałam. I poszło. Widzowie się zainteresowali i teraz nie ma wyjścia. Będę czytać na wizji fragmenty prozy mojego sąsiada Jurka. Mam nadzieję, że Jurek naprawdę się ucieszył. Przez telefon brzmiało to jakoś dziwnie.

12 września, poniedziałek

Jurek zachował się wspaniale, bo zgodził się, choć jak się później okazało, on nad tą książką dopiero pracuje i niewielu osobom o tym powiedział. Od rana pół miasta zaczęło do niego wydzwaniać, co to za książka, i że oni chcą ją przeczytać jako pierwsi. Jurek, wybudzony nagle, w ogóle nie skojarzył, o co chodzi, i myślał, że dalej śni. Powiedział więc, że pisze i książki, i wiersze, i erotyki, i teraz jego wydawca chce to wszystko naraz, a fragmenty czytane w telewizji, proszę bardzo, świetna reklama. Biedny Jurek, przez miesiąc chyba nie wstanie od komputera. W czwartek, zgodnie z obietnicą, przeczytam na wizji pierwszy odcinek tej historii o wampirach.

Ojciec powiedział mi dziś na schodach, że powinni mnie egzorcyzmować. Czemu nie, mogę nawet poprosić zaprzyjaźnionego księdza. Ksiądz Rafał to przesympatyczny człowiek. Ojciec doskonale go zna, bo pani Danusia współpracuje przecież z pobliską parafią.

Nie rozmawiałam z nim od dawna, chętnie go odwiedzę i zapytam, ciekawe, jak na to zareaguje. Widuję go tylko z daleka, jak biegnie truchtem w powiewającej sutannie. Roksana skrycie się w nim podkochuje. Nic dziwnego, to bardzo przystojny mężczyzna. Czasem żal mnie ogarnia, gdy widzę młodych kleryków, tak pięknych, że miałoby się ochotę postawić ich na piedestale i tylko wielbić. No cóż, Pan Bóg też woli tych pięknych.

Pani Danuta przypomina mi ogromnego pączka. Jest niewysoka, z każdej strony okrągła i strasznie słodka. Prawie każde słowo zdrabnia i wykonuje taki gest, jak gdyby chciała mnie podszczytać w policzki. Wydyma przy tym wymalowane usta w dzióbek i cmoka. Czuję się przy niej jak mała dziewczynka, przypominam sobie wszystkie moje nieczne postęпки i psoty. Zupełnie nie pasowała mi do zakładu pogrzebowego, i słusznie, bo interesem tym zawiadywał jej zmarły mąż, świętej pamięci Henryk Chłodny. Nazwisko w sam raz dla grabarza. Ich syn, Mateusz Chłodny, przypomina nieboszczyka wyciągniętego z chłodni. Chudy, błądy i pozbawiony emocji. Pani Danuta z tą swoją słodką aparycją stanowi tak duży kontrast, że przez chwilę zastanawiałam się, czy to wszystko dzieje się naprawdę.

Biuro zakładu pogrzebowego, który nosi nazwę „Zacisze”, znajduje się na parterze starej kamiennicy, w pobliżu dużego biurowca. W środku też jest raczej chłodno, mam na myśli wystrój i kolory. Dominują biel i czerń, wszystko poważne i surowe. Ojciec zaciągnął mnie tam pod pretekstem pomocy przy zabieraniu czegoś do prania. W istocie chodziło jednak o to, żebym została zaprezentowana gawiedzi zakładu i prawdopodobnie oceniona. Jak jałówka na targu. Mateusz stał i się nie odzywał, pani Danusia szczebiotała za to jak skowronek. Skakała dookoła mojego ojca, jakby był szachem perskim. Panie Stasiu to, panie Stasiu tamto, podsuwała mu herbatkę, ciasteczka, serweteczki, jak małemu dziecku chciała usta

wycierać. Śmieszne to było. Mnie drażniło, jednak mój ojciec miękł z każdą chwilą. Wyraźnie mu się to podobało. Po godzinie zabraliśmy szmaty i poszliśmy do domu. Oględziny zakończone.

Swoją drogą, nie znałam ojca takiego. Gdybym miała go opisać, to użyłabym słów: zrzędlivy, uparty, wiecznie niezadowolony, niechętny nowościom, raczej stroniący od kobiet. Odkąd mama odeszła, zamknął się w sobie i nigdy bym nie pomyślała, że mógłby ponownie się ożenić. Nie wiem, dlaczego rodzice się rozstali. Ojciec nigdy o tym nie mówi, a ja byłam zbyt mała, żeby rozumieć, co się dzieje. Rodzinne tabu. Może kiedyś zgłębię te tajemnice?

Ale zastanawia mnie też nagły zwrot w poglądach ojca na temat księży. Do tej pory uważał Kościół za zupełnie zbędną, pasożytniczą organizację, złożoną z samych frustratów w sukienkach, a teraz nagle taka przyjaźń z księdzem Rafałem. Coś mi się zdaje, że pani Danusia maczała w tym swoje pulchne, zadbane paluszki. Tylko co ona knuje? Ojciec przebąkiwał, że mogłabym puścić w trąbę Marka i pomyśleć na poważnie o Mateuszu, synu pani Danusi. Akurat! Już się rozpędziłam! Gdzie Chłodnemu do mojego Marka!

Notuję jako spostrzeżenie: Kazimierz chodził dziś wokół naszego budynku z pochyloną głową i przypominał w ten sposób psa tropiącego. Cokolwiek zresztą nieuważnego, bo wdepnął w psią kupę. Nie przejął się tym i po kilku okrążeniach wrócił do domu. Ciekawe, czy Roksana też się tym nie przejęła?

14 września, środa

I kto by się spodziewał, że akurat z taką propozycją zgłosi się sam pan Przemek. Zdarzało się, że sprawdzałam w kartach kolejne kandydatki na jego dziewczynę, tym razem jednak sytuacja przedstawia się inaczej. Pan Przemek nie telefonował do mnie już od dawna i sądziłam, że zrezygnował, może znalazł sobie inną wróżkę, którą teraz dręczy, a tu masz! Taka nowina!

– To Białorusinka – rozpoczął pan Przemek. – Przyjechała do Polski na studia, utrzymuje się z robienia odlewów gipsowych. Założyła razem z koleżanką taką pracownię, gdzie produkują popiersia i odlewy poszczególnych części ciała, na życzenie. Marny z tego dochód, ale jakoś to ciągną. Ona jest słodka, gospodarna, niezmanierowana i dość ładna.

– To w czym ja mam panu pomóc? – zapytałam. – Wygląda na to, że już się pan zdecydował.

– No właśnie chodzi o to, że chcę ją tak bardziej romantycznie potraktować – ożywił się pan Przemek. – Jakieś liściki miłosne, jakieś kwiatki z karteczką, fajne oświadczyńy i tak dalej. Ja się na tym nie znam, chcę, żeby mi pani pomogła.

Uśmiechnęłam się w duchu, ponieważ na tyle już poznałam pana Przemka, że wiedziałam, iż potrafi on być na swój sposób bardzo romantyczny, na przykład wręczając zamiast mała praktycznego bukietu, który zwiędnie, pęto kielbasy.

Musiało go nieźle wziąć, skoro postanowił wejść w te – jak to kiedyś określił – „romantyczne bzdury”.

– Dobrze – powiedziałam do słuchawki. – Przygotuję panu stosowny materiał oraz instrukcję. Ale proszę pamiętać, to będą tylko wskazówki. Nie będę za pana pisać listów ani podpowiadać przez telefon, co zrobić. Poza tym muszę trochę więcej o niej wiedzieć. Proszę przesłać mi jej zdjęcie, ja rozłożę karty i jutro panu coś zaproponuję.

Uszczęśliwiony pan Przemek rozłączył się, niedługo potem przesłał mi fotografię swojej dziewczyny, która nosi bardzo oryginalne imię: Hortensja.

Jest to szatynka o zielonych oczach, trochę puciołowatej buzi, z dołeczkami na policzkach, taka sobie: ani ładna, ani brzydka. Uwieczniono ją w otoczeniu własnej twórczości. Tuż za dziewczyną dał się widzieć gigantyczny męski łeb, z którego wyrastały dwie damskie dłonie. Ona sama trzymała odlew czegoś, co mogło być zarówno biustem okazałych rozmiarów, jak i całkiem krągłymi pośladkami. Na podstawie podobizny mogłabym powiedzieć: zwykła, przeciętna dziewczyna, mało przebojowa, raczej prostolinijna, może trochę naiwna. Jednak gdy rozłożyłam karty, te opowiedziały zupełnie inną historię.

A mianowicie, że Hortensja jest nieszczerą, bardzo materialnie nastawioną do świata, inteligentną, przebiegłą i dość bezwzględna. Skąd takie rozbieżności? Wrodzona ciekawość podpowiadała, by jeszcze zbadać tę sprawę, zdrowy rozsądek zaś nakazywał trzymać się od tego z daleka. Nie wiem jeszcze, co zrobić. Na razie postanowiłam, że wybadam pana Przemka, jak on ją postrzega, do tej pory mówił mi o niej niewiele. Same ogólności. Wiem, że jutro wybiera się do niej w odwiedziny. Dziewczyna mieszka ładnych parę kilometrów stąd. Dlatego widują się przeważnie podczas weekendów. Może poproszę o pomoc Ryszardów, tylko muszę mieć próbkę jej pisma. Choć właściwie pani Zosia także zdalnie powinna dać sobie z nią radę.

Kilka dni temu podpytywałam ją w sprawie tego gościa Roksany, powiedziała, że facet mocno kręci, ale to nie jest łobuz, raczej naiwny ciamajda. Na razie zachowuje się bardzo dziwnie. Kazimierz, nie pani Zosia. Twierdzi on, że jest agentem wywiadu i dlatego nie może nikomu dokładnie powiedzieć, gdzie pracuje. Kąpie się dwa razy dziennie i skrapia potem obficie perfumami Roksany. Zjada tony jajek i większość dnia spędza przed telewizorem. Gdy ich wczoraj odwiedziłam, to długo coś przeżuwał. W ustach. Roksana mówiła, że on tak zawsze, stale coś żuje. Niewiele mówił, tylko żuł, pokazał mi gestem, że nie może gadać, bo... żuje.

Zdaniem pani Zosi to będzie niezwykła znajomość. Że ten człowiek coś ukrywa i to niedługo wyjdzie na jaw, a potem wiele się jeszcze wydarzy. Niestety, postąpiłam nieopatrnie i zapytałam również, co ona sądzi o Marku. Pani Zosia zmarszczyła brwi i rzekła:

– Uważaj na niego, on ma wiele tajemnic, o których nikt nie wie. Może być niebezpieczny, choć tobie raczej krzywdy nie zrobi. Ale bądź ostrożna, nie ufaj mu z nadto.

I co ja mam teraz zrobić? Przecież już się w nim zakochałam!

15 września, czwartek

Marek uznał za stosowne poinformować mnie, że jest niezwykle wprost zazdrosny. Nie sprecyzował tylko o kogo, czy o dziewczynę pana Przemka, czy o pana Przemka, czy o tajemniczego Kazimierza, a może o klientów pralni płci męskiej. Fakt, ostatnio stale o nich mówię. Może miał przesyt? Wyrzucił to z siebie rano, przez telefon, i się rozłączył. Dlaczego on wszystko przekazuje mi telefonicznie?

Ale i tak uważam, że to jest słodkie. Takie męskie. Zazdrość w relacji jest potrzebna niczym przyprawa w zupie, oby tylko nie za dużo. Wciąż mam w pamięci słowa pani Zosi, ale jakoś nie mogę w to uwierzyć. Marek groźny? Niemożliwe!

Mój ukochany Marek, który co rano wysyła mi tuzin uśmiechniętych słoneczek, pozdrawia w ciągu dnia, życzy dobrego ranka, pięknego przedpołudnia, wspaniałego popołudnia, cudownego wieczoru i słodkich snów! Nie ma na świecie bardziej oddanego mężczyzny niż Marek. Przy tym stale powtarza mi, że już zawsze będziemy razem, nikt ani nic nas nie rozłączy. Jak mogłabym zatem nie wierzyć Markowi?

Spotkałam się dziś z Jackiem, moim znajomym psychiatrą, spotkanie w biegu, bo on wyjeżdża na jakiś staż do Ameryki Południowej. Nie będzie go prawie pół roku, wraca dopiero w marcu. Korzystając ze swojego specyficznego poczucia humoru, oznajmił, że liczba spotykanych wariatów jest tak duża, iż musi pojechać gdzieś, gdzie wreszcie porozmawia z kimś normalnym. Akurat tam mu się to uda! Powodzenia. Ale i tak szczęściarz, leci do Brazylii i Chile, dlatego uznał, że jedne gatki na zmianę w zupełności mu wystarczą, bo tam ciepło. Sam już chyba zwariował.

– Jacek, co ja bez ciebie zrobię? – zamiauczałam, a Jacek roześmiał się szeroko.

– Przecież jesteś już w związku. – Rozłożył szeroko ręce i zaklaskał nad głową. – Spełniło się twoje marzenie, masz faceta, nie jesteś już samotna, o co ci chodzi?

Popatrzyłam na niego ponuro i odparłam:

– No właśnie. Tak bardzo tego chciałam, a teraz mnie uwiera. Chyba jestem nienormalna.

Jacek uśmiechnął się po swojemu, a ja kontynuowałam.

– Bycie „w związku” oznacza notoryczny brak czasu. Uporządkowane,

nudne życie samotniczki zamieniam powoli w huragan zdarzeń, które burzą mi ułożony wcześniej schemat dnia.

Jacek tylko na to prychnął.

– Ale nie narzekam, o nie. Po prostu mam teraz mniej czasu na wszystko, a może tylko jestem gorzej zorganizowana?

We wzroku Jacka mignęło politowanie, ale ciągnęłam, siedząc u niego na kozetce.

– No bo zobacz, w pierwszej fazie poznania kogoś, kim jesteśmy zainteresowani, pojawia się chęć, by przebywać z nim bez przerwy, cały czas mieć go przy sobie, utrzymywać kontakt bodaj telepatyczny. Później zapał słabnie, zwłaszcza gdy przychodzi rachunek za telefon, ale ochota, żeby jak najwięcej i jak najczęściej, pozostaje. Wreszcie nastaje upragniony moment, gdy fatygant przestaje być fatygantem, a staje się chłopakiem, narzeczonym, partnerem, Tym Jedynym. Wtedy w naturalny sposób budzi się potrzeba, aby rzeczywistość jakoś przekształcić stosownie do zmiany statusu owego fatyganta. Sama nie wiem, czy przeraża mnie to, że już ktoś pojawił się w moim życiu, a ja za bardzo przywykłam do roli samotnej, czy też dzieje się coś, czego nie dostrzegam, i to moja podświadomość mnie ostrzega?

Jacek usiadł wygodniej w fotelu, wyłączył terkający co chwilę telefon i powiedział poważnie:

– A może po prostu to nie jest człowiek dla ciebie? Może tak bardzo chciałaś przestać być samotna, że zagłuszyłaś w sobie prawdziwe oczekiwania i potrzeby. Obawiam się, że sama musisz znaleźć odpowiedzi na swoje pytania. Czy to magia i romantyzm, które towarzyszyły waszemu poznaniu się, tak cię w nim pociągają, czy on sam? Co o nim wiesz, a może tylko wydaje ci się, że coś wiesz? Co wiesz o sobie? Odpowiedzi na te wszystkie pytania powinny paść, zanim wejdiesz w relację.

Jacek wstał i przeszedł się po pokoju, przez chwilę popatrzył przez okno, ale tam robotnik stojący na rusztowaniu właśnie zaczął dłużyć w nosie, odwrócił się więc do mnie i powiedział:

– Przed wojną było łatwiej. Na takim etapie starający się mógł już zapraszać wybrankę na wspólny spacer bez przyzwoitki oraz odwiedzać dom rodzinny dziewczyny bez wcześniejszej zapowiedzi. Mógł również przychodzić bez czekoladek. W ten sposób mieli okazję się lepiej poznać i przekonać, czy warto brnąć w to dalej. Wzajemne poznawanie się, bez pośpiechu, jest niezwykle ważne i niewiarygodnie niedoceniane w obecnych czasach. Ludzie śpieszą się, jakby żyli o połowę krócej, tymczasem akurat kwestie dotyczące relacji wymagają czasu, tak jak roślina na grządce.

– Czekoladek? – zdziwiłam się.

– Przed wojną – uśmiechnął się Jacek. – Mówiło się, że starający się

kawaler, gdy przychodzi do panienki, powinien mieć na sobie garnitur ciemny, ale nie czarny, stosownie dobrany krawat, czystą koszulę, czyste ręce oraz trzymać w ręce bukiet i pudełko czekoladek. To był element nieodzowny. Bez czekoladek facet był skończony. Gdy otrzymywał rangę stałego absztyfikanta, z przychodzenia w towarzystwie słodczy był zwolniony.

Zarechotałam, a Jacek tylko machnął ręką i kontynuował. Robotnik zdawał się także słuchać wykładu, bo przestał dłubać, choć palca z nosa nie wyjął. Okno było uchylone i może istotnie słyszał, co mówi Jacek, i to go zainteresowało.

– Teraz nastąpiły czasy trudne – kontynuował Jacek – bo do końca nie wiadomo, co wypada, a co nie, co jeszcze jest tradycją, a co już staroświeckim obciachem. Iluż ja pacjentów wysłuchałem, którzy o tym mówili! A przecież te staroświeckie dyrdymały miały swój sens, były niekiedy wręcz bardzo pomocne. Poza tym przed wojną upragniony narzeczony był po to, aby rodzice mogli wypchnąć wreszcie pannę z domu, teraz natomiast często kawaler wprowadza się do dziewczyny. Albo oboje posiadają już własne, osobiste lokum, co jeszcze bardziej utrudnia sprawę, bo pojawia się problem: kto do kogo ma się wprowadzić?

Popatrzyłam na Jacka z niedowierzaniem, jasnowidz czy co?

– Masz rację, Jacku – powiedziałam. – Ja sama przeżywam teraz takie dylematy, znam go od kilku tygodni, spotykamy się regularnie, a już ciężą mi takie problemy. Zamiast cieszyć się samą z nim znajomością, ja się wciąż martwię i myślę. – Usiadłam wygodniej na leżance, a robotnik za oknem oparł się wygodniej o parapet okna. – Marek jest nocnym markiem, pracuje przeważnie wieczorem i w nocy, tak lubi, tak woli, wstaje dość późno, rozkręca się późnym popołudniem, rano nie ma z niego pożytku. Przysłowiowa „sowa”. Ja natomiast bliżej północy jestem już zupełnie nieprzytomna, nocne dyżury na portalach ezoterycznych zawsze stanowiły dla mnie karę za grzechy i czyścić na Ziemi. Lubię wstać o świcie, powitać świat, gdy jeszcze śpi. Wielokrotnie przyroda nagradzała mnie za to niecodziennym widokiem rozwijających się pąków wiosną, pochodzących maszerujących dziarsko środkiem ulicy czy bajkowym obrazkiem zimy w postaci nieskalanej ludzką nogą śniegu, zjawiskowo błyszczącego na niebiesko. Tego nie można zobaczyć o dziesiątej. Oczywiście, w ciągu dnia jest ten obszar wspólny, kiedy obydwójce jesteśmy dość przytomni, aby wiedzieć, co do siebie mówimy. Ale we mnie rosną obawy, że nie dopasujemy się do siebie. Chodzi mi o to, że Marek jest taki kochany, wspaniałomyślny i dobry, i na pewno by umiał zrezygnować ze swoich potrzeb, żeby tylko mnie uszczęśliwić. Tymczasem ja nie jestem pewna, czy mnie byłoby stać na coś podobnego.

W tej chwili pan robotnik nagle zapukał w okno. Jacek otworzył je, a wtedy ten gość wyrzucił z siebie słowa jak pociski:

– Panie, to są wydumane problemy, mają takie za dobrze i we łbach im się,

za przeproszeniem, przewraca. Przestańcie, baby, wyszukiwać dziury w całym tam, gdzie ich nie ma!

Krzyczał coś jeszcze, ale Jacek zdecydowanym ruchem zamknął okno i zasłonił je roletą. Po tym wystąpieniu jakoś nie miałam już ochoty kontynuować wątku. Coś zabolalo mnie w środku. Powiedziałam Jackowi, że mu zazdroszczę. U nas słońce gaśnie przed jesiennym chłodem, a on będzie niedługo uganiał się za półnagimi wariatkami na wrotkach.

Pokazałam mu na odchodnym fragment twórczości Jurka, którą to twórczość dziś wieczorem zaprezentuję na wizji. Uśmieł się jak norka. To chyba dobry znak? Taktownie, jak na psychiatrę przystało, udał, że istotnie nasza rozmowa na dziś dobiegła końca.

16 września, piątek

A wczoraj to było tak: Sławek reżyser stanowczo zażądał okazania mu tekstu przed prezentacją na wizji, bo przecież program jest nadawany na żywo. Nie widziałam przeciwwskazań, wręczyłam mu kartki. Kiedy program się rozpoczął, widzowie mogli usłyszeć zgodny rechot obu Sławków i pani Kasi, i zobaczyć moją bezradną minę. I posypały się SMS-y z pytaniami, kiedy rozpocznie się to narodowe czytanie. Po bloku reklamowym, gdy towarzystwo już się trochę uspokoiło, przygotowałam się do czytania, a wówczas rozdzwonił się telefon z pytaniami, a jakże, do wróżki. Zatelefonowała pani, która przedstawiła się jako Małgosia, lat mniej więcej trzydzieści.

– *Co takiego stało się Mirkowi, urodzonemu chyba w lutym, że od czwartku ma taki dobry humor i jest dla mnie czulszy? A jeszcze przed tym był taki zimny? Chodzi o to, co mu powiedziałam w czwartek?*

Stwierdziłam, że zapewne chodziło o to, iż powiedziała mu, że go kocha i potrzebuje, a wcześniej tego nie robiła, kiedy zadzwonił kolejny telewidz.

– *Chciałbym się dowiedzieć, co mnie czeka w najbliższej przyszłości, Witek z tej strony, Baran. Ale nie Baran w ogóle, tylko zodiakalny. Pani rozumie?*

– *Oczywiście, a czy mógłby pan podać pełną datę urodzenia?*

– Uśmiechnęłam się do Witka za pośrednictwem kamery.

– *Nie, bo mój szef to ogląda i mógłby skojarzyć* – odparł Witek.

– *A w jakiej dziedzinie, panie Witku?* – Uśmiech nie schodził z mojej twarzy.

– *Uczucia, praca, zdrowie?*

– *Ja tam nie wiem, niech pani sama wybierze.*

– *Nie powinnam wybierać za pana, ale może zdrowie najpierw?* – Zaczęłam tasować karty.

– *No dobrze, choć ze zdrowiem to wiem, jak jest, bo jestem teraz w szpitalu.*

Zastygłam z kartami w rękach.

– *W szpitalu? Sprawdzamy rokowania?*

– *Niekoniecznie* – odparł beztrąsko pan Witek. – *Lekarze mówią, że obie nogi się zrosną, tylko z ręką gorzej, bo złamana w dwóch miejscach. Kolega porządnie mi przyłożył.*

Reżyser syknął mi do słuchawki, że historia pana Witka może okazać się dużo ciekawsza niż to moje całe wróżenie, zapytałam więc, jak trafił do szpitala i co ma do tego kolega. Na to pan Witek wyjaśnił mnie i telewidzom, że pracuje na budowie. Kilka dni temu, tuż po szkoleniu bhp, udał się na plac budowy, gdzie znajdowała się betoniarka. Pan Witek obuty był w swoje zwykłe obuwie, nie budowlane walonki, i nasypało mu się piachu do tych jego adidasów, gdy przechodził po placu. Oparł się więc o betoniarkę, która nie pracowała w tym momencie, i zaczął wytrzępywać piach to z jednego buta, to z drugiego. Z daleka zobaczył go kolega, który uczestniczył w tym samym szkoleniu, i będąc prawdopodobnie jeszcze pod wrażeniem podawanych tam ostrzeżeń, bez zastanowienia zareagował. Podbiegł do pana Witka z łopatą w ręce i zaczął go okładać po przedramionach. Uznał zapewne, że pan Witek porażony prądem miota się w przedśmiertnych konwulsjach. Przyłożył mu jeszcze w nogi, kiedy pan Witek zaczął go intensywnie kopać. Była tam kałuża i kolega pewnie skojarzył fakty: woda, betoniarka, konwulsje.

Nie wiem, co było dalej, bo pan Witek się rozłączył, ale i tak życzyłam mu szybkiego powrotu do zdrowia, a karty pokazały, że tak się stanie. Potem otrzymałam SMS-a, w którym niejaka Esmeralda pytała, w którym roku się zakocha, parzystym czy nieparzystym, a z kolei odezwała się jeszcze jedna, która uparcie twierdziła, że żadnych swoich danych nie poda, bo nie wiadomo, kto do czego ich potem użyje. Ta nieufna chciała wiedzieć, czy w kartach pokazuje się mniej więcej data jej zamążpójścia. Mniej więcej się pokazała.

No i typowa seria pytań z kategorii „dlaczego”: dlaczego trafiam wciąż na niewłaściwych mężczyzn, dlaczego on mnie nie kocha, choć obiecywał miłość aż po grób? Dlaczego ona wciąż nie pojawia się w jego życiu i kiedy pies sąsiadów wreszcie zdechnie, bo ciągle szczeka?

Jedna klientka uparcie domagała się, żeby sprawdzić, kiedy ten najważniejszy z właściwych wreszcie pojawi się w jej życiu, i dlaczego się nie pojawił do tej pory, choć jak sama przyznała, jej życie jest mocno pokręcone.

– *A po czym pani poznaje, że są niewłaściwi?* – zapytałam w końcu.

– *Kilka poprzednich związków rozleciało się i teraz trudno mi komuś zaufać* – wyjaśniła klientka. – *Kiedy pojawi się wreszcie ten odpowiedni? Mam już dość czekania i szukania.*

– *No cóż, trzeba dotrzeć do przyczyny, pomyśleć, dlaczego tak się dzieje, że nikt właściwy dotąd się nie pojawił, zamiast odwracać się plecami do życia i oczekiwać biernie w nadziei, że ten następny ktoś, kto sam spadnie z nieba, to będzie ideal. A może przyczyna leży w pani? Odzywają się do mnie mężczyźni,*

którzy pytają dokładnie o to samo. Jakie miała pani oczekiwania? Co poszło nie tak?

– Sama nie wiem – westchnęła klientka.

– To skąd pani wie, że jest gotowa na nową miłość? Trzeba szukać odpowiedzi w sobie i we wspólnej relacji. Tylko tak można nauczyć się, jak unikać błędów w przyszłości. Karty mogą tylko bardziej skonkretyzować obszary, ale szarlatanerią jest pisanie, że miłość przyjdzie jutro, proszę tylko poczekać. Samo się stanie.

– Inne wróżki jakoś to potrafią! – ofuknęła mnie klientka.

– Ja nie, przykro mi, nie mam szklanej kuli.

– Ja tylko chcę mieć przy sobie kogoś, kto by mnie nie skrzywdził! – klientka nie dawała za wygraną.

– To najbezpieczniej kupić sobie psa. Proszę mi wybaczyć, ale każdy ma w sobie taki lęk. To egoizm oczekiwać, że druga osoba zadba, by było okej. To niesprawiedliwe i często jest przyczyną późniejszego rozczarowania. Powinna pani oswajać swoje lęki, a nie uciekać przed nimi. Wtedy też nikt pani nie skrzywdzi, a pojawi się satysfakcja, że komuś pani pomogła wyleczyć się z jego lęku.

Wtedy klientka zapytała, czy wiem, kiedy przyjmuje jakaś bardziej kompetentna wróżka. Nie wiedziałam. I tak z długiego czasu na wizji zrobił się mały kwadransik i zdążyłam przeczytać tylko kawałek opowieści Jurka. Jest naprawdę bardzo fajny:

Głuche stuknięcie drzwi oznajmiło powrót seniora rodu do domu. Jego żona, hrabina Drakulowska, przerwała robienie na drutach peleryny w przerażającym krwistoczerwonym kolorze i spojrzała zdziwiona na męża.

– Dlaczego wchodzisz drzwiami? – zapytała.

Hrabia tylko prychnął gniewnie i z rozmachem usiadł na fotelu.

– Ten automat od skrzydeł znów się zaciął! – warknął ze złością.

– Co to za dziadostwo?! Mogłem się zabić!

– Nie mogłeś – rzekła spokojnie hrabina i wróciła do robienia na drutach.

– Jesteś wampirem, a wampiry umierają tylko w ściśle określony sposób.

– Ale mogłem sobie wybić wszystkie zęby!

– Nie mogłeś – mruknęła hrabina, licząc oczka. – Bo to nie są twoje zęby, tylko dziadka.

– No to mogłem sobie wybić zęby dziadka! – wrzasnął hrabia i uderzył pięścią w stół.

– Nie mogłeś. – Tym razem hrabina popatrzyła na męża tym swoim ciepłym, łagodnym spojrzeniem, jakim uspokaja się wariatów. – Nie można sobie wybić wstawionych zębów.

– Zwariować można!! A czy ktoś mnie pytał, czy ja chcę być wampirem?!

Mnie się niedobrze robi, kiedy widzę krew! Mnie się niedobrze robi, kiedy widzę czerwone! I nie będę się więcej przebierał za nietoperza!!!

Hrabina Drakulowska odłożyła robótkę i popatrzyła uważnie na męża. Tym razem jej spojrzenie było tak lodowate, że hrabia aż zatrzęsł się z zimna.

– Bardzo dobrze, nie przebieraj się – powiedziała głosem ostrym jak brzytwa. – Nie śpij w trumnie, nie pij krwi. Nikt cię nie zmusza. W końcu co cię to obchodzi, że w ten sposób pozbawisz swojego jedyne go syna hrabiowskiego tytułu. Proszę bardzo, zmarnuj mu życie. Ty przecież musisz się wysypiać! A to, że twoje dziecko skończy jako byle kmiotek wilkołak... – I hrabina zaczęła płakać krokodylimi łzami.

Hrabia popatrzył na żonę, westchnął ciężko i opadł na fotel stojący obok.

– A czy ja mówię, że nie chcę spać w trumnie?

Hrabina otarła łzy i znów wzięła się do robienia na drutach. Tymczasem hrabia, patrząc tępo przed siebie, ciągnął dalej.

– To nie to, że ja nie chcę, tylko czasy są niedobre – rzekł ze smutkiem. – Jeszcze za życia tatusia do byle stogu siana można było zaprosić dziewczynę. Stogi siana w ogóle były. I krew była lepsza! Teraz zatruć się można! Oj, dobre to były czasy!... – wzdychał hrabia, kiwając raz po raz głową. – A w ogóle to żeby on się stał pełnoprawnym hrabią wampirem, to musi ugryźć w szyję młodą i piękną dziewczynę, koniecznie pannę, i musi to zrobić w nocy, o północy, przy pełni Księżycy!

Hrabia popatrzył z rozrzewnieniem na żonę i podrapał się po głowie.

– A ona musi spać i w ogóle on musi być martwy!

– Głupstwa jakieś gadasz, Perusiu! – stwierdziła dobrodusznie hrabina. – Nie może być martwy, skoro ma ją gryźć w szyję! A poza tym po ciemku wszystkie są piękne i młode!

– Ale nie wszystkie są pannami! Zwłaszcza w ciemnościach tego nie widać! – nie ustępował hrabia.

– No to znajdziesz mu jakąś sprawdzoną pannę, on ją w nocy pogryzie i po krzyku – podsumowała hrabina stanowczym tonem i wstała. – Tyle to chyba możesz zrobić dla swojego dziecka?

Po czym oddaliła się bażancim krokiem, a długi tren jej czarnej sukni zamiatał kurz na podłodze. Hrabia nie powiedział już nic.

Szkoda słów. Tylko on wiedział, ile go kosztowało znalezienie jednej porządnej szyi. I już nie wymagał, żeby to była młoda i piękna szyja. Wystarczyło, żeby była czysta. Westchnął ciężko po raz kolejny tego wieczoru, wstał i zbliżył się do trumny stojącej w rogu pokoju. Nie była to prawdziwa trumna. Od dawna już wszyscy członkowie rodzin wampirów nie używali prawdziwych trumien, prawdziwych zębów ani prawdziwych skrzydeł. W małych blokowych pokojkach solidne, wygodne trumny nie mieściły się, a w niewygodnych nikt nie chciał leżeć.

Prawdziwe zęby psuły się, co wiązało się z kosztami leczenia i wystawianiem w długich kolejkach do dentysty. Wreszcie wlatywanie i wylatywanie przez okno w bloku było niekiedy zupełnie niemożliwe ze względu na rozmiary tych okien, nie mówiąc już o tym, że często zatrzaśkiwały się one z hukiem tuż przed nosem nadlatującego delikwenta.

Z kolei skrzydła skonstruowane z dostępnych, nierzadko lichych materiałów w ogóle nie działały i leżały się w nich mole. Z picia prawdziwej krwi zrezygnowano po tym, jak kilku członkom rodziny wyskoczyły pypcie na językach wywołane brudną szyją ofiary. Poza tym ofiary to już nie były takie znowu ofiary i nieraz pan Drakulowski wracał do domu z guzem na głowie. Dlatego hołdowano tradycji tylko tak ogólnie i bardziej dla zasady niż z konieczności.

Wyjątek stanowiła pani Drakulowska, która uwielbiała dawne zwyczaje i stroje i wymagała od swojego męża i syna tego samego. Zarówno pan Drakulowski, jak i ich syn Marian uwielbiali hrabinę i nie chcąc robić jej przykrości, godzili się na wszystkie dziwactwa. Mieszkali ponadto w starej, cichej kamienicy i dysponowali przestrzenią nieco większą niż przeciętna. Dzięki temu w pokoju zmieściła się stylowa, przestronna trumna małżeńska, wyściełana starym sukniem, a jedno z dużych okien tak przebudowano, aby służyło do nocnych lotów. Pani Drakulowska ubierała się wyłącznie na czarno, zaś przy uroczystych okazjach na krwistoczerwono. Pan Drakulowski starał się nosić czarny frak i czarną pelerynę z czerwoną podbitką tak często, jak tylko to było możliwe, ale idąc do biura, w którym pracował, musiał pelerynę czasem zdejmować. Marian ubierał się, jak sam chciał...

Lekturę nieoczekiwanie przerwała mi klientka:

– *Stefan, ten ze sklepu, w niedzielę wrócił pijany do domu, do mnie do domu. Skąd bierze pieniądze na picie i czy kłamie mnie na godzinach?*

Nie zdążyłam odpowiedzieć, bo czas antenowy się skończył.

Pani Zosia nie przyszła na dyżur, chora. Zastąpiła ją inna wróżka, która przywlokła ze sobą całą torbę różnych amuletów. Zastanawiam się, czy będzie coś odczyniać na wizji. No cóż, chyba trzeba będzie popatrzeć w wolnym czasie. Świat stale idzie naprzód, w tej dziedzinie także.

17 września, sobota

Marek postanowił zrobić mi przyjemność i w tym celu w godzinach dla niego najbardziej produktywnych, czyli między szesnastą a osiemnastą, zabrał mnie na zakupy. Zakupy to pojęcie nieostre, oznaczające szwendanie się po sklepach w bliżej nieokreślonym celu. Wiedziony męskim instynktem uznał, że skoro z wierzchu przypominam kobietę, to w środku też pewnie mam coś z kobiety. A te zwykle uwielbiają zakupy. Jestem kobietą, więc powinnam uwielbiać zakupy. Proste. Zapakował mnie do samochodu, nie informując, dokąd

jedziemy. Jak niespodzianka, to niespodzianka. Przez kolejne pół godziny uśmiechał się tajemniczo i powtarzał tylko: „Będziesz bardzo zadowolona! Ale się zdziwisz”.

Dwa skrzyżowania dalej utknęliśmy w potężnym korku. Kolejne czterdzieści pięć minut upłynęło na wysłuchiwanie rozmaitych inwektyw, które wypadały Markowi z ust.

– Kochany Mareczku – zaczęłam delikatnie, żeby go mocniej nie pobudzić.
– Nie do końca wprawdzie rozumiem, na czym ta niespodzianka miała polegać, ale zapewniam cię, że jestem bardzo zdziwiona, można powiedzieć, cały czas nie przestaję się dziwić!

W końcu dojechaliśmy. Do upiornego miejsca zwanego centrum handlowym. Dla mnie jest to symbol najgorszych kazamat. Hałas, ścisk, tysiące migających i grających bodźców i – to jest najgorsze – nigdy nie wiem, gdzie dokładnie jestem i którędy do wyjścia. Najchętniej przeprawiłabym się na przestrzal, od jednych drzwi do drugich. Marek uznał, że sklepy stłoczone na jednej powierzchni to raj dla kobiety, czyli dla mnie. Zachęcał, abym oglądała wystawy i coś tam sobie kupiła. Co, u licha, miałabym kupić?! Od sukienek pęka w szwach moja szafa, którą sam kazał mi opróżnić, nie potrzebuję czterdziestej czwartej pary butów, bo też mam kłopot, gdzie je przechowywać. Torebkę niedawno sobie kupiłam, kosmetyki? Żywność? Biżuterię? Akcesoria dla psa? W dodatku te nieprzebrane tłumy, te baby z obłędem w oczach, bo tamtych czerwonych halek jeszcze nie macały, ten ryk z głośników zachęcający, żeby kupować, kupować, kupować...

Ponieważ żaden sklep nie przypadł mi do gustu, Marek oświadczył, że skoro już tu jesteśmy, to on wstąpi na chwileczkę do sklepu ze sprzętem komputerowym. Dobrze, niech wstępuje. Usiadłam na ławeczce kilka metrów dalej. Oczywiście, naprzeciw sklepu z damską bielizną. Oczywiście, na ławeczce sami mężczyźni. Każdy siedział z rezygnacją wymalowaną na twarzy, niektórzy patrzyli tępo przed siebie, inni czytali gazetę.

– Chcesz pan skorzystać? Bo to jeszcze potrwa. To centrum zamykają o dwudziestej pierwszej... O pardon! – Pochylił się w moją stronę jeden z siedzących, podając mi „Przeгляд Sportowy”.

Z centrum handlowego wyszliśmy prawie przed zamknięciem. Marek nakupował jakichś kabli i wtyczek i cały rozpromieniony udał się na parking, a ja za nim. Doceniam, że chciał dobrze, i nie jego wina, że nie wyszło. Poprosiłam go jednak, by następnym razem, gdy zechce zrobić mi niespodziankę, zabrał mnie do zoo.

Notuję jako ważne: zatelefonowali z telewizji, że opowieść o wampirach się spodobała widzom i pytają, gdzie można nabyć tę książkę i w ogóle, żeby cyklicznie czytać takie kawałki. Ktoś nawet zaproponował, żeby podczas nocnego

dyżuru dołączyć wątki erotyczne, takie wampirze bunga bunga! Coś podobnego!
Może Bolka też powinnam zaangażować? Istny cyrk na kółkach!

18 września, niedziela

Marek zauważył, że nasz związek się nie rozwija. Mieszkamy osobno, każde z nas ma swoją pracę i swój świat, niewiele razem robimy, zwłaszcza ostatnio. Ten wypad do centrum handlowego się nie liczy, bo przecież nic razem nie kupowaliśmy. Coś w tym jest. Marek ma rację. Z początku wydawało się, że to będzie idealny układ, teraz czegoś w nim brakuje. Kupiłam sobie kilka mądrych książek na temat relacji i tam piszą, że trzeba wiele rzeczy robić wspólnie, jak najwięcej, bo to spaja. Nie wolno jednak zapominać, że istnieje przecież mnóstwo przyzwyczajzeń wykreowanych przez lata, które wrosły w nas na mur i – co gorsza – nie mamy ochoty z nich rezygnować. Gdy spotykamy się sporadycznie, mając z tyłu głowy myśl, że kiedyś będziemy zawsze razem, ale to jeszcze jest „kiedyś” nie „dziś”, te wszystkie drobiazgi są nieważne. Gdy natomiast pewnego wtorkowego dnia pojawi się w naszym domu ktoś, kto stanowczo domaga się usunięcia tych ślicznych różyczek z lustra w przedpokoju, opróżnienia szuflady, w której znajdują się same skarby poprzywożone z różnych miejsc (i nieważne, że nawet nie wiem, co to jest i skąd to mam), oraz wygospodarowania w lodówce miejsca na piwo, wtedy jasne się staje, że nadszedł czas „ustalania nowych zasad”.

Po krótkiej dyskusji postanowiliśmy zacząć od wspólnego zamieszkania. U mnie. Wynikło to z przeanalizowania wszystkich „za” i „przeciw”. To znaczy Marek uznał, że u niego „za” jest więcej niż „przeciw”, i zanim zdążyłam się zdecydować, oznajmił, że postanowione. Trudno, trzeba będzie przejrzeć szafę i pozbyć się kilku zbędnych ciuchów. Skoro od tego zależy rozwój relacji?... Nie jestem przekonana, ale jednak odnoszę wrażenie, że odkrywam nowe, nieznanne dla siebie obszary. Niepewnie się z tym czuję i zarazem chciałabym zaryzykować. Na szczęście jest Marek, który sprawia, że w takich momentach zdobywam się na odwagę i wzbudzam w sobie chęci do działania. Gdyby nie jego zapal, zapewne nigdy bym się nie zdecydowała na taki krok.

Ustaliliśmy więc razem, że zamieszkamy u mnie, mieszkanie Marka zamieni się natomiast w miejsce pracy jego i czasem moje. Przeprowadzkę zaplanowaliśmy na środę, jutro i pojutrze będę przystosowywać mieszkanie. Trochę niepokoi mnie fakt, że zarówno Boluś, jak i Kora nie przepadają za Markiem, ale może to tylko chwilowe.

Dziś kolejny odcinek wampirzej historii w telewizji. Jurek ma do tego stosunek „ambivalentny”, czyli nie wiadomo jaki. Niby mu się to podoba, ale nie jest zachwycony. Powiedział, że sąsiedzi przyglądają mu się dziwnie, a on spodziewał się, że będą przyjaźnie nastawieni. No cóż, to są odpryski sławy. Człowiek przestaje być anonimowy, a co więcej, innym wydaje się, że wraz

z utratą przez kogoś anonimowości traci się również godność i człowieczeństwo oraz prawo do intymności. Teraz wręcz obowiązkiem Jurka stanie się snucie opowieści o swoim życiu prywatnym, z najdrobniejszymi szczegółami. A jak tych szczegółów nie ma, to się je wymyśli!

Roksana twierdzi, że opowiadanie Jurka jest lepsze niż telenowela w telewizji, podobnego zdania jest też kilka sąsiadek, z którymi spotkałam się w sklepie. Zdaniem Marka z kolei nie był to dobry pomysł, bo gdy już wszystko przeczytam, to nie będzie powodu, by ktoś kupował tę książkę. Powiedziałam mu, że przeczytam tylko kawałek, nie całość, ale i tak pozostał bardzo sceptyczny. Może naprawdę jest zazdrosny o Jurka i o te świece?

Pani Zosia wciąż chora, nie wiem, czy jej w końcu nie wyrzucą. Ta kobieta od amuletów nazywa się Proszula. Każdego namawia na jakieś rytuały. Pani Kasia skarżyła się, że Proszula przynosi ze sobą coś takiego, od czego śmierdzą później wszyscy przez tydzień. W telewizji trochę się jej boją, bo ostatnio podobno o mały włos nie podpaliła studia. Zaproponowali, żebym była przed nią, bo jeśli coś się stanie, to cały program szlag trafi. Zgodziłam się. Będę miała okazję trochę się jej poprzyglądać.

Martwi mnie stan mojego psa, Kora bardzo ostatnio schudła i więcej śpi. Marek twierdzi, że to niemożliwe, by więcej spała, bo doba ma tylko dwadzieścia cztery godziny, ale i tak się martwię. W czwartek zabiorę ją do lekarza.

Kolejny odcinek powieści Jurka:

Ludzie zatrzymywali się, ze zdziwieniem patrząc na potarganego młodzieńca w rozpiętym płaszczu, który gwizdał jakąś skoczną melodię i radośnie skakał przez kałuże. Był to syn państwa Drakulowskich, Marian. Dzień był wyjątkowo ponury, siąpił deszcz, wszędzie klapało pod nogami błoto, a na domiar złego był to dopiero poniedziałek. Od dawna zapowiadana piękna pogoda nie przychodziła, przeciwnie, robiło się coraz zimniej i wielu ludzi straciło już nadzieję na to, że kiedykolwiek będzie ciepło. Co bardziej pesymistycznie nastawieni twierdzili, że limit słońca został już dawno wykorzystany, więc nie ma na co liczyć.

– Ja już mówiłam i dziesiąty raz powtarzać nie będę! – zaskrzeczał nagle Marianowi nad głową piskliwy głos. – Te nocne ekscesy mają się raz na zawsze skończyć albo zawołam policję!

Marian opadł z obłoków na ziemię i z jawną dezynwolturą spojrzął na skrzeczącą postać. Był to nieduży, przysadzisty klocek, w wałkach na głowie, o twarzy składającej się wyłącznie z szeroko rozdziawionych ust. Skrzeczała i skrzeczała, aż echo niesło, a Marian patrzył na nią niewidzącym wzrokiem. Przywołał bowiem w myślach obraz niewidzących, błękitnych oczu, rzeźbionych ust i blond kosmyków igrających nad czołem. Wspomnienie było tak piękne i tak przyjemne, że Marian spojrzął z uwielbieniem na stojącą przed nim postać. Spojrzął i otrzeźwiał. Była to sąsiadka „z dołu”, niejaka pani Zgredowska. Pani

Zgredowska była domatorką, musiała więc interesować się życiem domowym wszystkich ludzi w okolicy. To był jej święty obowiązek, żadna przyjemność. Mogła przecież dostrzec coś, czego oni sami nie widzieli.

– Dobrze już, dobrze... – odparł pośpiesznie Marian, starając się nie patrzeć na tłuste strąki zwisające nad uszami. – Powiem ojcu, żeby nie trzaskał oknem, kiedy wraca.

– Ludzie, co za hołota się teraz do miasta sprowadza! Rany boskie! – poskrzeczwała baba na odchodnym, po czym wszczęła awanturę z dozorcą, dlaczego on zamiata chodnik najpierw od strony ulicy, a nie od strony budynku.

Tymczasem u państwa Drakulowskich panowało istne pandemonium. Zaprzyjaźniony malarz dostarczył obraz przedstawiający jeźdźca w pelerynie, który miał dwie lewe nogi i zezował. Jedną ręką trzymał się pod bok, drugą przytrzymał za uzdę konia, którego w ogóle nie było widać, bo zasłaniały go krzaki, a trzecią ręką dłubał sobie w nosie, co w założeniu miało wyglądać na podkręcanie wąsa. Obraz był ogromny, utrzymany w tonacji czerwono-czarno-sinej i nie był z pewnością arcydziełem sztuki, tym niemniej dostarczał wstrząsających doznań. Każdy, kto nań spojrział, nie mógł zapomnieć tego widoku, a nie jest wcale wykluczone, że niejeden z tego powodu zwariował.

– Dobrze, że jesteś, Marianie – ucieszyła się pani Drakulowska. – Pomożesz w przemeblowaniu, bo musimy powiesić dziadka.

– To jest dziadek? – wyszeptał Marian, z namaszczeniem wpatrując się w obraz.

– Tak, to jest dziadek – powtórzył z dumą pan Drakulowski. – Ten sam, który zmarł śmiercią tragiczną. Wbijając kołek w serce wampira, który ukradł mu wieko od trumny, uderzył się młotkiem w palec i tak jęczał, że musieliśmy go porzucić w ciemnym lesie, niestety. Tam też został namalowany po raz ostatni. Ale nie stój tak, przynieś mi miarkę!

Marian przyniósł ojcu: miarkę, gazetę, ołówek, butelkę, wałek, śrubokręt i szmatkę. Po każdą z tych rzeczy chodził oddzielnie. Pan Drakulowski zadecydował, że obraz zawisnie na frontowej ścianie. Znajdował się tam słusznych rozmiarów kredens, który należało przesunąć w inne miejsce. Popatrzył w skupieniu na olbrzymi mebel i postanowił, że zdemontuje boczną część kredensu, dzięki czemu zmieści się on w kącie pokoju, oczywiście po uprzednim usunięciu stamtąd trumny dla gości, która stanie po przeciwnej stronie, zamiast stołu i krzeseł. Pan Drakulowski wziął do ręki miarkę i zaczął mierzyć. Zmierzył kredens wszerz i wzdłuż oraz w poprzek i uznał, że tylna ściana mebla jest za duża.

– Przynieś mi, synu, piłę!

Sam zaczął wykręcać śruby. Ponieważ zabrał się do dzieła bardzo gorliwie, wkrótce tylna ścianka opadła, a wraz z nią ścianki boczne, pozbawione oparcia.

Gdy pan Drakulowski podszedł do pozostałego szkieletu z ołówkiem w ręce, całość zawałowała się z hukiem, tłukąc przy okazji butelkę. Spod kupy desek po chwili wystawał smętny palec pana Drakulowskiego, z którego sączyła się krew.

– Ratunku! Krew! Umieram! – piszczał pan Drakulowski, zaś pani Drakulowska i Marian w popłochu biegali dookoła. – W ogóle wam na mnie nie zależy! Wykrwawiam się, nie widzicie tego!!! – jęczał pan Drakulowski. Jego palec wkrótce został owinięty szmatką, którą przyniósł Marian.

– Ten kredens tu nie pasował – orzekł uspokojony pan Drakulowski. – Trzeba teraz wymierzyć, czy obraz zmieści się ścianie. Miarkę poproszę! – I wyciągnął rękę niczym chirurg podczas operacji.

Pani Drakulowska i Marian jak na komendę padli na kolana w poszukiwaniu miarki, którą pan Drakulowski miał – jak się po chwili okazało – zatknąć za pasek spodni. Gdy ściana została już dokładnie wymierzona, okazało się, że nikt nie zna wymiarów obrazu. Pan Drakulowski wkrótce zaczął dokonywać skomplikowanych obliczeń, ponieważ obraz powinien być zawisnąć dokładnie pośrodku ściany. Żona i syn gorliwie mu pomagali, co dało taki efekt, że po chwili nikt już nie wiedział, co trzeba było podzielić przez dwa.

– Was o coś poprosić! – zachnął się pan Drakulowski i zrezygnował z wieszania obrazu w ogóle. Płótno zostało oparte o ścianę. Wówczas okazało się, że stół jest za wysoki i w połowie je zasłania.

– Obetniemy nogi stołu, obniży się go w ten sposób i problem rozwiązany! – ocenił pan Drakulowski. Piła poszła w ruch. Godzinę później ze stołu zrobił się stolik, przy którym można było spożywać herbatę po japońsku, siedząc po turecku. – Świetnie! – klasnął w ręce pan Drakulowski. – Rozwiązaliśmy od razu problem krzeseł! Są zbędne!

O północy pośrodku pokoju leżała sterta desek, które niegdyś były kredensem, o ścianę krzywo opierał się obraz, który pilnował wielkiej trumny, zaś pod oknem stanął rząd krzeseł w towarzystwie niziuteńskiego stoliczka.

– No to załatwione! – Pan Drakulowski przyjrzał się swojemu dziełu i z zadowoleniem zatarł ręce. Następnie włożył pelerynę i wyleciał, trzaskając oknem.

Proszula pali jakieś zielsko, przez co istotnie wokół jest okropne powietrze. Gdy nikt do niej nie dzwoni, opowiada o przesądach z różnych stron świata. Nawet jest to ciekawe. Na przykład, jeśli w nocy przeleci wam nad głową biała ćma, to wiedźcie, że to dusza niedawno zmarłej osoby przybyła, żeby was pozdrowić. Natomiast nóż wbity na sztorc w drzwi wejściowe chroni przed złem, można też wbić nóż w kołyskę dziecka, tuż przy jego głowie, żeby odganiać złe duchy. A jeśli chcecie przechytrzyć śmierć, to włóżcie ubranie na lewą stronę. Na koniec oznajmiła: jeśli zmarły umrze w niedzielę, to ani chybi będzie pochowany w poniedziałek. Wiedźma, nie wróżka!

19 września, poniedziałek

Tajemniczy Kazimierz zniknął bez wieści. Roksana chyba się z tego cieszy, a mnie ten facet trochę intryguje, bo mam wrażenie, że on wcale nie przepadł na zawsze i coś jeszcze z tego wyniknie. Jutro pani Zosia zapowiedziała się, że przyjdzie, aby mi doradzić, gdzie co poustawiać, żeby był odpowiedni przepływ energii w mieszkaniu, zapytam ją przy okazji.

Ryszard z kolei „rózdkował” na czyjejs działce. Niestety, wróci zapewne dopiero wieczorem, choć już dawno skończył swoją pracę, bo co się okazało – właściciele nie zauważyli, że poszedł jeszcze sprawdzić, czy nie ma cieków wodnych w piwnicy. Machanie wahadłem i różdżką to czynności z założenia bezgłośne, więc niezdradzające czyjejs obecności. I tak właściciele zamknęli działkę na cztery spusty i odjechali, a Ryszard utknął w piwnicy, w której nie ma zasięgu. Zaniepokojona jego przedłużającą się nieobecnością pani Zosia wywołała widzenie i teraz już wszystko wiemy. Powiedziała mi to zupełnie spokojnie, że na Rysia poczekamy do poniedziałku wieczorem. Oczywiście, zatelefonowała do tych właścicieli, a oni odparli, że okej, w poniedziałek po pracy tam pojadą i go uwolnią. Sprawa załatwiona. A ona sama jutro będzie działać u mnie. Zapytałam, czy Rysiowi nic się tam nie stało przez noc, na co pani Zosia zapewniła mnie, że wizja pokazała całe półki przetworów ze śliwek i suszoną kiełbasę wiszącą na kołkach. A właściciele i tak by nie pojechali tam w nocy, bo boją się nietoperzy.

20 września, wtorek

Obudziłam się z mocnym postanowieniem, że dziś przygotuję mieszkanie na przyjazd Marka. Zrobię wszystko, co trzeba. Marek powiedział mi, że cokolwiek postanowię, będzie dobrze. On sam przeniesie do mnie tylko kilka swoich rzeczy, tych najbardziej niezbędnych, więc wystarczą mu dwa wieszaki w szafie i dwie półki na sprzęt. Bardzo troszczy się o mnie, uprzedził, że nie potrzebuje wiele miejsca dla siebie i nie chciałby, żebym nadwerężała się zbytnio, czyniąc duże zmiany w mieszkaniu.

Pani Zosia pojawiła się dość punktualnie, jak na siebie, bo czekałam tylko półtorej godziny. Już na progu oznajmiła, że pierwsze, co należy zrobić, to wymienić firanki. Na nowe. Zupełnie nowe. Potem odprawiła jeszcze rytuały oczyszczające w mieszkaniu, oświadczyła, że wystarczy zmienić kolor ścian w jednym pokoju i poszła sobie. Nawet nie zdążyłam zapytać o Rysia, nie wspominając o Kazimierzu. Udałam się zatem do sklepu, żeby nabyć nowe firanki. Do tego pokoju, który będzie odmalowany. Bułka z masłem. Jeden dzień i po krzyku. Może to i głupie, ale rozmowa z nią wprawiła mnie w tak dobry nastrój i dodała mi tyle energii, że nieważne, jak to brzmi.

Mój ojciec uważa, że pani Zosia to oszustka i okultystka. I kiedyś mnie okradnie. Tylko z czego miałyby mnie okraść? Nie mam w domu nic wartościowego, poza psem i papugą, a one nie pozwolą się ukraść. A nawet jeśli, to Kora nawet by tego pewnie nie zauważyła, natomiast Bolka jeszcze szybciej by odnieśli, niż wynieśli. Poza tym pies głośno chrapie, a papuga wrzeszczy na całe gardło i dziobie, gdy się zdenerwuje.

Jestem bardzo podekscytowana samym faktem, że na nowo urządzałam mieszkanie, że wprowadzi się do mnie mężczyzna, z którym mam nadzieję spędzić resztę życia, że wszystko się tak fajnie układa. Nie rozumiem, dlaczego ojciec chce mi ten nastrój popsuć. Może dlatego że sam przeżył nieudane małżeństwo i uznał, iż nikt więcej nie może cieszyć się z relacji. Wiele razy rozważałam, dlaczego pozostał sam, kiedy mama odeszła. Dlaczego z nikim się nie związał. Wyszło mi, że najprawdopodobniej żadna kobieta nie zniosłaby jego gderania. Tylko po co tak zawzięcie mnie swatał? Zupełnie go nie rozumiem, ale to w końcu mój ojciec.

Gdy schodziłam po schodach, spotkałam Jurka i jego babcię. Jechali do lekarza, na badania. Szybko wyrzuciłam z siebie, że udaję się po nowe firanki do mieszkania, a babcia Jurka uśmiechnęła się szeroko i powiedziała:

– Jak ma cię, dziecko, pokochać, to i w kapciach cię weźmie!

Ona mówi takie rzeczy, czasem bardzo od rzeczy, ale te słowa też sprawiły mi przyjemność. Jurek poprosił mnie o pomoc przy opiece nad babcią, jeśli oczywiście sprawa firanek nie jest kwestią niecierpiącą zwłoki. Oczywiście nie była. Pojechaliśmy więc razem, a po drodze babcia Jurka powiedziała mi, że całkiem zdrowo wyglądam, więc dziwi się, że musimy mnie wieźć do lekarza. Tam na miejscu natychmiast oznajmiła, że doktor to mnie powinien przebadać oraz że przyjechaliśmy tak szybko, jak to było możliwe. Wszyscy idealnie zgłupieli. I tak, zupełnie dla siebie nieoczekiwanie, zostałam poddana badaniu lekarskiemu. Sprawa firanek musiała poczekać. Wepchnęli mnie do gabinetu. Za biurkiem siedział mężczyzna około sześćdziesiątki, który powitał mnie szorstkim:

– Stolec był?

Zatkało mnie.

– Nnie... wiem... nnie... przyglądałam się... – powiedziałam niepewnie, a on zmarszczył brwi. Okulary, które miał na nosie, zsunął na sam czubek nosa i warknął:

– Niech siada!

Usiadła. To jest, chciałam napisać, usiadłam. Zaczęłam wyjaśniać, dlaczego się tu znalazłam, że to nieporozumienie, ale lekarz sięgnął już po plik cudzych badań, bo przecież nie moich, które w skupieniu i ze zmarszczonym czołem studiował. Po chwili zaczął mnie lustrować coraz bardziej przenikliwym wzrokiem.

– Ile ma lat? – zapytał w końcu.

Czułam pokusę, żeby zawyżyć swój wiek, bo moja babcia zawsze tak robiła

i ujawniała prawdę dopiero wtedy, gdy ludzie dziwili się, że tak młodo wygląda, i niechący zdradzali jej, na ile lat w rzeczywistości ją oceniają. Ale powiedziałam prawdę. Nie wiedziałam przecież, w jakim wieku jest osoba, której wyniki trzymał w ręce. I wtedy się zaczęło. Lekarz od razu się ożywił, zatarł ręce z zadowoleniem i powiedział, z dziwnie mściwą satysfakcją w głosie:

– Niech się rozbiera! Zaraz zobaczymy, ile tu jest napsute, z jakim spustoszeniem mamy do czynienia! Papierosy oczywiście pali! – To ostatnie to było stwierdzenie, nie pytanie.

– Nie pali – oświadczyłam, ale doktor i tak mnie nie słuchał.

– Pali, pije, nie śpi, źle się odżywia, pracuje po nocach...

To akurat się zgadzało.

– Nadciśnienie ma – kontynuował medyk. – Ma?

Zdziwiłam się, bo żadne tego typu dolegliwości mnie do tej pory nie dotykały.

– Ma! – orzekł stanowczo lekarz, patrząc na mnie. – W tym wieku już się ma! Skrzywiony kręgosłup też na pewno ma!

– Nie ma! – Tego akurat byłam pewna, z moim kręgosłupem było wszystko w porządku!

– Ma, ma... – ciągnął lekarz. – W tym wieku się ma!

Potem pochylił się nade mną, tak jakby chciał mi skontrolować włosy. O poszukiwanie wszy, bo zapewne w tym wieku też się je ma, go nie podejrzewałam, ale może łysina powinna się już u mnie pojawić?...

– Haluksy na stopach też ma. Chce się podobać mężczyznom, to niszczy ciało i umysł! Nosi za ciasne majtki, nieprzepuszczające powietrza, buty, które wykrzywiają stopy, i odkryte nerki – nie odpuszczał pan doktor.

Nie mam haluksów i nie noszę za ciasnych majtek. Zdjęłam buty i pokazałam. Stopy pokazałam, o majtkach nie było mowy. Skrzywił się, bo nie dysponowałam też: żylakami, hemoroidami, zgagą, wrzodami żołądka i krótkowzrocznością połączoną z astygmatyzmem. Nie wiem dlaczego, ale mężczyzna ten założył, że muszę już być czyjąś żoną, i ten fakt powinien był wycisnąć na moim ciele wyraźne piętno. Niechęć do mnie i moje poczucie winy pęczniały z każdą chwilą. W końcu lekarz złapał za wyniki badań.

– Ha! – ucieszył się. – Cholesterol prawie podwyższony! Mówiłem, że w tym wieku...

Gdy skończył mnie badać, bez wątplenia miałam już początki depresji. Oczywiście przeprosiłam go, że pojawiłam się w gabinecie nieprzygotowana, następnym razem zachoruję na coś konkretnego i stosownego i wtedy się pojawię. Przecież w tym wieku nie powinnam mieć z tym większych kłopotów.

Dobry nastrój i chęć kupowania firanek diabli wzięli. Gdy wyszłam z gabinetu, lekarz znalazł się nagle tuż za moimi plecami i ryknął na Boga ducha

winnego Jurka:

– Kobita stworzona do rodzenia! Zapładniać, a nie lenić się!

Całe szczęście, że Jurek ma poczucie humoru. Również dobrze, że ten sam lekarz ocenił stan jego babci jako całkiem dobry. Gerontolog, psiakrew!

21 września, środa

Pojechałam po firanki. Z samego rana. Tam okazało się, że nie zmierzyłam okna i nie mam pojęcia, które będą odpowiednie. Ponadto najbardziej spodobały mi się żółte, które z całą pewnością nie będą pasowały do koloru ścian, który zasugerowała pani Zosia. To może ściany pomalować inaczej? – zastanawiałam się w myślach. Przecież chodziło o ciepły kolor! Nabyłam więc kubełek kremowej farby, dwa pędzle i wróciłam do domu. Oczywiście całe malowanie przeprowadzę sama. Cóż w tym trudnego? Poprosiłam Jurka o pomoc przy zsuwaniu mebli na środek i o pożyczenie drabiny. On sceptycznie popatrzył na kubełek z farbą, potem na moje ściany i drapiąc się po głowie, rzekł:

– To tylko framugi chcesz malować?

Czym prędzej więc pojechałam znów do sklepu i kupiłam jeszcze trzy takie kubełki. Jurek nieśmiało zaproponował pomoc, ale ja czułam w sobie moc i szalony przypływ energii. Sama pomaluję! Co to miłość robi z człowiekiem!

Otworzyłam pojemnik z farbą, umoczyłam pędzel i weszłam na drabinkę. Zastanawiałam się przez chwilę, jak dobrze zacząć, z prawej do lewej czy z góry na dół, kiedy zadzwonił telefon. Oczywiście klient. Pieniądze też są potrzebne, zwłaszcza gdy inwestuje się w remont. Zeszłam i popracowałam.

Klient był dość rozmowny.

– Mam tyle problemów, pani Emilio, gmatwa mi się życie – zaczął od westchnienia. – Proszę spojrzeć, czy wkrótce coś się zmieni.

– Dobre wieści są przy panu, to jest początek, nie potrwa to wszystko długo, ale pojawią się wskazówki, jak działać.

– No nie wiem, boję się... A co, jeśli znów pojawi się porażka? Nie przeżyję tego!

– Proszę tak nie myśleć, dziecko nie boi się, że spadnie z huśtawki, dopóki nie spadnie.

– A można trochę jaśniej?

– Pan ucieka od wsparcia, które jest tuż obok, bo wizja problemów jest panu bliższa, czuje się pan z tym bezpieczniej, już pan to zna. A słońce zaświecić może szybciej, niż się komukolwiek zdaje, jeśli tylko dopuści pan do siebie przyjaciół, którzy istnieją i chcą pomóc. Pan się boi strat, lęka przegranej, a tymczasem szybko nadeszłyby dobre wieści, dzięki którym otworzyłyby się pan przede wszystkim na siebie i swój potencjał.

Ponieważ klient wciąż milczał i wzdychał, kontynuowałam zapatrzona

w wysychający pędzel.

– Pan szuka zakotwiczenia w ludziach, ale nie wierzy ani kobiecie, ani mężczyźnie. Tymczasem los panu sprzyja, wystarczy zaufać. Martwi się pan i czasem chce już zrezygnować, a zmartwienie to przecież nauka pokory, bardzo potrzebna do rzeczy wielkich, nie należy zatem bać się i wątpić. Przesłanie i rada: marzenia sięgają chmur, bądź jak dziecko, które niczego się nie boi, wymieć z siebie lęki, a będziesz jak ten, który osiąga gwiazd. Karta przesłania na koniec: księga, czyli mądrość. Tu szukaj odpowiedzi na pytania. W mądrości.

Skończyłam mówić, a wtedy on po dłuższej chwili wyszeptał mi do słuchawki, że jest właśnie na spotkaniu i nie usłyszał tego, co mówiłam przez ostatnie kilka minut, ale i tak nie może teraz rozmawiać i zadzwoni później. Rozłączył się.

Gdy ponownie weszłam na drabinkę, pędzel i farba na nim zaschły, tak że próba lekkiego przygięcia przy ścianie zakończyła się ozdobieniem jej i mnie przy okazji serią maleńkich kremowych kropeczek. Wtedy uzmysłowiłam sobie, że w telewizji pokazują facetów z wałkami na drągach, którzy w kwadrans przeprowadzają metamorfozę całego mieszkania. Zeszłam z drabiny, pojechałam do sklepu, kupiłam wałek, kij i korytko na farbę.

W domu od razu przekonałam się, że do posługiwania się wałkiem na kiju potrzeba specjalnego przeszkolenia. Mocno specjalistycznego. Którego ja nie przeszłam. Kij okazał się bowiem wybitnie nieporęczny, trafiałam nim głównie w sufit i meble stojące na środku. Udało mi się nie wybić okna. W niedługim czasie pokryłam artystycznymi maźnięciami chyba większą część pokoju, jednak nie tę powierzchnię, o którą mi chodziło. Nie wiem jak, ale siebie samą też nieźle pomalowałam. Pozbyłam się w końcu drąga, wzięłam do ręki wałek i wdrapałam na drabinę. Tam przypomniałam sobie, że nie umoczyłam wałka w farbie. Zeszłam więc i umoczyłam. Wtedy coś mnie podkusiło, żeby przekonać się, czy istotnie jest tak, jak pokazują w reklamach, że gdy się machnie, to farba nie kapie. No i zamachnęłam się. Przez następne kilkanaście minut starałam się przywrócić podłodze jej dawny kolor.

Jeszcze właściwie nic nie pomalowałam, a już bolały mnie ramiona i entuzjazm malał. Jestem jednak wytrwała, zawzięta i zawsze doprowadzam do końca, co zaczęłam. Rozpoczęło się kursowanie po drabinie, z wałkiem w ręce. Wpadłam w trans, jak maszyna pokrywałam ścianę od sufitu do połowy jej wysokości pięknym kremowym kolorem. Miłość naprawdę uskrzydla. Myślałam, ile cudownych chwil przeminie w otoczeniu tych kremowych ścian. Wtedy nagle mnie zastopowało. Nie mam w czym moczyć wałka! Farba wyszła! Niewiele myśląc, znów udałam się do sklepu. Kupiłam kolejne trzy baniaczki. Jeden otworzył się po drodze i połowa mojego samochodu też jest teraz kremowa. Starałam się malować dokładnie, tam gdzie odcień był inny, nakładałam kolejną

warstwę. Nawet nie wiem, kiedy i ten zapas farby się wyczerpał.

W sklepie sprzedawca bez słowa postawił przede mną trzy kubelki kremowej farby. Bez słowa zapłaciłam i wróciłam do domu. Koniec malowania był bliski, jeszcze tylko pół jednej ściany i będzie po wszystkim. Gdy skończyłam malować ostatni fragment, ściany musiały wyschnąć. Postanowiłam więc zabrać się do sortowania ubrań w szafie, w drugim pokoju. Grunt to ekonomiczne wykorzystanie każdej minuty. Wyjmowałam więc po kolei te fragmenty garderoby, które absolutnie są mi niezbędne i muszą zostać. Przewidując, że uzbiera się ich niewiele, przygotowałam sobie kilka wieszaków.

Niestety. W niewytłumaczalny dla mnie sposób fura ubrań rosła w zastraszającym tempie, zaś na drugiej kupce, tej przeznaczonej do usunięcia, znalazły się stary sweter mojego ojca oraz wielgachne sztruksowe spodnie, które na pewno nie są moje. Reszta rzeczy okazała się niezbędna. Nie warto się załamywać, pomyślałam. Gdy następuje impas, należy na chwilę przerwać i wrócić do problemu za jakiś czas. Dzięki temu zyskujemy perspektywę i rozwiązania same się pojawiają. Tak gdzieś kiedyś przeczytałam. Zostawiłam więc szafę i stos ubrań leżący na łóżku i w poszukiwaniu perspektywy udałam się do pokoju, który przechodził metamorfozę. Ku mojemu niezadowoleniu spod wysychającej farby gdzieś tam przebijały jakieś ciemne, nieestetyczne smugi. Nie ma rady. Trzeba pomalować jeszcze raz. Farba w korytku zaschła na mur – razem z wałkiem, który się do niego przykleił. Pojechałam więc i kupiłam: nowe korytko, nowy wałek i dziesięć kubelków farby. Sprzedawca zapytał, czy ten dom jest bardzo duży, bo niedługo może zabraknąć surowca. Pierwszy raz zabieram się do takiego remontu, skąd mogłam wiedzieć, że stosunkowo niewielki pokój pochłonie aż tyle farby?

Ponownie przystąpiłam do malowania. Tym razem szło mi dużo szybciej. Jednak ćwiczenie czyni mistrza. Wkrótce druga warstwa schła na ścianach, a ja nie mogłam się nadziwić, że zużyłam tylko niecałe dwa kubelki. Udałam się do drugiego pokoju, spojrzałam na ciuchy i dokładnie zamknęłam za sobą drzwi. Zyskałam taką perspektywę, że postanowiłam zająć się tym później. Kiedyś. Nie teraz. Nie dziś. Przypomniałam sobie o firankach. Zmierzyłam okno kawałkiem włóczki, bo o kupnie miarki oczywiście wcześniej nie pomyślałam. Pojechałam do sklepu i na pytanie sprzedawcy o wymiar, rozciągnęłam przed nim włóczkę. „Aha” – powiedział tylko i sprzedał mi firanki. W domu okazało się, że pasują, jakby były szyte na wymiar, ale ich kolor gryzie się nieznośnie z kolorem ścian. Zdjęłam je i założyłam te poprzednie. Pasowały idealnie. Jutro zajmę się przygotowaniem miejsca w szafie. I na łóżku. Dziś przenocuję u Marka. Remont bardzo mnie wyczerpał, muszę się zrelaksować. No i nie mam gdzie spać. Nie mogłam się do niego dodzwonić, ale chyba to oczywiste, że nie muszę wszystkiego z nim uzgadniać!

wieczorem

Gdy weszłam do budynku, w którym mieszkał Marek, na klatce schodowej rozległ się huk, jakby pół bloku się zawaliło. Domyśliłam się, że Marek jest w domu i się pakuje. Pęczniała we mnie ogromna nadzieja, że nie wszystko jest już spakowane i gotowe do wyniesienia, zatem zyskam trochę czasu i nie będę musiała tłumaczyć się z bałaganu u mnie. Pokój wprawdzie odmalowany, ale ten stos na łóżku!

Tymczasem u Marka na szczęście wcale nie było lepiej niż u mnie. Mieszkanie przypominało magazyn śmieci. Wszystkie meble racjonalnie pozsuwał na środek pokoju. Pełne szafy stały odwrócone drzwiami do siebie, szafka z talerzami stała do góry nogami i nikt nie miał odwagi jej otworzyć. Krzesła i stół splotły się ze sobą w niewytłumaczalny sposób i wynoszenie ich pojedynczo było absolutnie niemożliwe. Bardzo szybko zabrakło ubrań na zmianę, czystych naczyń i innych potrzebnych rzeczy. Kuchnia zawalona była różnymi rupieciami, do których nikt się nie przyznawał. Byłam okropnie zmęczona, ale Marek uparł się, żebyśmy popakowali jeszcze trochę i jutro zrobili sobie wolne. Tylko ten zamknięty pokój pozostał nienaruszony.

– Nie wiem jak ty, ale ja muszę iść spać – wystękałam po dwóch godzinach usiłowań dzielenia rzeczy na potrzebne i niepotrzebne, bo to przecież absurd zabierać wszystko. Udało mi się wydzielić cztery wory potrzebnych drobiazgów, w ręce trzymałam dwa niepotrzebne. – Fanaberia taka.

– A proszę uprzejmie, ale będziesz chyba musiała przykleić się do szafy albo zawisnąć na żyrandolu, bo tu nie ma miejsca – odpowiedział Marek, który uparł się, że rozplącze krzesła.

– Skąd ty masz tyle rzeczy? Przecież mówiłeś, że mieszkasz sam i od niedawna! – krzyknęłam rozpaczliwie. – Pamiętasz, że ja mam małe mieszkanie? Zapomniałeś? Myślałam, że zabierzesz tylko trochę rzeczy, a ty, zdaje się, zbierasz graty od sąsiadów!

– Mnożą się na poczekaniu, dlatego muszę je rozdzielić! – stęknął Marek, zupełnie nie zwracając uwagi na to, co mówię. – O co ci chodzi? Przecież zabieram tylko kilka najpotrzebniejszych sprzętów! Nie likwiduję całego mieszkania!

Tymczasem po całym domu wałały się kartony, niektóre częściowo załadowane, wiły się kable, które plątały nogi, i poniewierały się jego osobiste rzeczy. W dodatku – nie wiedzieć dlaczego – Marek wypchnął spory regał na książki przed drzwi. Zanim do niego dotarłam, przywołał windę. Gdy winda przyjechała, okazało się, że mebel do niej wejdzie, ale zapełnia ją w całości. Pomyślał więc, że regał pojedzie na dół sam i tam go sobie odbierze. Winda ruszyła, a Marek, gubiąc kaptcie i omal nie spychając mnie ze schodów, popędził na parter. Na dole windy nie było.

– Pojechała na górę! – jęknął, gdy do niego dobiegłam, ogromnie zaniepokojona.

– Kto pojechał?! – chciałam wiedzieć.

– Regał z windą. To jest winda z regałem.

Na wszelki wypadek nie odzywałam się, bo Marek wyglądał tak, jakby miał kogoś zabić. Winda z zawartością wkrótce zjechała na dół i tu okazało się, że jej próg znajduje się niżej niż podłoga parteru, a regału nie da się podnieść, bo dotyka do sufitu windy. Należałoby podnieść windę, ale to przekraczało nasze możliwości, niestety.

– To ten głupi Balcerzak namówił mnie na zakup tego ścierwa! – zawarczał Marek i miał na myśli chyba regał, nie windę. – Oby z piekła nie wyrzął!

Upiorny mebel wrócił na piętro Marka, bo tylko tam – ze wszystkich niższych pięter – podłoga windy znajdowała się na tej samej wysokości co podłoga piętra.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak tylko znieść tego grata schodami! – oświadczył Marek i zlustrował mnie od stóp do głów. Wzrok zawiesił w szczególności na moich botkach, uzbrojonych w ośmiocentymetrowe obcasy.

– Czyś ty oszalał?! Przecież to jest czwarte piętro?!

– No to zepchnę tę kobyłę na zbity pysk, jakoś sama zjedzie!

Można napisać: jak postanowił, tak zrobił. Nawet nie zastanowił się, że jest prawie trzecia w nocy. Po chwili cały nabój zjechał z łoskotem ze schodów i roztrzaskał się na drobne kawałki o drzwi sąsiadów.

– Teraz przynajmniej będzie go można łatwo wynieść – skwitowałam sprawę.

Ale Marek nie wyglądał na rozradowanego.

– A jak u ciebie? – zapytał. – Może przenocujemy w twoim mieszkaniu?

– No cóż, u mnie prace są zaawansowane, można powiedzieć. Nawet bardzo zaawansowane... Ale spać nie ma gdzie!

Pozbieraliśmy dechy, żeby sąsiad mógł rano otworzyć drzwi, choć i tak wyglądały one, jakby je ktoś grabiami orał. Trochę mnie zdziwiło, że na te hałasy zareagowało tylko kilka osób. Może mieszkają tu sami głusi. Na ten dzień, a raczej noc, to było wszystko. Padłam, po prostu zasnęłam, sama nie wiem, kiedy i gdzie.

22 września, czwartek

– Dzisiaj robimy piwnicę – oznajmił Marek wczesnym rankiem. Nie zdążyłam nawet otworzyć dobrze oczu, a on już był ubrany, zwarty i gotowy.

– Dlaczego dzisiaj? – zaprotestowałam. – I dlaczego piwnicę?

– Bo to odpowiedni dzień – odrzekł Marek stanowczo. Drugie pytanie zignorował.

– A co? Miałeś widzenie we śnie? Co trzymasz w piwnicy takiego

potrzebnego?!

– Nie wygłupiaj się! W weekend nie zamierzam wyciągać gratów na oczach ludzi, a w tym tempie jeszcze długo po Sądzie Ostatecznym będziemy się przeprowadzać. Rusz się!

Nie było rady, niechętnie, ale wstałam z łóżka, doprowadziłam się do porządku i zeszłam posłusznie za Markiem do piwnicy. Piwnica stanowiła mikroskopijną przestrzeń, w której mrówce powinno być ciasno, posiadała jednak cudowną właściwość. A mianowicie okazało się, że można tam wepchnąć słońca z rodziną oraz całym dobytkiem i jeszcze zostanie dużo miejsca. No i w ciągu ostatnich miesięcy w piwnicy lądowało wszystko, co powinno było się jeszcze kiedyś przydać, a o czym Marek natychmiast zapominał. Zatem tego, co właściwie kryje w sobie piwnica, nie wiedział nikt.

Marek, ubrany w płaszcz przeciwdeszczowy i spodnie, których w razie czego nie będzie żał, przeżegnał się i podszedł odważnie do drzwi piwnicy. Ja stałam dwa metry dalej, dzierżąc w ręce saperkę pożyczoną od pana dozorczy. Marek ciężko przełknął ślinę, zamknął oczy i otworzył drzwi piwnicy.

– Padnij! – wychrypiał na całe gardło, gdy drzwiczki skrzypnęły. Nogi się pode mną ugięły i odruchowo rzuciłam w niego saperkę. Marek otworzył jedno oko, a widząc, że żyje, patrzył, co się stanie. Nie stało się nic. Z wnętrza piwnicy nic nie wypadło. Wszystkie znajdujące się tam rzeczy zwały się w jedną całość.

– Bez kilofa tego nie ruszymy – rzekł ponuro Marek. – Idę po sznur.

– Oszalałeś?! Z powodu głupiej piwnicy chcesz się wieszać?!

– Dzień dobry, sąsiedzie! Nie za wcześnie na porządki? Na dworze jeszcze ciemno! – Głos sąsiada z bloku zagrzmiął jak trąba jerychońska.

– Nie, przeciwnie, bardzo dobra pora... – wyjąkał Marek zły, że natknął się akurat na niego. – Dla nas lepiej, że nic nie widać, bo rozumie pan, patrzeć na to już nie mogę...

– Rozumiem, rozumiem! To skoro tak, to ja sobie wezmę tę łopatkę, państwu już pewnie nie jest potrzebna...

Sąsiad pociągnął za plastikowy uchwyt widniejący w rzeźbionej skale. W godzinę później wokół budynku zgromadził się już wcale spory tłumek, który na wszelkie sposoby utrudniał pracę służbom ratowniczym i policji, bo każdy chciał na własne oczy zobaczyć, co się stało. Gdy ktoś przez nieuwagę zgasił światło, rozległy się krzyki, bo nikt nie wpadł na to, że można je ponownie zapalić.

– Panie, co tu się stało?

– A nic. Film kręca.

– Panie, jaki film?! Bombę podłożyli!

– Jakby podłożyli, toby chyba wybuchła!

– No przecież wybuchła! Widział pan tego jednego? Rączka od łopaty mu w rękę została! Ja się na tym znam, bo wojnę przeżyłem!

– Wojna?! Marek! Do domu! Tu wybuchła wojna!

Strażacy wjechali na ósme piętro i wybili okno w mieszkaniu pewnej pani, która z góry krzyczała na dziecko. Siłą ściągnęli ją na dół po drabinie, a jej mężowi kazali skakać w samej piżamie, przekonując, że na dole ktoś go na pewno złapie. Przez następny tydzień wszyscy mieszkańcy bloku pomagali nam w przeprowadzce...

Ten ostatni fragment to oczywiście wytwór mojej wyobraźni. Obraz ten pojawił się, gdy tylko niezastąpiony sąsiad wyciągnął coś z tej litej skały złożonej z różnych gratów. Do wieczora porządkowaliśmy pobożowisko. Prawie późną nocą upchnęliśmy z Markiem kilka kartonów w jego samochodzie, po czym okazało się, że zajęty też jest fotel kierowcy. Do mojego auta mieści się wyłącznie moja torebka, zatem tam upchnęliśmy torby z ciuchami Marka i różne „miękkie”. Jechałam z duszą na ramieniu, bo te różne „miękkie” rozpadły się w trakcie jazdy i turlały po podłodze. Jedna jedyna torba, której Marek nie pozwolił mi nawet dotknąć, podróżowała oddzielnie, w bagażniku przymocowanym do dachu samochodu.

Na miejsce dotarliśmy zmęczeni jak nigdy, a jeszcze należało wszystko wypakować. Gdy pomyślałam, że czeka mnie na dodatek sortowanie ubrań, które zostawiłam na łóżku dwa dni temu, zachciało mi się płakać. Naprawdę nie wiedziałam, że rozpoczynanie wspólnego życia jest aż tak wyczerpujące! Oczywiście, zupełnie zapomniałam o dyżurze w telewizji. Ponieważ telefonu też nie odbierałam, zastąpiła mnie wróżka Proszula.

Podobno pół wieczoru instruowała widzów, na co działają pieczone myszy. Twierdziła, że już w starożytności używano ich w celach leczniczych, na przykład na ból gardła czy gorączkę. Zmieszane z miodem służyły jako doskonała płukanka do ust. Ja słyszałam kiedyś, że to czarownice stwarzały myszy, które spadały wraz z gradem na ziemię. Wróżka Proszula poinformowała także, że sproszkowane myszy to doskonały środek na uniknięcie nocnego moczenia. Chyba po nastraszeniu delikwenta, że będzie musiał połknąć takie świństwo, od razu przestawał się moczyć – ze strachu.

Na koniec radziła wszystkim chorym, żeby zostawili gdzieś czarny guzik od swojego ubrania w taki sposób, żeby ktoś musiał wziąć go do ręki. Podobno w ten sposób można komuś „przekazać” swoją chorobę. Zaczynam bać się tej baby! I co ja mam teraz zaprezentować? Chyba podpalić się na wizji!

28 września, środa

Nieważne, formalny czy nie. Ważne, że jest. Związek. Relacja. Bliskość. Fajnie, że budzę się obok osoby, o której mogę powiedzieć: kochany. Fajnie jest być rano niewyspaną, bo ten kochany najpierw nie dał spać, był bardzo aktywny, a później dlatego że chrapał, aż się żyrandol kołysał. Fajnie jest wstać rano

i zobaczyć go nieogolonego, w wypchanych na tyłku gaciach, rozczochranego i tak słodko nieporadnego, gdy proszę o zaparzenie herbaty. Fajnie, gdy parzy kawę, której zapachu nie cierpię (jakoś dziwnie przy nim mniej nie cierpię) i zobaczyć to spojrzenie, które mówi: „I co ja mam teraz z tobą począć?”.

Spaliśmy na materacu, w kuchni. W jednym pokoju stały meble zsunięte na środek, w drugim piętrzyły się moje ciuchy, dosłownie wszędzie. Jakoś od tygodnia nam to zupełnie nie przeszkadza... Dziś jednak okazało się oczywiście, że nie mam się w co ubrać, stos więc do mnie przemówił. Obiecałam, że zajmę się nim już jutro.

Markowi, który z rozdziawioną buzią przyglądał się takiej ilości szmat, najbardziej szokująca wydała się informacja, że nie mam co na siebie włożyć. Nie powiedział absolutnie nic, ale z tym rozdziawieniem wyszedł z domu i zapewne spotka się ze swoimi klientami, nie zamykając ust. Gdy wyszedł, ja zorientowałam się, że wszystko, co jest mi na dziś potrzebne, czyli karty i komputer, znajduje się gdzieś pod stosem tych ubrań, nawet nie wiem, w jaki sposób tam się znalazło. Dobrze, że przynajmniej telefon miałam przy sobie.

Klientów zgłosiło się niewielu, więc zgodziłam się potowarzyszyć dziś panu Przemkowi, który postanowił wybrać pierścionek dla Hortensji. Widać moje liściki miłosne, które mu wcześniej napisałam, przydały się, skoro był już na etapie kupowania pierścionka. Teraz dużo rzadziej dzwoni. I dobrze, bo Marek dostaje szału, gdy słyszy go w słuchawce. Sama nie wiem dlaczego.

później

Pan Przemek przegonił mnie po wszystkich dostępnych sklepach z pierścionkami, palec mi prawie odpadł od ciągłego ich mierzenia, bo pan Przemek uparł się, że jego Hortensja ma ten sam rozmiar palca. Oczywiście, domagał się, abym wskazywała ten pierścionek, który najbardziej mi się podoba, po czym, gdy już to zrobiłam, odkładał go na bok z uwagą, że jest wyjątkowo nieładny.

Kłóciliśmy się niemal bez przerwy, w pewnej chwili nie wytrzymałam i wysiadłam z auta na skrzyżowaniu. Pan Przemek zatrzymał się na światłach, wysiadł za mną i rozpoczęliśmy awanturę na oczach pozostałych kierowców. Dopiero wtedy ktoś przywołał nas do porządku. Kierowca taksówki podszedł do pana Przemka i powiedział:

– Panie, ludzie chcą jechać. Namów pan koleżankę małżonkę, żeby wsiadła do auta, pojedziecie do domu i tam się pokłócicie.

– To nie jest moja żona! Ja się innej chcę oświadczyć! – ryknął pan Przemek.

– Kochany! – Uderzył rękoma w uda kierowca taksówki. – I ty się do tego przyznałeś?! Że się innej oświadczyłeś?! Z byka pan spadłeś?! To ja się teraz nie dziwię, że pani taka wzburzona!

Gdy odwiózł mnie do domu, obiecałam sobie solennie, że nigdy więcej! Boluś odebrał przysięgę. Wzruszył skrzydełkami i pokiwał łepkiem, a Kora westchnęła ciężko.

29 września, czwartek

– Jesteś, moja kochana Syrenko! Wreszcie cię odnalazłem! – tak zaczął pierwszy klient, gdy powitałam dziś telewidzów. Zatkano mnie. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Jako Syrenka funkcjonowałam ładnie kilka miesięcy temu na jednym z portali randkowych, po czym ostatecznie zlikwidowałam profil i Syrenka odeszła w niebyt. Z tego, co pamiętam, każdego, z kim prowadziłam korespondencję, uprzedziłam o tym fakcie. Co to zatem ma znaczyć? Cichy, nawet bardzo cichy wielbiciel? A zatkano mnie, bo gość, który zatelefonował, prawie się popłakał, że ja to ja. Tak długo mnie szukał, wyznał ze szlochaniem, że prawie stracił już nadzieję na odnalezienie, i proszę bardzo, udało się. Oto ja, we własnej osobie na ekranie jego telewizora, jak żywa.

– Jak masz na imię? – zapytałam ostrożnie. – Jesteś pewien, że to mnie szukałeś?

– Tak! To ty! – zawołał tajemniczy głos. – Na pewno ty! Moja Syrenka! To z tobą umówiłem się pod kolumną Zygmunta, pamiętasz? Byłem tak oszołomiony, że pozwoliłem ci odpłynąć! Teraz już cię znalazłem! Jesteś moja, Syrenko!

Szybko przebiegłam pamięcią spotkania, dość nieliczne, do których doszło pod kolumną Zygmunta. No tak, zdaje się, że to Bracik Żeglarz pojawił się na horyzoncie. Ten sam, który mnie wtedy wystawił i nie przyszedł, a potem umówił się ze mną tylko po to, by mi powiedzieć, że nie może rozmawiać, bo jest już późno. Choć sam wyznaczył godzinę spotkania. Dziwak, ale ciekawie rozmawiało się z nim wtedy za pomocą języka filmików z Youtube, a. No cóż, Bracik powzdychał na wizji jeszcze przez chwilę, potem zdenerwował się, gdy powiedziałam mu, że niestety, ale jestem już zajęta Syrenką, oznajmił, że to nie w porządku i rozłączył się. Historia w sam raz na walentynki. Reżyser Sławek otarł łezkę rękawem i powiedział:

– Wzruszyłem się do głębi...

Na koniec kolejny odcinek opowieści o wampirach. W telewizji każda sekunda jest droga. Gdy klienci nie dzwonią, trzeba jakoś wykorzystać czas, przeważnie snując rozmaite opowieści. Jedna wróżka sypie przepisami na porost różnych części ciała, inna przytacza znaczenie poszczególnych znaków zodiaku, a ja czytam bajki...

Tej nocy Marian długo nie mógł zasnąć. Nieustannie przywoływał w myślach obraz pięknej nieznanym, którą zobaczył na przystanku autobusowym. Dziewczyna zainteresowała go tak bardzo, że teraz obmyślał plan, w jaki sposób

zaczepić piękną blondynkę i rozpocząć znajomość. A gdyby tak zgubiła w tramwaju portfel?... Ja bym go znalazł, oddał jej, a ona w dowód wdzięczności wyszłaby za mnie za męża...

W jednej chwili Marian zobaczył oczyma wyobraźni tramwaj, a w nim dziewczynę. Pojazd jedzie, ludzie rozmawiają, tramwaj zatrzymuje się na przystanku. Dziewczyna wstaje i wysiada. Marian obserwuje ją przez szybę, jak idzie, omijając kałuże.

– Proszę bilet do kontroli! – słyszy tuż nad głową stanowczy głos. Maca kieszenie, ale biletu nie ma. Marian jest przecież w piżamie.

– Nie mam biletu – tłumaczy ze skruchą. – Zostawiłem w kieszeni spodni.

– W takim razie proszę wysiąść!

Zaraz, a gdzie jest portfel, zastanawia się Marian.

Przekręcił się na drugi bok i zaczął jeszcze raz. Tym razem ma bilet przy sobie. Wszystko to samo, ludzie, dziewczyna, tramwaj jedzie i zatrzymuje się. Dziewczyna wysiada, podchodzi kontroler, Marian pokazuje mu bilet, kontroler odchodzi.

– Chwileczkę! Ja muszę wysiąść! – reflektuje się Marian i ciągnie za dźwignię hamulca. Tramwaj gwałtownie wyhamowuje, przybiega motorniczy, ludzie usiłują oderwać Mariana od rączki hamulca, nie wiadomo skąd zjawia się policjant...

– Nie! To nie tak miało być... – mruczy Marian i znów zamyka oczy.

Jadą tramwajem. Ludzie, dziewczyna – bez zmian. Dziewczyna ma przy sobie portfel, a Marian bilet. Portfel dziewczyny znajduje się w torebce. Marian ani przez chwilę nie spuszcza z niej wzroku. Dziewczyna sięga ręką do torebki, gdy – tak jakby coś sobie nagle przypomniała – wkłada dłoń do kieszeni. No tak. Ona ma bilet w kieszeni. Tramwaj zatrzymuje się, dziewczyna wysiada i idzie sobie. Marian zrywa się i ciągnie za hamulec. Zjawiają się ten sam policjant i motorniczy.

– Panie! Coś się pan tego hamulca tak uczeplił! Jak tak dalej pójdzie, to nigdy nie wyjedziemy z tego snu!

Marian zrywa się na równe nogi i rozgląda wokoło. Nikogo. Cisza. Dlaczego nie wyjęła biletu z portfela? – Przecież w ten sposób nigdy go nie zgubi! – mówi do siebie z lekką irytacją. Prędzej go jej ukradną!

Ukradną! Ukraść portfel! Marian uśmiechnął się do siebie. Tak, to jest myśl. Gdyby jej niepostrzeżenie ukradł portfel, a potem za nią wysiadł i powiedział, że zgubiła, to dziewczyna z pewnością chciałaby się odwdziżyć. Zaprosiłaby do siebie, a wtedy...

No dobra. Jadą tramwajem. Pasażerowie przyglądają mu się podejrzliwie, a jeden pan broni dostępu do hamulca. Jest dziewczyna. Kasuje bilet i zajmuje miejsce. Marian siada tuż za nią. Torebka dziewczyny zwisa jej z ramienia i kołysze się lekko. Suwak nie jest zasunięty. Portfel leży na wierzchu. Marian

udaje, że patrzy przez okno, a jednocześnie wyciąga rękę i przesuwają ją w stronę torebki. Tramwaj zatrzymuje się na przystanku. Wsiadają jacyś ludzie. Marian szybko cofa rękę, bo przy dziewczynie stanęła gruba baba. Doskonale – myśli Marian. Zasłoni mnie sobą. Ponownie wyciąga rękę. Dotyka materiału i wsuwa dłoń do środka.

– Zboczeniec! – wrzeszczy baba na cały tramwaj. – Wsadził mi łapę pod sukienkę! A masz, ty świntuchu!

– No, dosyć tego, mistrzu! Trzeci raz nie będę powtarzał tego samego. Idziemy na komisariat!

Marian otworzył oczy, pomasaował policzek i westchnął ciężko. To na nic. Chyba dam sobie z nią spokój.

Następnego dnia myśl o zawarciu znajomości z nieznaną blondynką zaprzętnęła Mariana bez reszty. Wyszedł do szkoły bez śniadania i bez szalika, a przez wszystkie zajęcia siedział jak na szpilkach i co i raz patrzył na zegarek. Po wyjściu ze szkoły natychmiast udał się na przystanek w poszukiwaniu blondynki. Dziewczyna stała i mokła. Dziś wydała mu się jeszcze piękniejsza pomimo mokrych strąków na głowie. Na twarzy rozmazany gustowny makijaż tworzył niepowtarzalne zestawienia kolorystyczne, a cały płaszcz pokrywały deszczowe kropki. Wszystkiemu winna była parasolka, która akurat podczas ulewnego deszczu nie chciała się otworzyć. Tramwaj, jak to tramwaj, zatrzymał się na przystanku. Dziewczyna wsiadła, Marian za nią. Rozejrzył się z lekkim niepokojem, ponieważ wydawało mu się, że motorniczy przygląda mu się podejrzliwie. Na wszelki wypadek stanął z dala od hamulca bezpieczeństwa, żeby go nie prowokował. Dziewczyna przejechała dystans trzech przystanków, wstała i zbliżyła się do wyjścia. W Marianie uczucia zakotłowały się. Serce mówiło: tak! Rozum: poczekaj! Ślad uderzenia na policzku był jeszcze świeży. Dusza ciągnęła za dziewczyną, rozsądek pętał nogi. Spojrzył na puste siedzenie i w kącie dostrzegł parasolkę. W ostatniej chwili zerwał się, chwycił parasolkę i wybiegł z tramwaju. Dziewczyny nie było. Rozejrzył się – ani śladu. Wszystko skończone! – krzyknęło w duszy młodzieńca.

– Dlaczego skończone? – zapytał głośno sam siebie. Brudna woda w kałuży, w której stał, kiwała się miarowo.

– A bo ktoś ukradł kawałek chodnika, psiakrew! – Splunął ze złością przechodzący obok cieć. – Co to za ludzie, jak rany! Naprzód ktoś ukradł drzwi do windy, potem, panie, ukradli klamkę do zsypu, a potem kawałek poręczy przy schodach. I ja to, panie, rozumiem. Mogło komuś drzwi do pokoju brakować, do drzwi klamki, balustrady przy łóżku, jasna sprawa, ale po kiego diabła kradną chodnik?! W mieszkaniu podłogi nie ma czy co?!

Marian bezmyślnie wysłuchał monologu dozorca, po czym niczym rzeński rumak przeciągnięty szpicrutą pomknął w stronę przejścia podziemnego.

Dziewczyna szła szybko, czując niewytłumaczalny niepokój. Ten chłopak przyglądał jej się już od dłuższego czasu. Widywała go w tramwaju. Przerazał ją. Potargane ciemne włosy, dzikie spojrzenie spode łba, nienaturalnie czerwone wargi. Zupełnie jakby żywił się ociekającym krwią surowym mięsem – pomyślała – i dreszcze przebiegły jej po plecach niczym stado rozpedzonych mrówek. Niepokojnie obejrzała się za siebie. Zauważyła, że zbir w ostatniej chwili wysiadł z tramwaju i wyraźnie podążał za nią. Usłyszała bicie własnego serca i przyśpieszyła kroku. Czuła na plecach dotyk bandyckich oczu i bała się coraz bardziej. Przeszła przejściem podziemnym, prawie w biegu dotarła do najbliższego budynku. Obejrzała się. Idzie za mną?... Idzie!

Słyszała kroki, które jak młotem waliły jej pod czaszką. Wbiegła na klatkę schodową i dopadła windy. Była już mokra ze strachu, nie tylko od deszczu. Tymczasem Marian jak szalony wpadł do bloku, zobaczył dziewczynę znikającą w windzie i rzucił się w jej stronę. Nie zdążył. Drzwi windy zatrzasnęły się. Dziewczyna odetchnęła z ulgą. Udało się. Zobaczyła rozplaszczony nos na szybce drzwi do windy i wydało jej się, że słyszy niewyraźny jęk: „Halo, pani parasolka...”.

1 października, sobota

Klasyka gatunku, można powiedzieć, czyli dzień na czatach. Niektóre z rozmów zapisałam sobie dosłownie.

– *Dobry wieczór. Tutaj Maria. Mam pytanie w sprawie mojego chłopaka Wojciecha. Dlaczego nie ma zaangażowania z jego strony? Nie kocha mnie? Nie podobam mu się? Czy my będziemy razem, czy on chce tego? Bo ja właśnie nie chcę, uważam, że mnie stać na lepszego – co pani na to?*

Albo:

– *Dzień dobry, mam pytanie: może mi pani powróżyć, jak ze zdrowiem, z kasą, miłością, pracą?*

– *Nie wiem, czy zdążę, proszę podać kolejność, czat trwa tylko dwie minuty...*

Wykupują pakiety dwuminutowe i żądają odpowiedzi na pięćset pytań. Podczas rozmów jest podobnie. Często muszę uświadamiać klientów, że nie mam szklanej kuli i nie jestem jasnowidzem. Przyjemne rozmowy należą do rzadkości, na słowo „dziękuję” nie starcza minut, często pracuję już jak maszyna, odbieram, odpowiadam, rozłączam się i następny. Zobaczę, jak mi pójdzie w tej telewizji i chyba w ogóle zrezygnuję z czatów. To jest zbyt stresujące. Na razie kokosów nie zbijam ani tu, ani tu, razem jakoś to wygląda, ale nie umiem się zdecydować.

W pralni króluje niepodzielnie Roksana, nawet nie mam co pytać ojca, czy zapłaciłby mi za dyżury. Zresztą, nie chcę tam wracać na stałe. Wystarczy mi rozmowa z sąsiadką. Ona ostatnio poszła na kurs asertywnego myślenia. Może dlatego tak stanowczo załatwia sprawy z klientami z pralni. Szybko, upierzemy czy

nie upierzemy, a jak ktoś niezadowolony, to niech idzie gdzie indziej albo nie brudzi pościeli tak mocno.

Obiadki u pani Danusi stały się już tak oczywiste, że ojciec nawet nie mówi, że wychodzi. Wsiąkł w tę znajomość do tego stopnia, że zaczął zaniedbywać inne sprawy. Nie poznaję go. Święty interes spadł na dalszy plan. Może ktoś podmienił mi ojca?

Umówił się na dzisiejsze popołudnie z księdzem Rafałem, który przyszedł i ojca nie zastał. Roksana też wyszła, na chwilę zostałam sama. Z księdzem Rafałem nie widziałam się od blisko miesiąca. Wiecznie zajęty, wiecznie zabiegany. Ja zresztą także. Ugościłam go tylko kubeczkiem wody, bo przecież nie mogłam wyjść z pralni.

– Prowadzimy taką akcję w naszej parafii – rozpoczął ściszym głosem ksiądz Rafał, jakby mówił o tajemnicach Watykanu, i nerwowo miętolił w palcach guzik od sutanny. – Chcemy organizować spotkania z udziałem ciekawych ludzi i w ten sposób jednoczyć naszych parafian. Wymyśliliśmy razem z księdzem proboszczem, że jeśli na wzór spotkań czwartkowych my zorganizujemy raz w tygodniu, na przykład w sobotę, takie spotkania towarzyskie, to wtedy nasi podopieczni poznają się lepiej, może liczba tak zwanych singli zmaleje, ludzie się odnajdą nawzajem i połączą. Ale musi być motyw przewodni tych spotkań i ksiądz proboszcz zaproponował spotkania tematyczne, co sobota przyjdzie ktoś inny i opowie o tym, co robi i dlaczego.

Ksiądz Rafał mówił i gestykułował zawzięcie. Wylał więc na siebie całą wodę z kubka, a gdy strzepywał krople z sutanny na podłogę, urwał ten guzik, którym zajmował się wcześniej. Guziczek potoczył się pod ladę. Oboje padliśmy na kolana, żeby go poszukać. W takiej pozycji zastała nas klientka. Ksiądz Rafał poderwał się pierwszy i podał zaskoczony kobiecie rękę, w której trzymał znaleziony guzik. Biedaczka nie wiedziała, co z nim zrobić. Patrzyła podejrzliwie to na mnie, to na księdza, wreszcie pokłóciła się ze mną, bo jak stwierdziła, dobrze wie, gdzie te kamery są poutykane. W końcu machnęłam ręką i powiedziałam:

– Tak, ma pani rację, proszę się uśmiechnąć, jest pani w ukrytej kamerze.

Na to ona potoczyła triumfalnie wzrokiem dookoła i mruknęła coś w stylu: „Wiedziałam! Ten ksiądz to też pewnie jakiś przebieraniec! Bujać to my, a nie nas”.

– Pomysł fantastyczny, tylko że ja teraz zajmuję się wrózeniem, a tego ksiądz chyba nie pochwała – uśmiechnęłam się i odebrałam od klientki zarówno ów guzik, jak i paczkę ubrań do prania.

– No tak... – zmarszczył czoło ksiądz Rafał. – Ale może przysłaby pani i dzięki naszym spotkaniom odnalazła drogę do innej profesji, bardziej godnej? Bo ja już nawet tak się zastanawiałem... A pani znajomy czym się zajmuje, czymś ciekawym? Może on? – zmienił temat.

Zawahałam się. Ksiądz Rafał widział mnie w towarzystwie Jurka, mógł pomyśleć, że stanowimy parę, nie wiedziałam, czy powinnam wyprowadzać go z błędu.

– Tak, pisze książki, całkiem fajne o... – W porę ugryzłam się w język, bo już miałam powiedzieć, że o wampirach, ale ostatecznie powiedziałam: – ...o zwierzętach. Takie dla dzieci.

Ksiądz rozpromienił się i powiedział, ściskając mi rękę:

– To doskonale, bo nasza parafia chce poszerzyć działalność właśnie o ofertę dla dzieci, może jakieś bajeczki by im opowiadał. Pani przyjaciół mógłby z nami współpracować. Mamy wielu małych podopiecznych. Proszę go zaprosić w moim imieniu. Dziś po wieczornej mszy, w salce na plebanii!

Pożegnaliśmy się, ja jeszcze na koniec obiecałam zaprosić także inne ciekawe osoby. Może tego Kazimierza? Zapytam Roksanę, czy już się odnalazł. Rysiwie też są interesujący. A co do Marka? Sama nie wiem. O czym mógłby tam opowiadać? O kablach do komputera? A może o tym, w jaki sposób sprawić przyjemność ukochanej kobiecie? To też jest sztuka adorować ją, tak by czuła się wyjątkowa, piękna i rozświetlona wręcz światłem miłości.

wieczorem

Poszliśmy na spotkanie wszyscy razem: mój ojciec, ja, Roksana – bez Kazimierza, którego wciąż nie ma, Jurek i jego babcia oraz pani Danusia z chudym i milczącym synem Mateuszem. Marek, niestety, znów był zajęty. Kochany, wysłał mi przepaszającego SMS-a i bukietik wirtualnych kwiatków. Przyszliśmy w porze odprawiania wieczornej mszy, bo ojciec uparł się, że to właściwa godzina.

Wszystkie ławki były zajęte. Jedyne wolne miejsce siedzące, które dostrzegłam, znajdowało się przy ustawionym niedaleko wejścia konfesjonale. Babcia Jurka podreptała więc tam, usiadła na krzeselku i natychmiast zasnęła. Dyżur pełnił młody ksiądz, niedawno odbyła się jego prymicja, i on sam był niezwykle przejęty tym, że jest już pełnoprawnym spowiednikiem, gotowym do wypełniania swojej misji. Gdy dostrzegł przez kratkę, że ktoś się pojawił, uczynił znak krzyża i z pełną powagą pochylił głowę w stronę penitenta.

– Wyjaw swoje grzechy... – zaczął ksiądz i zerknął dyskretnie w stronę osoby – ...córko.

Trudno powiedzieć, że usłyszał ciszę, ponieważ kościół aż zatrzęsął się od gromkiego „Alleluja!” zaintonowanego przez odprawiającego mszę księdza proboszcza. Ksiądz pochylił więc głowę bliżej do kratki i powtórzył nieco głośniejsze.

– Wyjaw swoje grzechy, córko. Pan cię słucha.

Znów nic. Zdezorientowany spowiednik odczekał dłuższą chwilę, po czym zrobił znak krzyża i zapukał. Może nie usłyszał tej spowiedzi, w kościele było dość głośno, starsza pani mogła mówić cicho i niewyraźnie, w końcu przecież Pan Bóg

słyszy wszystko, pocieszał się w duchu. Jednakże miejsce przy konfesjonale nie zwolniło się. Ksiądz był w rozterce. A jeśli starszej pani coś się stało...? Na wszelki wypadek odmówił za nią *Ojcze nasz*, *Zdrowaś Maryjo* i jedną cząstkę różańca. Nadszedł jednak moment, kiedy należało opuścić konfesjonał. Ksiądz proboszcz kończył wygłaszać kazanie. Dotyczyło ono niezwykle ważnej kwestii poszukiwania w bliźnim nadprzyrodzonej godności ludzkiej i podobieństwa do osobowości boskiej w kontekście wolności człowieka do życia w prawdzie. Większość obecnych, z ministrantami na czele, tak wsłuchała się w słowa księdza, że na dłuższą chwilę stracili oni poczucie rzeczywistości. Gdy proboszcz zamilkł, w kościele zapanowała grobowa cisza, przerywana od czasu do czasu dyskretnym chrapnięciem. Niezręczną sytuację chciał zamaskować organista, który zaintonował pieśń *Upadnij na kolana*, i wszyscy obecni jak jeden mąż na te kolana padli, aż echo poszło. To ich otrzeźwiło. Obudziło również babcię Jurka, która wstała i powiedziała dobitnie:

– Serniku z wiśniami, módl się za nami!

W ten sposób zostaliśmy natychmiast zapamiętani przez wszystkich obecnych, na zawsze.

Po mszy ksiądz proboszcz i ksiądz Rafał zaprosili chętnych na spotkanie na plebani. Gospodyni podała ciasto z kruszonką. Nie wiedzieć kiedy zniknęło ono i pozostał sam talerz. Gospodyni zmarszczyła brwi i spojrzała wymownie na księdza Rafała, który dokładnie w tej samej chwili zaczął intensywnie wprowadzać wszystkich w temat dzisiejszego spotkania. Gospodyni wycofała się więc do kuchni, by za chwilę wrócić z drugim ciastem, które bezpiecznie postawiła w sporej odległości od księdza Rafała. Ten mówił dalej, a okruchy sypały się na stół jak grad.

– Jak on to robi, jak rany? – wyszeptał mi do ucha przejęty Jurek.
– Teleportuje to ciasto w siebie czy co?

Istotnie, w niedługim czasie z drugiego wypieku pozostały tylko skromne kawałki, zaś ksiądz Rafał nie przestawał mówić. Jedynie liczne okruchy, które starał się niepostrzeżenie strzepywać z sutanny, stanowiły niezbity dowód jego łakomstwa.

– No i tak, kochani. – Złożył ręce ksiądz Rafał. – To może każdy powie dziś coś ciekawego o sobie, tak żebyśmy się lepiej poznali. Ksiądz proboszcza i mnie to znacie, wiecie, czym się zajmujemy, to kto następny?

Tu ksiądz Rafał spojrzał na mnie. Rany boskie, o czym ja mam im opowiadać?! O wrózeniu?!

– Mam na imię Emilia i jestem... – zaczęłam niepewnie. Już wiem, że ewentualne przyszłe terapie grupowe są nie dla mnie. Za duży stres. – Jestem... pracuję w...

– Pralni – dokończył za mnie mój ojciec. Zapadła niezręczna cisza, bo wśród

obecnych większość osób doskonale wiedziała, czym się zajmuję.

– No cóż... – wybąkałam. – To prawda, choć nie jest tajemnicą, że wykonuję nudną i niepotrzebną pracę, w dodatku mało akceptowalną w społeczeństwie...

Ksiądz proboszcz roześmiał się, bo zdaje się on jeden nie był świadom, że jestem wróżką, i powiedział łagodnie:

– Ależ pani Emilio, to żaden wstyd, naprawdę! Przecież każdy przynajmniej raz z takiej usługi skorzystał!

Ale, na dobrą sprawę, ta sytuacja uświadomiła mi, że nie umiem nazwać swojej pracy. Czym ja się właściwie zajmuję? Stawianiem kart? Przepowiadaniem przyszłości? Podnoszeniem na duchu? Czy rozmowy z ludźmi stale o tym samym, to jest o poziomie ich samoświadomości, można nazwać konstruktywną pracą? Cóż takiego po sobie pozostawiam? Odnoszę wrażenie, że moje umiejętności nie są do niczego przydatne, tym bardziej że wykorzystuję je w znikomym stopniu, w płaszczyźnie najbardziej oczywistej i płytkiej.

Dawniej astrologowie stawiali horoskopy dla królów, głowili się nad znaczeniem układu gwiazd, a ich dzieła posiadały ogromne znaczenie z punktu widzenia sytuacji politycznej. Znachorzy leczyli ludzi, szamani pośredniczyli między światem doczesnym a duchowym. Dziś broni się tylko ziołolecznictwo, w mniejszym zakresie bioenergoterapia. Do czytania horoskopów nikt otwarcie się nie przyznaje, choć na dobrą sprawę każdy jest doskonale zorientowany, co oznacza jego znak zodiaku i jaki horoskop ma na nadchodzący tydzień. Ogromna rzesza ludzi telefonuje do mnie i mnie odwiedza zawodowo, ale co ja takiego ważnego po sobie zostawiam? Do czego się przyczyniam? Martwi mnie, że moja praca stawia przede mną coraz mniej wyzwań albo być może ja dostrzegam ich coraz mniej. Owszem, rozmowa z każdym klientem rozwija i daje mi natchnienie do napisania kolejnego tekstu, ale przychodzi taki moment, gdy wydaje się, że wszystkie słowa zostały już wypowiedziane. Czym mogłabym się pochwalić? U księdza. Przecież nie wróżeniem! Jednocześnie nie wstydzę się tego, bo nie param się ani czarną magią, ani nie oszukuję ludzi.

– Jakiś czas temu postanowiłam, że będę pomagać ludziom. Tym, którzy nie potrafią, nie mają odwagi, nie lubią lub nie wiedzą, jak znaleźć drogę do samego siebie i jak zrozumieć otaczający ich świat i jego reguły – powiedziałam dobitnie.

– Zwłaszcza gdy chodzi o uczucia. Nie chodzi o łatwe chwytły na podryw, ale o szukanie w kobiecie kobiety, a w mężczyźnie mężczyzny. Tak aby ludzie lepiej potrafili interpretować swoje potrzeby i oczekiwania i dzięki temu byli szczęśliwsi.

Powiedziałam to i poczułam ulgę, bo jak mawiał Konfucjusz: „Lepiej nie zaczynać, niż zacząwszy, nie kończyć”. Usiadłam na swoim miejscu, a ksiądz proboszcz pokiwał głową z zadowoleniem.

– Doskonale! Wesprze nas pani, mam nadzieję, w trudzie przygotowania narzeczonych do trudnej roli małżonków!

O bogowie!

Na szczęście potem zaprezentowali się też inni. Jedna pani chwaliła się tym, że umie pięknie robić na drutach, po czym natychmiast wyciągnęła z torby jakąś robótkę i usiłowała wszystkim ją zaprezentować, dzięki czemu udało jej się prawie wybić oko księdzu Rafałowi. Inna pani twierdziła, że potrafi czytać wspak, a jeden z panów poinformował nas, że posiada piękną kolekcję znaczków pocztowych. Pani Danusia zachwalała usługi domu pogrzebowego „Zacisze”, z kolei Roksana przekonywała wszystkich, że są takie kursy, na których można się nauczyć, jak zidentyfikować swoje najlepsze umiejętności.

Mój ojciec oczywiście mówił tylko o pralni i o praniu, głównie rozmawiał sam ze sobą. Jurek nie miał okazji nic powiedzieć, bo jego babcia gorzej się poczuła i musiał odprowadzić ją do domu. Po powrocie zastałam na stole w kuchni kartkę z wiadomością od Marka: „Gdzie ty, do cholery, znów się podziewasz?!”.

2 października, niedziela

Od rana pracuję. Marek nie wrócił na noc i nie odbiera telefonu. To do niego niepodobne. Martwię się, czy coś mu się nie stało.

Dziś smutne wróżby. Jedna pani zapytała o swojego przyjaciela, który jest alkoholikiem. Pytała, czy on z tego wyjdzie i kiedy. Niezwykle trudno jest odpowiedzieć, tak żeby dać nadzieję. Odpowiedziałam więc:

– Ludzie mu pomogą, jednak on wpadnie jeszcze w jakieś uzależnienie, nie poradzi sobie z tym sam, bo jest na to zbyt słaby. Ale znajdzie wsparcie i wybroni się z tego. Proszę w niego wierzyć.

Potem pani Nina pytała, czy mąż przestanie ją bić. Z kart wyszło, że nie, więc dopytywałam o przyczyny stanu rzeczy, a ona na to – to dlatego że on niby chce dobrze, stara się, ale jest leniwy, no, można powiedzieć, że zawsze ją pyta o zdanie, ale zawsze jest zły, jak ona postawi na swoim i potem okaże się, że miała rację.

Zanim zdążyłam jej coś poradzić, rozłączyła się. Potem dobiła mnie dziewczyna, która przedstawiła się jako Martusia.

– Zacznę od tego, że mam dopiero siedemnaście lat i zaczęło się dziać źle w moim życiu... – rozpoczęła Martusia.

– Niestety, mogę wróżyć tylko pełnoletnim osobom, ale zapraszam po dwudziestą drugą, na innym kanale jest grupa wsparcia, wtedy inni mogą coś doradzić, pomóc.

– Szkoda – westchnęła Martusia. – Będę musiała sama ogarnąć chaos, jaki się znajduje we mnie, wpadłam w głęboką depresję, autoagresję i zaburzenie odżywiania, staram się z tym walczyć, ale wszelka radość ze mnie uleciała.

– Czy byłaś u psychologa? – zapytałam z troską.

– Tak – odparła Martusia. – Jeden to mnie wyśmiał, a drugi kazał pić

dziurawiec.

Zdziwiłam się, ale Martusia kontynuowała.

– Od dziecka interesuję się ezoteryką, bardzo chciałabym zakupić karty tarota, oswoić się z nimi, nie chcę od razu wróżyć wielkich wróżb, nie, tylko dla siebie je mieć i sobie wyklądać – takie odprężenie, czy to dobry pomysł?

Dobre pytanie. Ale nie mogę przecież powiedzieć, że tak. Karty nie są dla każdego.

– Lepiej z tym poczekaj – powiedziałam ostrożnie. – Karty to nie zabawka, a tarot w szczególności. One potrafią czynić zło i dobro, zależy, kto się nimi posługuje. Dlatego tobie ich nie rozkładałam. Poczekaj, wycisz się, wzmocnij, wtedy wrócisz do tematu. Ezoteryka to nie jest tylko niebo i samo dobro, pamiętaj.

Martusia mówiła dalej.

– Bo chciałabym zostać takim magiem praktykującym, rzucać klątwy i tym podobne.

– Ja się tym nie zajmuję i przestrzegam przed takimi zabawami! – odparłam stanowczo.

Na to Martusia prychnęła do słuchawki i powiedziała na odchodnym:

– Wróżka Proszuła jest lepsza od pani, ona zna takie zaklęcia, można się od niej wiele nauczyć, będę do niej telefonować!

Tak to już jest, jeden dzień nudny, drugi smutny, a trzeci... nie wiadomo jaki.

4 października, wtorek

Tymczasem objawił się atrakcyjny Kazimierz, który przyszedł dziś rano do pralni i nastraszył mojego ojca, bo miał na sobie ubranie przypominające wojskowy mundur komandosów i trzymał w ręce sporych rozmiarów teczkę. Mrugnął na Roksane i wyszli razem na zaplecze. Po chwili Roksana wróciła, niosąc w objęciach zakrwawione ubranie. Ojciec omal nie dostał apopleksji, gdy to zobaczył, a gdy jeszcze pan agent dodał: „To z pracy” – ojciec usiadł ciężko na krześle i obie musiałyśmy go wachlować. Potem okazało się, że Kazimierz przeprowadzał tajną misję w kurniku, w rezultacie czego uśmiercił dwie kury, a dowód na to pozostał na jego ubraniu, które należało uprać. Ojciec naprawdę był w szoku, skoro nie zażądał pieniędzy za usługę, tylko wychrypiał, żeby szybko upchnąć te ciuchy w pralni, bo co on robi, gdy klienci przyjdą i je zobaczą.

Potem Kazimierz zaproponował Roksanie wyjście w celu zrobienia ogromnych zakupów spożywczych, ponieważ – jak oznajmił – pozostanie z nią aż do listopada. Przerwa w misji. Roksana nawet się nie wahała, chwyciła torebkę i tyle ją widzieliśmy. I tak znów dyżurowałam w pralni, a klienci, którzy przychodzili, rozglądali się podejrzliwie w poszukiwaniu ukrytej kamery.

5 października, środa

Pani Basia, sprzedawczyni z pobliskiego sklepiku osiedlowego, powiedziała mi dziś tak:

– Niby wszyscy wszystko wiedzą, ale i tak każdy chodzi jak dziecko we mgle. Za moich czasów było łatwiej, bo człowiek wiedział, co wolno, czego nie wolno, co wypada, co nie wypada, i już. Teraz wolno wszystko, wypada wszystko, to ludzie się pogubili. Na dodatek to wstyd powiedzieć, że się czegoś nie wie, bo przecież wszyscy wszystko wiedzą i są najmądrzejsi na świecie.

Odstawiła na bok skrzynkę z rzodkiewką i pokiwała głową.

– Teraz każdy ma własne zdanie. Na jaki temat by się nie rozmawiało, to sami eksperci. Dawniej człowiek szedł posłuchać mądrzejszego od siebie, tytuł naukowy czy zawodowy coś znaczył, szanowało się tych, co posiadali wiedzę. Dziś nie szanuje się nikogo, bo byle chłystek może o sobie powiedzieć, że jest fachowcem, choć raptem dwie książki w życiu przeczytał.

– Ma pani rację! – odezwała się jedna z klientek. – Wszystko odwrócone do góry nogami, to jak ma być dobrze? Ktoś kradnie słupki z ogrodzenia, ja mówię, że to ten pijak z czwartej klatki, ale oczywiście nikt mnie nie słucha. Bo monitoring pokazał. Guzik pokazał, ja z okna widziałam!

– O właśnie, kochaniutka – ożywiła się sklepowa. – Dobrze, że pani te karty kładzie, bo to człowiek zawsze mniej głupi chodzi, no nie?

Wkrótce w spokojnym osiedlowym sklepiku rozgorzała dyskusja na temat przyszłości świata, ginących słupków osiedlowych, kart i ludzkości. Zabrałam moje zakupy i wyszłam.

A między mną a Markiem nic się nie zmieni, chyba że na lepsze!

6 października, czwartek

Marek się skrzywił, że znów idę do telewizji.

– Wszystkie wieczory masz zajęte! Dla mnie nie masz już czasu zupełnie! – wyrzucał mi przez telefon.

No właśnie, przez telefon. Zawsze gdy czegoś ode mnie chce, to telefonuje. Odparłam, że po pierwsze, tylko dwa w tygodniu, a po drugie, to on ostatnio jest wiecznie zajęty jakimś projektem. Projekt i projekt. To słowo najczęściej występuje w naszym słowniku. Obraził się i rozłączył. Pojadę z mieszkania prosto do telewizji, nie mam ochoty się z nim znów pokłócić.

wieczorem

Marek okropnie mnie skrytykował. Stwierdził, że przed kamerą jestem sztuczna i lalkowata, i że ta baba, która jest zaraz po mnie, ma w sobie więcej życia. Tą babą była pani Zosia, której pewnie podziękują, bo do każdego prawie telewidza odnosiła się z wyższością i stale powtarzała, że jej zdolności pochodzą

od samego Stwórcy Kosmosu i nie każdy jest godzien, by go nią obdarzać. W rezultacie mało kto telefonuje podczas jej dyżurów. Lubię panią Zosię, ale chyba przesadza. Przecież po to siedzimy na tych telewizyjnych stołkach i opowiadamy czasem same androny, żeby było ciekawiej, bo to przyciąga klientów. Ona ma sporo racji, że wiele osób nie rozumie tego rodzaju pomocy, ale na bezrybiu... i tak dalej.

To jednak nie upoważnia Marka do obrażania mnie. Wcale nie jestem sztuczna ani lalkowata, a poza tym wiedział przecież, czym się zajmuję. Nagle zaczęło mu to przeszkadzać? I w ogóle, co to za dziwne żądania: nie rób tego, rób tamto! Każdy z nas jest wolny i samodzielny. Gdybym była uzależniona od niego w jakikolwiek sposób, finansowo lub życiowo, być może miałby odrobinę prawa do wyznaczania mi miejsca w życiu. Ja jednak jestem samowystarczalna. Zarabiam na sobie i nie po to wyzwalalam się spod kurateli ojca, żeby oddawać się pod zarząd Marka. Nie rozumiem, co się z nim dzieje. Nigdy wcześniej tak do mnie nie mówił.

Wiele klientek pyta mnie, kiedy pojawi się w ich życiu „normalny” facet, i potem, w trakcie rozmowy, okazuje się, że wypatrują mężczyzn, który będzie je utrzymywał, wszystko za nie robił, nawet myślał i podejmował decyzje. Ale gdy zapytać te same kobiety, czym zajmują się w życiu, jakie są ich priorytety i wartości, to na pierwszym miejscu wymieniają: niezależność, samodzielność, emancypację – rozumianą jako całkowite zrównanie z mężczyznami na wszystkich płaszczyznach.

Mężczyźni z kolei szukają kobiet „uczciwych”, to znaczy takich, które są kobiece, czyli chociaż z wyglądu i zachowania przypominają kobiety, którymi można się zaopiekować, pokazać swoją męskość w postaci silnego ramienia, ale jednocześnie – niech ta kobieta posiada jednak konto w banku z pokazną sumką na nim, niech nie będzie skąpa i podzieli się czasem, niech sama się wszędzie zawozi i odwozi, i w ogóle najlepiej niech sama o wszystko zadba, a o życie erotyczne w szczególności. Istny paradoks.

A najgorsze w tym wszystkim jest to, że nie można niczego temu Markowi przetłumaczyć. Zgroza. O Jurka zazdrosny, o pana Przemka zazdrosny, mojej pracy nie lubi, gdy jestem w domu, narzeka, gdy mnie nie ma, jeszcze bardziej narzeka. Zaczyna we mnie kiełkować bliżej niezdefiniowany niepokój. Może pani Zosia ma rację? Nie znam go przecież aż tak dobrze. Co ja o nim wiem? Tyle, ile mi powiedział. Nie wiem, czy prawdę. Ale przecież nie zacznę go śledzić. Roksana opowiadała mi ostatnio, że Kazimierz dysponuje takim komputerowym programem szpiegowskim, dzięki któremu wiele rzeczy można ustalić. Podobno chwalił jej się, że do każdego konta może się spokojnie włamać, nawet w Pentagonie. Mnie tam Pentagon niepotrzebny, wołałabym wiedzieć coś więcej o Marku. Blokuje mnie to, że go kocham. Powinnam mu ufać i wszelka myśl o szpiegowaniu go jest

mi wstrętna. I to jest największy paradoks ze wszystkich. „Rozkosz jest jak pszczoła; miodu trochę, a żądła i boleści wiele”, jak pisał kaznodzieja Piotr Skarga. Mnie też wyszła skarga!

10 października, poniedziałek

Nie przypuszczałam, że ojciec jest tak zawzięty. Wcale nie zrezygnował z pomysłu swatania mnie z dziedzicem pogrzebowej fortuny. Gdy spotkałam go na schodach, to od razu mi to powiedział.

– Zakończ te historie z kartami, filozofowaniem i tym podobnymi bzdurami. Pralnię i zakład pogrzebowy wiele łączy, to jest przyszłość! – grzmiał ojciec. Bolek denerwował się za drzwiami, a Kora zaczęła szczekać. – Za dużo miałaś swobody w dzieciństwie i teraz są tego skutki! W głowie ci się poprzewracało! Z facetem bez ślubu mieszkasz!

– A co w ciebie nagle wstąpiło?! – odkrzyknęłam ojcu, bo mnie zdenerwował. Nie jestem w końcu małą dziewczynką, żeby mnie tak rugać. – Co cię obchodzi, z kim mieszkam? Wyprowadziłam się od ciebie i nie musisz się już mnie wstydzić!

– Muszę, bo niestety nie zmieniłaś nazwiska! Wielka mi wyprowadzka na strych, do gołębi! Żeby szlajać się z jakimiś wymoczkami!

– Jakimi wymoczkami?! Ja się z nikim nie szlajam!

– Dobra córka powinna znaleźć sobie dobrą pracę i dobrego męża, żeby ulżyć staremu ojcu, a nie wstyd mu przynosić!

I tak krzyczał, i krzyczał. Dopiero później dowiedziałam się, że to pani Danusia zasugerowała, by otwarcie i zdecydowanie ze mną porozmawiać. Dzięki takim rozmowom atmosfera w rodzinie się oczyszcza. Atmosfera w naszej rodzinie, można powiedzieć, stale ulega przeczyszczeniu mechanicznemu, nie chemicznemu, psiakrew!

11 października, wtorek

Praca w telewizji, która mogłaby stanowić wyższy szczebel kariery w pracy wróżki, jest w gruncie rzeczy dość monotonna i mało satysfakcjonująca. W domu, gdy mnie nikt nie widzi, mogę podlubać sobie w nosie, mogę rozmawiać z klientem w szlafroku (przy całym szacunku do klienta), wreszcie czas między rozmowami mogę wykorzystać w dowolny sposób. W telewizji bez przerwy trzeba coś mówić. Trudno się dziwić, że wróżki opowiadają androny, plotą, co im ślina na język przyniesie, i z ochotą przerywają rozpoczęty wątek, gdy zatelefonuje klient. Stawki są mizerne. Liczyłam na więcej, ale gdy zobaczyłam wartość przelewu, wszystko we mnie skisło. Podobno dzięki pojawianiu się na wizji zyskujemy podwójnie, bo stajemy się rozpoznawalne i klienci będą przez to walić drzwiami i oknami. Owszem wałą, ale raczej z ciekawości, po to, by popatrzeć

na „telewizyjną wróżkę”, skrytykować ją, pouzewnętrznić się w przytomności innych, a nie po to, by natychmiast dać mi zarobić.

Pokutuje wreszcie przekonanie, że właśnie jako telewizyjna gwiazda zarabiam krocie. Pracuję więc, bo muszę, a tak naprawdę, bo muszę wychodzić z domu. Mogłabym przecież zamknąć się w czterech ścianach tylko z telefonem i komputerem, od czasu do czasu przyjmując klientów. Ale to żaden kontakt ze światem zewnętrznym. Nikły, jednostronny. No i czuję na sobie presję, żeby nie zawieść Marka. Pogodziliśmy się. Obiecałam mu, że zrezygnuję z kart. Zajmę się czymś innym. Złożyłam tę obietnicę z ciężkim sercem. Nie chciałam się naginać, ale przecież nie chodzi mi o to, żeby się kłócić. Czasem trzeba ustąpić. Nie rozumiem, dlaczego teraz mu to tak przeszkadza? Ale dobrze, zrobię to dla niego i rzucę karty w ką. Gdy tylko znajdę coś w zamian.

Ale finanse też się liczą, nie chodzi tylko o samo wychodzenie czy zapal do kart. Głupio byłoby mi prosić o pieniądze Marka, ojciec prawie mi nie płaci, bo uważa, że rodzina to nie kasa. Nie chcę być zależna od kogoś.

Pan Przemek znów telefonuje codziennie i codziennie opowiada mi o swojej Hortensji. Całymi godzinami. Rano, w południe i wieczorem. Niby mimochodem, ale wspomniałam o tym Markowi, też chciałabym, żeby ktoś tak o mnie myślał i mówił. Marek odpowiedział mi na to, że on może nawet rozmawiać na mój temat z ludźmi na przystanku, tylko skąd ja o tym będę wiedziała. Słuszna uwaga.

Zaciekawiła mnie ponownie ta Hortensja, zatem zajrzałam na stronę na Facebooku promującą jej wyroby. No cóż. Nie jestem znawczynią sztuki, mogę się mylić i pewnie się mylę, ale moim zdaniem takie gipsowe potworki to gratka wyłącznie dla szczególnych koneserów. Wszystko utrzymane w tonacji sino-zielono-popielatej. Jakieś gęby z pustymi oczodołami, w których rozwija się szara pleść, jakieś garbate baby ulepione z szarej gliny, czyjeś gęby, które w naturze pewnie nie prezentują się aż tak strasznie, same korpusy i pojedyncze kończyny. Nie spodobało mi się. Ponieważ jednak postanowiłam poznać dziewczynę bliżej, złożyłam zamówienie. Na popiersie. Nie wiem, na co mi to, ale ciekawa jestem, co z tego wyniknie.

Zapytałam, czy owo popiersie mogłaby wykonać z gipsu w mniej naturalnym kolorze, czyli nie sine, ale na przykład białe. No i zainteresowałam się, w jakich warunkach wykona odlew. Wysłałam, czekam.

Tymczasem zasugerowałam panu Przemkowi, aby poznał dziewczynę w jej środowisku naturalnym, najlepiej u rodziny, znajomych. Okazało się bowiem, że Hortensja pochodzi z Ukrainy, nie z Białorusi, ale od pokolenia mieszka w Polsce, jej rodzina osiedliła się w okolicach Lublina. Oczywiście wywiązałam się z zadania i napisałam poglądowy list, taki wzór dla pana Przemka. Dołączyłam instrukcję, czego można spodziewać się po osobie pokroju Hortensji. Zasugerowałam, aby zamienił się w rycerza, który broni i chroni, wspiera i pomaga, i wszystkie troski

z głowy zdejmuję. Taki profil pasuje do takiej osoby. Tylko pytanie, czy Hortensja rzeczywiście jest taką osobą, jak ją pan Przemek maluje? Pan Przemek oczywiście mnie skrytykował, ale moją pracę przyjął. Ciekawa jestem, co z tego wyniknie.

12 października, środa

No i co tego, że razem zamieszkaliśmy, skoro tego Marka i tak nie widuję całymi dniami. Porozumiewamy się za pomocą niezawodnych SMS-ów, ale treść coraz częściej odbiega od romantycznej. Oto napisał mi dziś rano, że chyba pralka się zepsuła. No, zepsuła się, śmieszne, bo dziedziczka pralniczego interesu siedzi teraz i przegląda ogłoszenia w gazecie w poszukiwaniu fachowca do pralki. Pralka zepsuła się wczoraj. Zakomunikowała to, powodując powódź w łazience. Gdy zapobiegłam zalaniu sufitu u sąsiadki, poprosiłam Marka:

– Hej, chyba pralka nawaliła. Możesz na nią zerknąć?

Marek udał się więc do łazienki, stanął przed urządzeniem i w zamyśleniu zaczął się jej przyglądać.

– Zerknąłeś? – zapytałam z korytarza.

– Tak – odpowiedział Marek, choć oczywiście nic z tego nie wynikło. Popatrzył, popatrzył i wrócił do pokoju. – Pralka jak pralka – skwitował komunikat wzruszeniem ramion.

A dziś wysłał mi SMS-a: „Pralka nawaliła, zajmiesz się tym?”.

Zatelefonowałam do autoryzowanego serwisu pralek tej marki, gdzie grzecznie poinformowano mnie, że oni takich pralek nie naprawiają. Zlecają to zewnętrznym firmom. Koszt przekierowania: jedyne sześćdziesiąt cztery plus VAT. Wybrałam więc pierwsze ogłoszenie z gatunku „naprawa pralek”, wykręciłam numer. Odezwał się męski głos (na marginesie: ciekawe, że pralki, lodówki, odkurzacze zawsze naprawiają mężczyźni, nigdy nie spotkałam żadnej kobiety w takim fachu. Czy to aby nie dyskryminacja?).

– No, co tam chcesz? – zapytał głos.

– Chcę, żeby moja pralka była sprawna. Szybko – odpowiedziałam na wezwanie głosu. Pan chyba się nieco zreflektował, bo zapytał rzeczowo:

– Co się spier... w tej pralce?

– Nie wiem, ale cieknie z niej jak z dziurawej beczki – odpowiedziałam.

– To ch... nie będę się w takim kur... babrał. – I rozłączył się.

Trzeba powiedzieć, że w ogłoszeniu napisał prawdę: „Szybko, tanio, konkretnie”.

Kolejny fachowiec domagał się ode mnie szczegółów anatomicznych pralki. Jak jest zbudowana, czy z przodu ma takie płaskie, czy bardziej wypukłe, czy jest w środku perforowana (pralka?), czy od spodu wystaje jej taki mały dzyndzyk (jak ja mam to sprawdzić?) itd. Odpowiedziałam, że pralka jest zgrabniutka, ma gładką obudowę, i gdy pracuje, to zalotnie mruga. Fachowiec rozłączył się. Nie mam

pojęcia dłaczego.

Wybrałam więc kolejny numer. Tym razem chodziło o szczegóły techniczne. Co konkretnie nawaliło, która część, z której strony i czy to jest to lub tamto (tu pan używał bardzo fachowej terminologii, zwykłym śmiertelnikom – w szczególności kobietom – absolutnie nieznaną).

– Nie mam pojęcia! – odpowiadałam ze łzami w oczach. – Skąd ja mam to wiedzieć? Może niech pan poczeka, wezmę instrukcję i panu przeczytam.

Tak zrobiłam. Z broszurką w ręce dokonywałam oględzin własnej pralki, badając wnikliwie, gdzie co jest. Może należało zrobić to wcześniej? Nauczyć się budowy każdego urządzenia w domu, by potem krótko i fachowo rozmawiać z ekspertem, który dokona naprawy przez telefon? Gdy już pan wszystkiego się dowiedział, zakomunikował, że przyjedzie. Nie zapytał dokąd, nie powiedział kiedy, ale skoro zapewnił, że będzie, to pewnie będzie?...

Na wszelki wypadek porozumiałam się z jeszcze jednym od naprawiania pralek. Ten pan z kolei uprzedził mnie uczciwie, że nawet jeśli pralki nie naprawi, to i tak wystawi mi rachunek, mało tego, nawet jeśli nie przyjedzie, to wystawi mi rachunek. Za samą gotowość zapewne. Podziękowałam. Pewnie przyśle mi rachunek pocztą. Zaczęłam już rozważać, czy nie kupić nowej pralki, kiedy oddzwonił ten pierwszy, z niewybrednym słownikiem, i oznajmił, że może przyjechać i zobaczyć tę pralkę. Już miałam na końcu języka, że same oględziny mnie nie interesują, ale uznałam, że taki sarkazm mógłby fachowca zniechęcić, a przecież poza nim z nikim innym konkretnie się nie umówiłam.

Ustaliliśmy wizytę na dwunastą. O pierwszej szukałam telefonu do niego. O wpół do drugiej usiadłam do komputera, by znaleźć nowego fachowca, gdy zaterkotał dzwonek domofonu. Przyjechał fachowiec. Stał w drzwiach wyposażony tylko w ręce, no i wiedzę w głowie, zapewne. Żadnych narzędzi, żadnych części, nic, chyba że w sobie ukrył.

– Łazienka jest tam – powiedział i skierował się w stronę sypialni.

– Nie, łazienka jest tu – skorygowałam, ale pan już zwiedził oba pokoje. Gdy dotarł do łazienki, podszedł do pralki, spojrzał na nią i zamyślił się głęboko.

Jak Boga kocham, nie mam pojęcia, co ta moja pralka w sobie ma. Żeby to tak nade mną faceci zamierali. Z zachwytu oczywiście. Ten stanął i zamienił się w słup soli. W martwą naturę. Nie stoi tam do dzisiaj chyba tylko dlatego, że znów zaterkotał dzwonek domofonu. Zdziwiona poszłam otworzyć. Okazało się, że to drugi fachowiec. Jasnowidz, czarodziej jakiś? Skąd adres znał?

Ten przy pralce ocknął się natychmiast i orzekł, że pralka jest cała do wymiany. Na to ten drugi popatrzył na mnie oskarżycielsko i powiedział:

– To małżonek już naprawia, tak? To ja tu po co, ja się pytam?

– Małżonek nie naprawia! – sprostowałam. – To nie jest żaden małżonek.

W ogóle chcę, żeby ktokolwiek to naprawił!

Fachowcy zmierzili się wzrokiem i ostatecznie ustąpił ten, który przyszedł później. Szymon Słupnik ocknął się z zamyślenia i zapytał gdzieś nad moją głową:

– Silnika do pralki to pani nie ma zapasowego albo chociaż alternatora?

Ani jednego, ani drugiego nie miałam. Ale jak on zgadł, że to silnik lub alternator, skoro nawet tej pralki nie dotknął? To on powinien występować na wizji, nie ja!

Pan podrapał się po głowie i oświadczył, że w takim razie przyniesie swój, nie powiedział co. Z samochodu. Wyszedł i wrócił po godzinie. Już traciłam nadzieję. W ręce trzymał małą paczuszkę i jakoś nie mogłam uwierzyć, że to jest silnik do pralki. Tym razem pan zażądał jeszcze śrubokrętów, miski, szmaty, podkładki pod kolana i latarki. Nie wszystkim dysponowałam, pan udawał się do auta, naprawa przeciągała się. Po kilku godzinach poinformował mnie wreszcie, że wszystko jest naprawione, wstawił nowy alternator, należy się tysiąc złotych. Koszt zakupu nowej pralki może nie przekroczyć tej sumy.

Powiedziałam więc, że spodziewałam się kwoty znacznie niższej, i wobec tego rezygnuję z naprawy, niech on sobie wymontuje ten swój alternator, wstawi mój stary i rozliczymy się za robociznę. Fachowiec niechętnie, ale pochylił się nad pralką, po paru minutach jednak przerwał pracę i powiedział:

– Dobrze, to zrobimy tak: ja pani wymontuję ten alternator i przyniosę inny, używany, ale nowy. I wtedy będzie trzysta.

Nie czekał na moją odpowiedź, pomknął do auta, zabierając część, którą wymontował z mojej pralki. Gdy wrócił po kwadransie, powiedziałam mu, że nie chcę nic używanego, zaraz znowu się zepsuje, niech mi oddaje moje, zabiera swoje i już. Tu jest pięćdziesiąt złotych za fatygę i rozstajemy się w zgodzie. Fachowiec banknot schował i oznajmił, że idzie do samochodu po moją własność. O dziwo, wrócił po zaledwie kilku minutach, podał mi coś w pudełku i powiedział:

– To ja nie będę wymontowywał tego mojego, pani mi dołoży pięć dych i będziemy kwita.

Chciałam się już go pozbyć, sięgnęłam po portfel do torebki i wtedy coś mnie tknęło.

– Zaraz – skrzywiłam się. – Ale pan zabrał ten alternator do samochodu. Niech go pan przyniesie, bo tak to ja zostaję na lodzie!

Facet trochę zgłupiał, ale posłusznie poszedł. Ponieważ w portfelu nie miałam pięćdziesięciu złotych, facet poszedł rozmienić do warzywniaka. Gdy wrócił, wręczył mi rozmienione sto złotych, z czego ja dałam mu pięćdziesiąt. Gdy zabierał się do wyjścia, powiedziałam:

– A gdzie jest mój alternator, który pan zabrał?

Facet był już bardzo spocony. Po kolejnych minutach i wycieczkach do samochodu pożegnaliśmy się w końcu. Wtedy w drzwiach stanął Marek w towarzystwie Jurka. Poinformował mnie z uśmiechem na ustach, że Jurek też

naprawia pralki i że zrobi to dla nas po kosztach, kosztach kawy i ciasta. Uświadomiłam go więc, że pralka już jest naprawiona. Alternator nawalił i pan go właśnie wymienił. Tak, ten spocony, co zbiegał ze schodów. Ale kawa i ciasto i tak się znajdzie. Jurek poszedł więc zerknąć na pralkę, a Marek niepewnie przyglądał się trzem alternatorom, które leżały na szafce w korytarzu i pięćdziesięciotowemu banknotowi.

– Tam się skarpetka wkręciła w fartuch i dlatego ciekło – oznajmił Jurek.
– Już naprawiłem!

16 października, niedziela

Podczas mojego dyżuru w telewizji klienci urządzili sobie kącik żartów. Po kolei telefonowali i albo zadawali głupie pytania w stylu: Czy jutro będzie koniec świata? Czy opętanie jest dziedziczne? Czy fakt, że mój chłopak ma owłosione ręce, może świadczyć o tym, że jest brutalny w łóżku? Albo po prostu realizowali połączenia prześmiewcze. Że też ludziom nie żal pieniędzy! Zastanawiające jest też to, że przeważnie telefonują ludzie, którzy pytają mnie, kiedy poprawi się ich sytuacja finansowa. Mam ochotę odpowiedzieć, że zaraz po tym, gdy przestaną prowadzić tak kosztowne rozmowy telefoniczne.

Dziś na wizji padło pytanie, czy królicza łapka chroni przed demonami z szafy. Czy ja wiem? Jeśli paskudnie spreparowana, to ochroni przed wszystkim, wszystko odstraszy. Przy okazji rozpoczął się festiwal zabobonów. Jedna pani chciała wiedzieć, czy amulet i talizman to to samo. Moim zdaniem amulet to przedmiot, który ma chronić przed złem albo przynosić szczęście i wystarczy go tylko nosić, nic więcej. Natomiast talizman to aktywna forma tego samego – wymaga zaangażowania ze strony osoby, należy go pocałować, dotknąć lub przynajmniej pomachać nim.

Wtedy rozdzwoniły się telefony: a jaki talizman jest najlepszy, a czy plastikowa królicza łapka to dobry amulet? Na litość boską! Czy diabeł może przestraszyć się kawałka plastiku? Nasi przodkowie nosili na sobie autentyczne przedmioty. We Włoszech rozpowszechnionym amuletem była czerwona papryczka. Stanowiła ochronę przed diabłem, ponieważ przypominała jeden z jego rogów. Z kolei przedmioty ze złota miały przynosić szczęście, bo wykonano je przecież z łez boga Słońca.

Funkcję amuletu pełnił też kiedyś zwykły guzik. Nie każdy wie, że guzik funkcjonował najpierw jako ozdoba, dopóki ktoś nie poszedł po rozum do głowy i nie wynalazł prawie tysiąc czterysta lat później pasującej doń dziurki. W starożytności wymieniano się guzikami na szczęście.

Co do króliczej łapki natomiast sama kiedyś sprawdzałam, dlaczego akurat królicza? Dowiedziałam się, że szczególna magiczna siła kończyn tych zwierząt tkwi w tym, że rodzą się one z otwartymi oczami oraz śpią z otwartymi oczami.

Dlatego złe oko nie może nigdy ich zaskoczyć. Ponadto w niektórych krajach tłumaczy się fenomen tego zabobonu tym, że królik lub odpowiednio zając porusza się w niezwykle sposób, niezwykle dla zwierząt, ponieważ tylne nogi dotykają ziemi, zanim zrobią to przednie. To wiąże te ssaki z człowiekiem, takie powiązanie światów. Nie bez znaczenia jest oczywiście, którą łapkę weźmiemy sobie w charakterze talizmanu. Prawdziwe szczęście przynosi bowiem wyłącznie tylna lewa i to noszona w lewej kieszeni.

Zainspirowali mnie klienci. Może na następne wejście przygotuję sobie taką pogadankę o wróżbach?

17 października, poniedziałek

Marek pracuje całymi dniami, a nawet nocami, martwi mnie to, nie tylko ze względu na nasz związek, który praktycznie teraz nie istnieje. Gdy on wpada do domu, ja akurat jestem zajęta rozmową z klientem lub wychodzę do pralni albo do telewizji. Stale się mijamy. W dodatku, gdy o tym zaczynam mówić, Marek twierdzi, że przyczyna leży po mojej stronie. Zirykowało mnie to, bo przecież widzi, że się staram, a on ostatnio ciągle ma o coś pretensje. Poza tym, jeśli pójdę do pracy od ósmej do szesnastej od poniedziałku do piątku, to będziemy widywać się częściej? Podczas gdy on z reguły pracuje w takich samych godzinach? Jestem zdezorientowana. Gdzie podziały się uśmiechnięte słoneczka, buźki, SMS-owe bukietki i nieustanne zapewnianie mnie, że kocha, lubi, potrzebuje?

Z kolei lokator Roksany przesiaduje u niej w mieszkaniu, jakby go zamurowało. Wołami nie można go wyciągnąć na dwór, że nie wspomnę o jakimkolwiek wyjściu do ludzi. Gdy ją wczoraj odwiedziłam, Kazimierz siedział w kuchni jak posąg. Gdyby nie to, że strasznie od niego załatywało, uznałabym, że nie żyje. A może to właśnie dlatego? Roksana sama nie wie, co o tym myśleć, twierdzi, że do niej też się nie odzywa. Tak po prostu przyszedł któregoś dnia i zamilkł. Może jakiś szok przeżył? Nie wiadomo. Roksana twierdzi, że woniejący Kazimierz na stołeczku w kuchni jej nie przeszkadza, najwyżej jak zjawisko się nasili, to go wystawi na balkon.

Ona teraz chodzi na taki kurs doskonalenia się w cierpliwości czy czymś takim. Podobno podczas zajęć umieszczają im piórko na nosie i trzeba z tym piórkiem wytrzymać określony czas. A potem muszą patrzeć, jak jedna baba pluje na jednego faceta. Przez kilkanaście minut. Wariactwo jakieś, ale Roksana twierdzi, że odkąd chodzi na te zajęcia, to nic już jej nie irytuje ani specjalnie jej nie przeszkadza. Nawet tak woniejący Kazimierz.

Pani Zosia namawia mnie na zorganizowanie seansu hipnotycznego na wizji. Nie podoba mi się ten pomysł. Zdaję sobie sprawę, że byłoby to ciekawe dla widzów, ale mnie stanowczo nie brakuje wrażeń ostatnimi czasy.

Na spotkanie do księdza Rafała znów nie poszłam. Jurek za to bywa tam

regularnie. Twierdzi, że jego babcia bardzo zaprzyjaźniła się z gospodynią księży. Okazało się, że obie panie pasjami uwielbiają przeglądać przedwojenne pocztówki przedstawiające kobietą pornografię. Taką w majtasach do kolan. Skąd one to wytrzasnęły?!

Marek poprosił mnie, oczywiście SMS-em, abym zastąpiła go na zebraniu wspólnoty mieszkaniowej w jego miejscu zamieszkania.

Zaprotestowałam w pierwszej chwili, bo zebranie miało dotyczyć podziału środków własnych zgromadzonych w ramach funduszu remontowego. I tak to jest, Marek stale mnie o coś prosi, a gdy ja go poproszę, to on akurat nie ma czasu, bo pracuje nad bardzo ważnym projektem. Nie chciałam tam iść, ale przysłał mi herbacianą różyczkę przez kuriera. Poszłam.

Zarząd wspólnoty zaplanował kilka remontów i to właśnie stanowić miało temat przewodni spotkania. Zebranie wspólnoty zostało zapowiedziane na godzinę osiemnastą w piwnicy jednego z budynków objętych zarządem wspólnoty. Cała wspólnota składa się z około dwustu członków zamieszkujących łącznie sześć nieruchomości, w tym dwa budynki pochodzą z lat pięćdziesiątych i niejako terytorialnie zostały objęte wspólnym zarządem. Pozostałe cztery bloki powstały w ostatnim dziesięcioleciu. Nastręcza to trudności, ponieważ stare budynki wymagają bardziej kosztownych i rozległych remontów, z kolei te nowe zasiedla większość członków. Zarząd został powołany z przedstawicieli każdego z nich. Ja mieszkam w niedużym domu, który zasiedla tylko osiem rodzin, i gdy coś planujemy, to po prostu zbieramy się na kawie u kogoś i debatujemy. Owszem, często się spieramy, na co wydać skromne zasoby, ale i tak nie umywa się to do sytuacji większych wspólnot.

Przyszłam nieco wcześniej i zastałam drzwi zamknięte na kłódkę. Dochodziła za kwadrans szósta. Usiadłam na schodach i czekałam. Z upływem czasu schodzili się ludzie, ale nikt nie dysponował kluczem do kłódki. Niektórzy mieli pretensję, dlaczego drzwi są w ogóle zamknięte, i pytali, kto zawiesił kłódkę. O szóstej nieduży korytarz wypełniał już tłum ludzi, a drzwi do piwnicy wciąż stały zamknięte. Debata już trwała. Zgodnie z porządkiem przewidzianym w zaproszeniu kluczowym zagadnieniem miało być podjęcie uchwały w sprawie dokonania remontu instalacji gazowej w starszych budynkach. Ta kwestia jest, zdaje się, dość newralgiczna, ponieważ wiele osób żywo dyskutowało, że nie wolno pozwolić, aby tę uchwałę przegłosowano. Spodziewałam się, że chodzi o to, iż cały zasób finansowy pochłonie remont wykonany w dwóch budynkach na sześć, nie to jednak było przyczyną konfliktu, jak się później okazało.

Tłum gęstniał, pretensje rosły, kiedy jakiś nieduży pan w okularach, kłóćąc się zażarcie z prawie każdym po drodze, przedarł się do kłódki. Pogmerał kluczem w zamku, na chwilę zgasło światło, klucze upadły, znów pogmerał, otworzył drzwi do piwnicy i wszedł pierwszy do środka. Ludzie natarli za nim. Już po paru

minutach stało się jasne, że wszyscy się nie zmieszczą i należy zarządzić odwrót. Tymczasem tłum ze schodów napływał, ludzi wciąż przybywało, i gdy jedni ustawili się twarzami do drugich, starając się dostać lub wydostać, pojawiły się stanowcze głosy, że to prowokacja, granda, paranoja i w ogóle sabotaż zebrania.

Pan w okularach krzyczał, że wszystko dlatego, że tak dużo ludzi przyszło, bo zwykle przybyli mieścili się w piwnicy. Gdy już się wysypaliśmy na zewnątrz, przyszło mi na myśl, że wyglądamy jak zgromadzeni na wiecu. Pan w okularach przejął dowodzenie i machając kartkami, poprowadził tłum za sobą. Ruszyliśmy zdecydowanym krokiem. Kilkadziesiąt osób przedefilowało od budynku do budynku, bo pan w okularach nie był pewien, gdzie mieszka administrator, który dysponuje kluczami do strychu. Nigdy nie uczestniczyłam w żadnej manifestacji, ale chyba tak to wygląda. Psychologia tłumy jest zadziwiająca. Kilkadziesiąt osób wepchnęło się do ciasniutkiego korytarzyka i obserwowało jeden przez drugiego, jak naczelny przewodnik naciska guzik dzwonka. Kobieta, która otworzyła drzwi, przeraziła się, czemu nie można się dziwić. Zamurowało ją jeszcze bardziej, gdy pan w okularach zapytał:

– Gdzie jest mąż?

W obliczu milczącego tłumy takie pytanie mogło wywołać tylko jedno skojarzenie. Kobieta blada jak ściana odpowiedziała niepewnie:

– Poszedł na zebranie wspólnoty...

Wszyscy osłupieli. Nie stoimy tak jednak do tej pory, ponieważ administrator wkrótce się odnalazł, w tłumie. Stał na końcu peletonu i nie dotarło do niego, w jakim celu zmierzamy w tym a nie innym kierunku. Nawet się nie zorientował, że pukaliśmy do jego domu. Oczywiście posypały się zarzuty, że specjalnie opóźnia, bo jest na pewno w zмовie z zarządem. Przed dziewiętnastą dotarliśmy na strych, gdzie pod ścianą stały jeden stolik i cztery krzesła... Prezydium zebrania, złożone z członków zarządu, zajęło miejsce przy stoliku. Przez dłuższą chwilę debatowali oni między sobą, kto powinien objąć funkcję przewodniczącego zebrania. Ustalono, że należy przeprowadzić głosowanie. Na małych karteczkach każdy wpisał nazwisko kandydata, po czym okazało się, że na czworo kandydatów czworo otrzymało po jednym głosie. Pozostali mieszkańcy przyglądali się w milczeniu. Dopiero kiedy państwo z prezydium postanowili powtórzyć głosowanie, wstał jeden pan w puchatej kurtce i powiedział:

– Co wam, do cholery, da kolejne głosowanie?! Jest was czworo, każdy głosuje na siebie, to zawsze będzie tak samo! Przestańmy się bawić, załatwmy, co mamy do załatwienia, i chodźmy do domu!

Po obecnych przeszedł szmer uznania, niektórzy zaczęli nawet klaskać. Państwo z prezydium zaoponowali wprawdzie, że skąd, że nikt na siebie nie głosował, tak się głosy rozłożyły, ale wtedy stojący nadal pan w kurtce obwieścił:

– To ja proponuję na przewodniczącego zebrania pana przewodniczącego

zarządu, na wiceprzewodniczącego pana wiceprzewodniczącego, na skarbnika panią skarbnik, na sekretarza panią sekretarz! Kto jest za?

Las rąk przesądził sprawę. Pan w kurtce usiadł zadowolony, a nowo wybrany pan przewodniczący oznajmił:

– Dobrze. W takim razie głosujemy za uchwałą, którą zarząd postanowił uchwalić, i państwo to dostali do skrzynek. Kto jest za?

Ludzie podnieśli ręce. Nie wiedziałam, czy Marek byłby za, postanowiłam więc wstrzymać się od głosu. Tymczasem pan przewodniczący mruknął gdzieś w bok:

– Wszyscy za.

– Ja nie! Ja głosuję przeciw! – dobiegło nagle z końca strychu.

Głos należał do starszego pana z teczką.

– Ale przecież podniósł pan rękę na za! – rzekł surowo pan przewodniczący.

– Nie! Ja podniosłem rękę, by zasygnalizować, że chcę zabrać głos!

– Wolne wnioski na końcu! – odezwał się pan wiceprzewodniczący.

Pani sekretarz wszystko skrupulatnie notowała. Pan z teczką nie dał jednak za wygraną. Przecisnął się w stronę stołu prezydyjnego i kontynuował.

– Ja mam wniosek formalny, panie przewodniczący. To zebranie jest nieważne, bo nie ma wszystkich i nie wszyscy wiedzą, co się dzieje!

– A kogo nie ma? – chciał wiedzieć pan przewodniczący.

– Pani Kołaczkowskiej nie ma! A miała być, bo ona też jest przeciw!
– podkreślił pan z teczką.

– Pani Kołaczkowska zmarła w zeszłym tygodniu, tylko cieć nie pozwolił powiesić klepsydry, bo podobno zarząd się nie zgadza! – dobiegło gdzieś z tłumu.

Po strychu przeszedł szmer niezadowolenia, który spowodował, że członkowie zarządu patrzyli jeden na drugiego ni to zdziwieni, ni to oburzeni, reszta obecnych rozglądała się za administratorem. W końcu jeden z członków zarządu powiedział:

– Drzwi są do wymiany i pewnie dlatego...

Pan z teczką tylko na to czekał. Odwrócił się do zebranych i jednocześnie grzebiąc w swojej teczce i wyciągając z niej różne papiery, z przejęciem mówił:

– No właśnie, bo ja dysponuję dokumentacją, że to, co zarząd chce przegłosować, to są wyrzucone pieniądze i nie musimy wcale wymieniać tych piecyków, i ja znalazłem tańszą ofertę, a musimy pamiętać o starszych osobach, które tu mieszkają, i nie stać ich na nowe remonty, i przecież hałas będzie, i ja mogę wszystko udostępnić, i nawet do niektórych skrzynek dostarczyłem, ale to poginęło!

Z teczki wypływały kartka za kartką, jedne zapisane odręcznie, inne zadrukowane, na niektórych widniały czarne kwadraty nieczytelnie skopiowanych fotografii. Pan z teczką zasnuwał papierami stół prezydyjny oraz samo prezydium,

które usiłowało protestować.

– Ale ja nic nie dostałem do skrzynki! – uaktywnił się znów pan w kurtce.
– To jak to jest? Są mniej i bardziej uprzywilejowani?

Siedzący obok ludzie przytaknęli. Oni też nic nie znaleźli w swoich skrzynkach.

– Bo ja prosiłem administratora o klucz, ale on nie chciał mi dać i nie wszędzie włożyłem – informował pan z teczką. – Bo panu bym wsadził na pewno!
– tu zwrócił się do pana z kurtką.

– A czego to dotyczy? – chciała wiedzieć pani z drugiego końca sali.
– Bo tu na koniec nic nie dociera! Proszę państwa, proszę przekazywać dalej!

– To jest oferta na nowe piecyki! – poinformował ją pan z teczką.

– Aaa... to ja nie chcę! – zniechęcił się pan w kurtce. – Ja jestem za kanalizacją!

Kilka osób natychmiast, jak na komendę, przestało wertować papiery i przekazało je dalej, jakby płonęły.

Pan przewodniczący bezradnie usiłował zapanować nad papierowym chaosem, który ogarnął już cały strych. W akcie desperacji krzyknął:

– Uwaga! Głosujemy! Kto jest za przyjęciem porządku obrad, który był w skrzynkach?

Część osób podniosła ręce. Pan w kurtce znów wstał. Szkoda, że nie wydobyłam od Marka podstawowych informacji na temat zebrania. Na przykład, czego będzie dotyczyć i jakie jest jego stanowisko w tej sprawie. Czułam się niezręcznie, gdy sąsiedzi z prawej lub lewej strony atakowali mnie, żebym głosowała tak lub tak. Dopiero po długiej, bardzo długiej chwili zorientowałam się, że spór toczy się o planowany remont instalacji gazowej i ciepłej równocześnie. Nie było zgody, jak powinny być zasilane w ciepło i ciepłą wodę owe dwa wiekowe budynki. Istniejąca instalacja gazowa wymagała remontu. Zwolennicy piecyków gazowych z panem z teczką na czele proponowali wymianę piecyków na nowsze, bardziej nowoczesne oraz poprowadzenie pionów gazowych w nieużywanych kominach wentylacyjnych. Ich zdaniem zaoszczędzi się w ten sposób na kosztach, a i uciążliwości remontu będą mniejsze.

Druga frakcja, optująca za przyłączeniem budynków do funkcjonującego w pobliżu węzła ciepłego, nalegała na wymianę rur ciepłej wody oraz likwidację gazu jako źródła grzewczego. Ich zdaniem istniejąca instalacja gazowa zagrażała budynkom, poprowadzenie gazu szybami wentylacyjnymi stanowiło jeszcze większe zagrożenie, nie mówiąc już o piecykach gazowych, które określano mianem „cichych zabójców”. Dyskusja na temat przewagi jednej koncepcji nad drugą nie miała końca. Najbardziej zastanawiało mnie to, że najgłośniejsi protestowali mieszkańcy innych bloków, osoby zupełnie osobiście niezaangażowane w temat. Powoływano się na szereg wyliczeń, ekspertyz, opinii

technicznych i ocen. Nerozwiązywalny problem, wydawać by się mogło. W pewnej chwili trafił w moje ręce projekt jednego z budynków. Nie jestem architektem i nie umiem czytać takich dokumentów, jednak ten był klarowny nawet dla mnie. Budynek jest jednoklatkowy, składa się z dwóch równolegle biegnących pionów, które zbiegają się na ostatniej kondygnacji.

– Gdzie mieszkają zwolennicy piecyków gazowych? – zapytałam mojego sąsiada, pana w okularach. Pan w okularach popatrzył na plan i przejechał palcem z góry na dół.

– Z wyjątkiem jednego mieszkania, wszyscy w jednym pionie – odpowiedział.

– To znaczy, że zwolennicy ciepłej wody z miasta mieszkają po drugiej stronie klatki schodowej? – dociekałam dalej, bo przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Pan w okularach przytaknął. Okazało się, że w drugim budynku jest podobnie. Chętni na ciepłą wodę z miasta skumulowali się w jednym pionie, z wyjątkiem parteru, bo tam w obu mieszkaniach, po obu stronach, byli zwolennicy gazu.

Podniosłam rękę do góry. Przerwałam w ten sposób dyskusję między panem w kurtce a panem z teczką, dotyczącą istnienia lub nie zabójczych bakterii w wodzie przesyłanej rurami z ciepłą wodą. Pan przewodniczący udzielił mi głosu, i tylko przez chwilę mówiłam jednocześnie z panem w okularach.

– Proszę państwa – zaczęłam, trzymając w ręce plan. – Przeanalizowałam projekt budynku. Proszę mi wybaczyć ignorancję, ale zastanawiałam się tylko nad jedną kwestią i to wcale nie techniczną. A mianowicie: skoro w jednym pionie mieszkają osoby zainteresowane podłączeniem ich lokali do miejskiego węzła, a w drugim pionie ci lokatorzy, którzy chcą mieć piecyki gazowe, to może należy zrobić jedno i drugie? Jeden pion taki, drugi taki?

Zapadła cisza, pan wiceprzewodniczący wprawdzie parsknął śmiechem, ale jeden z członków zarządu szturchnął go łokciem, żeby się uspokoił. Pan w kurtce odwrócił się i zmierzył mnie wzrokiem. Pan z teczką zmarszczył brwi, pan w okularach odsunął się lekko, jakby chciał zamanifestować, że z tym pomysłem nie ma nic wspólnego. Reszta wciąż milczała. Wreszcie odezwał się administrator:

– A pani to z jakiej klatki?

– Z żadnej – odparłam. – To jest, chciałam powiedzieć, ja w zastępstwie.

– To pani nie może zabierać głosu – orzekł pan w kurtce. – Tylko mieszkańcy decydują!

– Ja zabieram głos w imieniu mieszkańca! – nie ustępowałam.

– Skoro tego mieszkańca nie ma teraz tutaj, to znaczy, że mu nie zależy, więc też nie ma prawa głosu! – rozsierdził się pan w kurtce.

– Ale to nie jest wcale głupi pomysł – odezwała się nagle bardzo elegancka

pani.

Większość osób nie zabierała głosu, ewentualnie cicho między sobą szeptała. Teraz wszyscy spojrzeli na damę, która wyniosłym ruchem poprawiła włosy i powtórzyła:

– To niegłupie.

Chwilę później rozpętała się burza. Spokojne dotychczas zebranie zamieniło się w pole bitwy. Pan z teczką jak chorągwi bronił piecyków gazowych, kilkanaście osób jednocześnie krzycało, że gaz zabija, a oni chcą żyć, pan przewodniczący kłócił się z panem w kurtce o to, kto ma prowadzić zebranie i tym samym uciszać obecnych. Wreszcie ktoś mocno uderzył pięścią w stół, aż echo poszło, i ryknął na cały głos:

– Ciszaaa...! Zamknąć się, do cholery! Wszyscy, jak rany!

Towarzystwo zamilkło i spojrzało w kierunku krzyczącego.

Był to mężczyzna w średnim wieku, który trzymał projekt budowlany budynku.

– Ten pomysł jest świetny. Nie widzicie, pačany, że szyb wentylacyjny biegnie wzdłuż tego pionu, gdzie mieszkają chętni na gaz? On biegnie na wysokości łazienek i kuchni, wystarczy go poszerzyć, zamontować szczelną instalację i po kłopotcie. Drugi pion jest inny, można rurę z zimną wodą zastąpić mniejszą, obok poprowadzić drugą, z ciepłą wodą. Trzeba będzie wtedy wykuć spory otwór, ale oni i tak zgadzają się na remont, więc nie ma problemu. Tym na ostatnim piętrze rury i tak biegną po suficie, więc nie będzie żadnej różnicy, jedna rura więcej, jedna mniej. Kotłownię można równie dobrze zrobić na strychu, nie musi być w piwnicy. Wyjdzie taniej i szybciej i wszyscy będą zadowoleni!

Gdy skończył, rozległy się brawa. Ludzie omawiali między sobą szczegóły, podnieceni i radośni. Administrator wraz z owym panem przedostali się do stołu prezydialnego i tam, stukając się głowami, na przemian tłumaczyli coś członkom zarządu. Zebranie zakończyło się dobrze po dwudziestej drugiej. Nie byłam pewna, na czym w końcu stanęło, bo pan z teczką robił wrażenie nieprzekonanego.

18 października, wtorek

Z samego rana Marek poinformował mnie, że następne zebranie, które zaplanowano na przyszły tydzień, będzie dotyczyć remontu dachu. Od razu zapowiedział, że powinnam pójść, bo zaocznie wybrano mnie na przewodniczącą zebrania!

Pan Przemek prawie codziennie zdaje mi relację. Hortensja jawi się jako Kopciuszek, Sierotka Marysia i Królewna Śnieżka razem wzięte. On sam pokonuje bez mała każdego dnia, po pracy, kilkadziesiąt kilometrów, żeby dostarczyć jej zakupy spożywcze, przemysłowe i wszelkie inne, o gotówce nie wspominając. Nawet domagał się ode mnie, abym zorganizowała kiermasz prac pani Hortensji.

Odmówiłam. Nie przyznałam mu się też, że jako fałszywa klientka złożyłam zamówienie. Powstrzymała mnie odpowiedź od wybranki jego serca, która to odpowiedź nadeszła po blisko tygodniu oczekiwania. Pani Hortensja, delikatnie mówiąc, zasugerowała, abym zaopatrzyła się w jakimś supermarkecie, ponieważ sygnalizując, że nie lubię naturalnie sinego w kolorze gipsu, pokazałam, że nie znam się na prawdziwej sztuce. A ona nie tworzy dla ignorantów. Jednakże po niespełna godzinie wysłała mi cennik oraz informację, że zamówienie zostanie zrealizowane w ciągu trzech tygodni po wpłaceniu przeze mnie pieniędzy z góry. Odlewów nie robi. Tworzy, wzorując się na fotografiach. Nie wiem, czy się zdecyduję.

20 października, czwartek

Dziś obowiązkowy dyżur telewizyjny. Na początku niewiele się działo. Nie zdążyłam się przygotować do obiecaniej pogadanki, więc uraczyłam widzów kolejnym odcinkiem powieści Jurka:

Pani Drakulowska po raz setny przejrzała się w lustrze i po raz setny pokiwała głową z zadowoleniem. Tak, w krwistoczerwonej sukni było jej wyjątkowo do twarzy. Oboje z panem Drakulowskim szykowali się na wielkie wyjście. Wybierali się na licytację. Bynajmniej nie po to, aby coś kupić, kupowanie mieli w nosie. Po prostu na licytacjach zbiera się dużo ludzi, dobrze utrzymanych, odżywionych, pełnokrwistych. Dla państwa Drakulowskich była to wyśmienita okazja do ustalenia sobie ewentualnych zapasów. Pan Drakulowski włożył czarny frak i przyłożył do szyi czerwoną muszkę. Jego lakierki lśniły jak latarnie morskie. Pani Drakulowska pokiwała głową na znak aprobaty. Jej mąż spojrzał jeszcze na wiszącą na wieszaku pelerynę. Nie, to byłaby już przesada, mruknął sam do siebie i podszedł do żony.

– Gotowa? No, to lecimy!

W domu aukcyjnym zajęli miejsca w ostatnim rzędzie. Stąd mogli dobrze obserwować salę. Kiedy licytacja zaczęła się, uderzyła ich osobliwa cisza panująca wśród licytujących. Prawie nikt się nie odzywał, za to wiele osób dziwnie się zachowywało.

– Co tu się dzieje? – zapytała niebotycznie zdumiona hrabina, kiedy pewien elegancki pan, milioner ani chybi, huknął w trąbkę, a siedząca obok pani natychmiast wstała i usiadła z powrotem.

– To są bardzo eleganccy ludzie i dobrze wychowani – wyjaśnił szeptem człowiek siedzący obok. – Jak pani to sobie wyobraża? Że wytworny milioner będzie się wydzierał jak opętany albo przekrzykiwał innych, tylko po to, żeby podać oferowaną sumę? To małostkowe! Wśród koneserów funkcjonuje specjalny system znaków, dzięki którym mogą oni, bez potrzeby nadwerężania głosu, podawać cenę!

– Mam nadzieję, że pod względem jedzenia nie dziwaczą tak samo...
– chrząknęła pani Drakulowska i natychmiast wszyscy skierowali w jej stronę wyczekujące spojrzenia. Tymczasem pan Drakulowski siedział i wbijał wzrok w szyję pewnej pulchnej pani siedzącej przed nim.

– Szkoda, że nie krzyczą – rzucił w przestrzeń. – W ogólnej wrzawie nikt nie zwróciłby uwagi na wydzierającego się trochę dramatyczniej sąsiada. Ale co tam! Takie czasy. Zaczniemy od tych z końca sali, gdy tylko się rozkręcą.

Pod młotek poszedł właśnie dziewiętnastowieczny haczyk do drzwiczek kurnika. Po sali przeszedł szmer uznania, bo haczyk był w doskonałym stanie.

– Cena wywoławcza: dwa tysiące! – krzyknął prowadzący. Na to pan z drugiego rzędu gwizdnął przeciągle.

– Dwa tysiące sto!

Wtedy pani z miejsca za nim wstała i odtańczyła krakowiaka z przytupem przy swoim krzeselku, a prowadzący krzyknął radośnie:

– Dwa tysiące sto czterdzieści!

Na to odpowiedziało kilka osób i akcja potoczyła się błyskawicznie. Pan w szarym garniturze strzelił z procy.

– Dwa dwieście!

Pan we fraku po lewej plasnął się w czoło, aż echo poszło.

– Dwa czterysta!

Jakaś pani cmoknęła.

– Dwa tysiące pięćset!

Ktoś chlusnął wodą.

– Trzy tysiące!

Ktoś inny rzucił butem.

– Pięć tysięcy!

W powietrzu fruwały brody, wąsy, tupeciki zerwane z głów, szczątki ubrań, fragmenty biżuterii, ktoś rzucił siebie, ktoś inny systematycznie demolował krzesło, na którym siedział, podbijając w ten sposób cenę. Jego sąsiad przyglądał się z zaciekawieniem, co się stanie, kiedy krzesło zniknie i facet zapadnie się w obręcz siedziska. Jego chichot też podbijał cenę. Ponad wszystkim górował głos krupiera.

– Pięć tysięcy sto!

– Pięć tysięcy dwieście!

– Sześć tysięcy!

– Sto tysięcy!

– Sam nie wiem, ile!

Haczyk został sprzedany za milion panu w średnim wieku, który w samych slipach i krawacie, drżącymi rękami i z namaszczaniem odbierał ceną rzecz. Schodził z podwyższenia z miną zwycięzcy, a wszyscy odprowadzali go

zazdrosnym wzrokiem.

Pan Drakulowski i jego żona popatrzyli na siebie i oboje kiwnęli jednocześnie głowami. Kiedy tylko rozpoczęła się licytacja guzika od spodni marszałka dworu Jego Królewskiej Mości, pani Drakulowska przysiadła się bliżej pewnego tłustego pana, a pan Drakulowski uśmiechnął złowieszczo do stojącej tuż obok damy...

Gdy zaczęła się przerwa na reklamę, podszedł do mnie Sławek reżyser i powiedział, że trzeba zwiększyć oglądalność. Powieść w odcinkach już się znudziła, teraz trzeba zaproponować coś nowego.

– No wiesz, jakieś czary-mary albo takie tam, rytuały... – zażartował.

Popatrzyłam na niego z politowaniem.

– Przecież jesteśmy w telewizji, czary-mary możesz sobie wykonać bez mojego udziału!

– Pomyśl dobrze, kochana, bo jak słupki nie pójdą w górę, to zastąpi cię inna wszystkowiedząca – syknął Sławek i odwrócił się do mnie plecami. Przerwa kończyła się za kilka sekund. Prawie w ostatniej chwili asystentka podsunęła mi kartkę z pytaniami od klientów. Zerknęłam i złe we mnie wstąpiło. Chce mieć rozrywkę, proszę uprzejmie!

– Szanowni państwo! – zaczęłam ze słodkim uśmiechem. – Oto kilka pytań, na które z przyjemnością odpowiem. I tak: pani Marysia, urodzona w maju, pyta, czy jej zmarły pies pójdzie do nieba. Pani Marysiu, bardzo proszę o datę urodzenia psa, a jeśli pani tej daty nie zna, to datę urodzenia osoby, która może taką datę znać. Na tę chwilę mogę powiedzieć, że podobno niebo dla zwierząt ma dziewiętnaście poziomów, zatem jest duża szansa, że pani pupil gdzieś się załapał.

Następnie pani Marta, urodzona w październiku, pyta, czy będzie miała drugie dziecko, choć nie znosi swojego partnera i chciałaby się z nim rozstać. Pani Marto, niestety, jest to pani partner docelowy, więc trzeba pogodzić się z losem i znosić jego humory. Ale drugie dziecko może pani mieć, niekoniecznie z nim.

Pan Robert zapytał, dlaczego stale zrywa mu połączenie internetowe. Panie Robercie, może ciężka energia świata na pana spłynęła i serwery siadają. Bardzo pana proszę, aby przypadkiem nie pisał pan nic do mnie.

Pani Aneta chciałaby wiedzieć, co ją czeka w przyszłości. Odpowiadam: w grudniu zmarznie pani kilka razy, w styczniu panią napadną, w lutym mąż sobie o pani przypomni, w marcu się pani rozmarzy, w kwietniu pojawią się problemy z miłością, w maju nowe przygody. Czerwiec to miesiąc rozstań, a w lipcu nic się nie stanie. Sierpień pomijam milczeniem, z kolei wrzesień przyniesie dominację ze strony mężczyzny. W październiku zajdzie pani w ciążę, a potem to już z górki.

Pani Katarzyna pisze, że mąż zdradza ją z asystentką i liczy na to, że tę asystentkę spotka za to jakaś uczciwa kara. Pani Kasiu, ja nie widzę, aby pani mąż

zdradzał panią ze swoją asystentką, bo z nią jest coś nie tak. Moim zdaniem ta kobieta nie pachnie ładnie. A poza tym ugryzł ją kleszcz i chyba go w ogóle nie wyciągnęła. Zatem nawet jeśli zdradza, to kara dosięgnie oboje.

Na koniec pani Stella, która chciałaby potwierdzenia, że liczba dwadzieścia sześć z urodzenia, a rocznikowo siedem, przepowiada schorzenia w sprawach kobiecych w piątym roku numerologicznym. Pani Stello, nie mam zielonego pojęcia, przykro mi.

Sławek nic nie powiedział, gdy kończyłam dyżur. Dałam czadu, pewnie mnie wywałą na zbity pysk. Wróżka Proszula przytaszczyła tym razem wielki pień, taki do rąbania drewna. Jakoś nie miałam odwagi zaczekać, by się przekonać, po co. Reżyser patrzył na mnie takim wzrokiem, jakby chciał ten pieniek wykorzystać.

21 października, piątek

Ojciec znów ciągnął mnie do tych pogrobowców. To jest, chciałam napisać pogorzalców. Nie, też niedobrze, zakładników pogrzebowych! Pani Danusia upiekła kaczkę z jabłkami i ojciec, który nienawidzi kaczki, jadł, aż mu się uszy trzęsły. Mateusz znów się nie odzywał, siedział jak manekin i tylko poruszał ustami. Nie wiem, po co ojciec mnie tam ciągnie, nawet gdybym miała zostać starą panną, to nie związę się z tym chudym drętwym grabarzem!

Nie mam wieści z telewizji. Czyli w niedzielę chyba normalnie pracuję. Kora coś bardzo niedomaga. Marek nie chciał mi pomóc, gdy trzeba było znów jechać z nią do lekarza. Powiedział, że się brzydzi zapachu chorych zwierząt. Fakt, jest chora i nie pachnie ładnie. Ale zrobiło mi się przykro. Czy mną też się nie zajmie, kiedy zachoruję, bo będzie się brzydził chorego człowieka?

Zaczyna mi ciążyć ta relacja, ale może to tak jest, że są przyjemne momenty, potem nieco trudniejsze i teraz właśnie przyszedł czas na te trudniejsze. A może ja się do tego nie nadaję? Jestem naznaczona przez błędy moich rodziców, rozstali się, i ja też jestem skazana na samotność. Przecież miłość to dar nie każdemu pisany. Nawet nie mam komu się poskarżyć. Ojciec mnie nie rozumie, Roksana biega na te swoje treningi obojętności doskonałej, Jurek zajęty jest pisaniem, a Jacek wyjechał. Tylko Boluś mi został. On przynajmniej nie powie: „A nie mówiłem?”.

Wybiorę się chyba na sesję do pani Zosi, może ona coś mi podpowie.

22 października, sobota

Marek znów pracuje. Podobno mamy wolne soboty. Z nudów włączyłam telewizję i popatrzyłam z zainteresowaniem na pracę konkurencji. Tym razem wróżka Diana, ta czarna od telefonu, którą kiedyś spotkałam na korytarzu. Włączyłam się akurat, gdy proponowała jednej facetce zabieg oczyszczania

energetycznego drugiej czakry. Kobieta zapytała, do czego jej się to przyda, ale wróżka Diana odparła, że nie ma czasu na długie wyjaśnienia, bo inni klienci czekają. Zabieg oczyszczania zostanie przeprowadzony niezwłocznie po wpłaceniu odpowiedniej kwoty na konto wróżki.

Klientka zapytała jeszcze, czy to oczyszczanie pomoże jej zdać bardzo ważny dla niej egzamin.

– Ależ naturalnie! – oznajmiła radośnie wróżka Diana. – Zda pani śpiewająco, tylko że jeden zabieg nie wystarczy, potrzeba co najmniej sześciu.

Panie uzgodniły kwotę i klientka się rozłączyła.

Potem zatelefonowała następna chętna na oczyszczanie, tym razem chodziło o nieudany romans. Heroina poznała bowiem bardzo interesującego mężczyznę podczas wakacyjnego wyjazdu. Początkowo ów pan wykazywał ponoć szalone zainteresowanie jej osobą, ale teraz ono osłabło. Klientce zależy, żeby na nowo wzniecić w nim ogień. Wróżka Diana zapisała sobie dane głównych bohaterów romansu i zapowiedziała oczyszczenie. Nie powiedziała tylko, kogo i z czego będzie oczyszczać.

Następnie inna pani zastanawiała się, czy rytuał oczyszczania zaproponowany przez wróżkę obudzi w niej chęć do życia. Klientka wyznała, że ostatnio, czyli tak od jakichś trzech lat, nie chce jej się wstawać rano do pracy, sprzątać domu, zajmować mężem i dziećmi. Może jak się oczyści, to jakiś fajny romansik się trafi? Co na to wróżka Diana?

– Proszę pani! Przecież właśnie po to wymyślono te rytuały! Gdy panią oczyszczę i odblokuję, to chętni będą się pchać drzwiami i oknami!

Na to dictum klientka się wystraszyła, bo ona chciała jednego, a nie kilku naraz.

Potem jeszcze jedna klientka, która popadła w straszne długi i nie wie, jak z nich wyjść. W pracy też jej nie doceniają i nie może liczyć na wysokie premie. Zdaniem wróżki Diany zaledwie cztery zabiegi powinny wstępnie pomóc.

Na koniec odezwał się mężczyzna. Zapytał, jak taki zabieg wygląda, co dzieje się z człowiekiem w trakcie i czy będą w jakiś namacalny sposób odczuwalne rezultaty po zabiegu. Nie uzyskał odpowiedzi, bo wróżka Diana zaprosiła wszystkich na przerwę reklamową.

Po przerwie umawiała już kolejnych chętnych na zabieg oczyszczenia czakr. Co oni z tym oczyszczaniem? Pani Zosia też oczyszcza, może to jest teraz modne? Ja nie oczyszczam, ewentualnie rozśmieszam, to chyba też forma oczyszczenia?

23 października, niedziela

Pan Przemek telefonuje, gdy tylko włączę aparat. Marek jest zazdrosny, bo na temat pana Przemka wiem już więcej niż na jego temat. A czyja to wina? Z panem Przemkiem rozmawiam, a rozmowa to najlepsza forma wymiany

informacji i utrwalania więzi. Pan Przemek relacjonuje mi każdą minutę swojego życia, w tym zwłaszcza czas poświęcony Hortensji. Od niej samej wciąż nie dostałam jeszcze żadnej odpowiedzi na pytanie w sprawie zamówienia. To mnie jeszcze bardziej dziwi, bo zdaniem pana Przemka dziewczyna cienko przedzie i ostatnio pożyczył jej pieniądze. Wzruszyła się i popłakała, gdy powiedział, że będzie mogła oddać, gdy się trochę odkuje. To trochę niezrozumiałe, że lekceważy klienta, może za mało zamówiłam? Może należało od razu pozwolić sobie na pomnik.

Pojechałam po południu do mieszkania Marka, ale nie zastałam tam nikogo. Drzwi były zamknięte, zamki w drzwiach niepozmieniane, ale pusto. Niewiele się zmieniło od czasu przeprowadzki. Dziwne i nie podoba mi się to. Marek w piątek oświadczył, że jedzie służbowo do Łomży, wróci w sobotę bardzo późno, więc przenocuje u siebie, bo ma po drodze bliżej niż do mnie. Ale nie ma go i nie wiem, co o tym myśleć. Boję się rozłożyć karty.

Ojciec znów na obiedzie u pani Danusi, tym razem sam.

Pani Zosia przyszła dziś do mnie z wizytą. Poprosiłam ją o pomoc w sprawie swojego związku. Chwilę potem wpadła też Roksana, ciągnąc za sobą Kazimierza. Chociaż dał się przyprowadzić, i tak nadal nic nie mówił. Rozmowę z panią Zosią musiałyśmy więc odłożyć.

Roksana wymyśliła, że przejdzie teraz kurs survivalu w najtrudniejszych warunkach. Zaproponowałam, żeby udała się do szkoły podstawowej w czasie przerwy. Wystarczy. Ona jednak planuje wyjazd w Bieszczady, na specjalny trening. Nie powiedziała, czy zabierze ze sobą milczącego Kazimierza.

Razem z panią Zosią zaczęłyśmy natomiast rozważać kwestię, czy do wróżki można wrócić z reklamacją. Temat wywołał pan Przemek, który oczywiście zadzwonił i miał do mnie pretensję, że nie sprawdziło się to, co wywróżyła mu inna wróżka. A co takiego mu powiedziała? Że słodka Hortensja to oszustka i manipulantka, że nie on jeden padł ofiarą jej intryg, i jeśli w porę się nie zreflektuje, bo puści go z torbami. Na koniec wróżka nakazała milczenie, bo wróżba się nie sprawdzi.

– No i gdzie to oszustwo? – zapytałam pana Przemka. – Nie sprawdziło się, bo pan papie na prawo i lewo o przepowiedni, a wskazówka była chyba czytelna.

Pan Przemek nazwał mnie wtedy czarownicą i rozłączył się.

– Coś w tym jednak jest – powiedziała Roksana. – Przecież nie wszystkie wróżby się spełniają. Co ma zrobić taki klient, gdy wróżka mu powie, że dziewczyna go kocha, a ona w tym samym czasie puszcza go w trąbę?

– Niech idzie z reklamacją do wróżki – roześmiałam się. – Wszak wykonuje ona usługę, która została sklasyfikowana w polskim PKD, a zawód „wróżka” już nikogo nie dziwi. Zatem można. Tylko jak miałby przebiegać taki proces reklamacyjny? Może jak przy butach? Podaję treść wróżby, okoliczności własnego

życia, które przemawiają za tym, że wróżba okazała się nietrafiona, i... czekam na decyzję, czyli naprawienie wróżby, wymianę wadliwej wróżby na wolną od wad, ewentualnie zwrot pieniędzy.

Pani Zosia też zaczęła się śmiać, a ja mówiłam dalej.

– Rozważmy zatem naprawienie wadliwej wróżby. Jak mogłaby taka naprawa przebiegać? Wróżka ustali, jakie było konkretne zapotrzebowanie, na przykład prognozowała, że pani X spotka się w piątek wieczorem z panem Y i wspólnie przeanalizują dzieła zebrane Mickiewicza, co w konsekwencji doprowadzi pana do złożenia pani propozycji matrymonialnej. Tymczasem z ustaleń wynika, że w piątek państwo się nie spotkali, zatem żadna propozycja nie padła i pani X czuje się oszukana.

W jaki sposób wróżka ma naprawić wróżbę? Czy ma ponownie rozłożyć karty i wskazać nowy termin? Czy też powinna natychmiast zastosować któryś z magicznych rytuałów miłosnych, skłaniających pana Y do złożenia rzeczonego oświadczenia bodaj telepatycznie? A może powinna poszukiwać wraz z klientką przyczyny niezaistnienia pożądanej sytuacji, na przykład rozważyć, co takiego się stało, że do spotkania nie doszło? A może to szanowna klientka, spóźniona o ponad godzinę, bo u fryzjera była kolejka, wystawiła pana Y na próbę, której nie sprostął? O, kochana klientko, sama jesteś sobie winna i zapłać za kolejną wróżbę, czy pan zechce jeszcze z tobą rozmawiać!

Można też prościej. Wróżka otworzy szeroko oczy i powie: „Ależ ja nie miałam na myśli tego piątku, kochana! W ten piątek gwiazdy ułożyły się w kwadraturę koła na osi z Saturnem, i gdyby on się był oświadczył, to mogła! Zaraz by zaczął pić, bić i zdradzać! W życiu! Chodziło mi o piątek w czerwcu 2036 roku!”.

Wymiana wróżby na nową stanowi rozwiązanie proste tylko teoretycznie. Posługując się naszym przykładem, co mogłaby zrobić wróżka w takiej sytuacji? Zaproponować, że powróży na inną okoliczność, na przykład powodzenia w grach liczbowych. I tu klientka otrzymałaby zupełnie pozbawioną wad wróżbę, że „istnieje szansa na wygraną, ale wygrana będzie nie tak prędko i nie taka duża, jak by się chciało”. Jest to wróżba, która sprawdza się zawsze i każdemu, bo zawsze chciałoby się szybciej i więcej, niż się wygrało.

– A może powinna zwrócić klientowi pieniądze? – zapytała Roksana.

– Zwrot pieniędzy w przypadku wróżek w ogóle nie wchodzi w grę, bo to bardzo źle wróży na przyszłość – oświadczyła pani Zosia. Jej zdaniem, gdy ktoś jest na tyle dorosły, żeby sobie powróżyć, to będzie też dostatecznie dorosły, żeby znieść chwilową nieściskość.

Gdy skończyłyśmy spotkanie, Roksana trąciła łokciem milczącego Kazimierza, a ten oświadczył, że wyjeżdża daleko. I to jeszcze dziś. Tajna misja agenta specjalnego!

wieczorem

Nagła i cokolwiek zaskakująca decyzja Kazimierza okazała się prawdziwa, co istotnie zaskoczyło nas wszystkich. Kazimierz nie powiedział już nic więcej, ale za to spakował się i lada dzień ma zniknąć z mieszkania Roksany, zatem musimy poczekać. Roksana rzekła, że Bogu podziękuje, jeśli pozbędzie się wreszcie tego typa, no i odzyska stołek w kuchni.

Tymczasem ja udałam się na kolejny dyżur do telewizji. Poszukiwanie „partnera docelowego”, oto ostatnio najczęstsze zadanie dla wróżki. Kiedy go spotkam, jak będzie wyglądał, czy już zawsze będziemy razem? Takie pytania padają z ust kobiet młodszych i starszych, tych wykształconych i mniej wykształconych, wszystkich. Mężczyźni inaczej zadają to pytanie: kiedy spotkam kobietę, w której się zakocham? Dlatego zdecydowanie wolę rozmawiać z mężczyznami. Dwa razy do roku częstotliwość takich pytań nasila się: na jesieni i na wiosnę.

Sławek nic mi nie powiedział tym razem, więc robiłam swoje. Ale żeby było bardziej medialnie, zaczęłam wygłaszać swój monolog do kamery:

– Gdy byłam nastolatką, moim ideałem mężczyzny był odtwórca głównej roli w serialu *Robin Hood*, Michael Praed. Kochałam go za to, że był taki śliczny, męski, delikatny w obejściu, a zarazem zdecydowany, odważny i dobry. Odkochałam się natychmiast, gdy w którejś z gazet przeczytałam, że skończył 27 lat. Starzec stojący nad grobem, fuj! Potem jego miejsce zajął Bruce Lee i trwał tam tak długo, dopóki nie dowiedziałam się, że od ładnych paru lat nie żyje. Głupio kochać się w nieboszczyku. Nie ominęła mnie fascynacja Thomasem Andersem z zespołu Modern Talking, przez jakiś czas postrzegałam siebie jako wyjątkową i odważną outsiderkę, bo żyłam w absolutnym przekonaniu, że boski Thomas z burzą kudłatych włosów do ramion to dziewczyna. Wreszcie zarzekałam się, że jeśli kiedykolwiek wyjdę za mąż, to tylko za przystojnego, wysokiego i bogatego blondyna o niebieskich oczach. To przekonanie, zwłaszcza dotyczące wyglądu zewnętrznego, tkwiło we mnie dość długo. Tak długo, dopóki nie poznałam pewnego bruneta... Wiadoma sprawa. A teraz znów czuję, że może blondyn byłby lepszy.

Wyobrażenie na temat partnera docelowego zmienia się przez lata, by wreszcie ustalić się na podstawie tego dostępnego wzorca, który właśnie zasiada w fotelu, by za chwilę rozpocząć sprzeczkę z telewizorem. A wtedy współczesna kobieta bierze do ręki telefon i wykręca numer wróżki. Kim zatem jest partner docelowy? Kto to taki? Jaki powinien być, skoro to nie ten, który płacze się po domu? I dlaczego ja go jeszcze nie spotkałam? Oczywiście, z założenia ma być tym jedynym, z którym pod rękę przejdziemy przez życie. Wybranim na dobre i na złe, na szczęście i na niepogodę, by trwał w radości i chorobie. Pojawia się i...

co dalej? Niebawem okazuje się, że jest niedoskonały, bo chrapie, drapie się po tyłku, nie przeszkadzają mu brudne gacie wiszące na poręczy krzesła, nie wita już śniadaniem przyniesionym na kolanach, trzymając w zębach różę... Ależ nie. Czasy się zmieniły. Nie jesteśmy już tak małostkowe. Nie. Teraz partner, który był zaangażowany jako docelowy, przestaje się podobać, bo koleżanka znalazła sobie bardziej zaradnego, bo ten nasz nie umie kraść i kłamać, bo na pewno zdradza, a jak nie zdradza, to znaczy, że się innym kobietom nie podoba, czyli jest do kitu.

Z moich obserwacji wynika, że materiał w postaci partnera docelowego zużywa się średnio w ciągu trzech do pięciu lat. Potem rozpoczyna się szukanie kolejnego partnera docelowego. Jaki w tym udział mają wróżki? Może taki, że wiele z nich przepowiada przyszłość z wyprzedzeniem na trzy do pięciu lat?

Zastanawia mnie jeszcze jedno, i to już będzie ostatnie zdanie na dziś, a mianowicie, że kobiety stawiają wymagania owym kandydatom na partnerów docelowych, nie biorąc w ogóle pod uwagę, czy taki ktoś również się nimi zainteresuje. Pytanie klientki brzmi: Kiedy spotkam partnera docelowego, takiego, który będzie o mnie zabiegał, starał się pozyskać moje względy i pragnął mnie zdobyć? A ja wówczas pytam: A czy zastanawiała się pani, dlaczego do tej pory ktoś taki się w pani życiu nie pojawił? Wreszcie skąd pewność, że gdy się pojawi i zacznie zdobywać, nie zrezygnuje w trakcie? Skąd założenie, że MUSI pojawić się ktoś, kto nieustannie i bezwzględnie będzie starał się i zabiegał?

Przeraża mnie i zniechęca ta ogromnie roszczeniowa postawa u kobiet. Bo kobiety w większości tak stawiają sprawę. Mężczyźni pytają inaczej: Kiedy ktoś mnie pokocha? Kiedy spotkam kobietę, która tak mnie zachwyci, że będę chciał dla niej harować jak wół, urabiać sobie ręce po łokcie, nie dosypiać po nocach, tylko po to, by zapewnić jej wszystko, czego zapragnie? Kiedy spotkam w swoim życiu KOBIETĘ?

Jak każdy, wolę pracę łatwiejszą od trudniejszej, dlatego zdecydowanie chętniej wróżę mężczyznom niż kobietom. I jeszcze jedno: gdy kobieta pisze lub mówi: „To już naprawdę ostatnie pytanie!”, to wiem, że pogadamy jeszcze z pół godziny. Gdy to samo pisze lub mówi mężczyzna, kończymy po trzydziestu sekundach. Czy piszę to wszystko w kontekście pchającego mi się do świadomości coraz mocniejszego przekonania, że z moim związkiem jest coś nie tak? Na tym zakończyłam wywód i wtedy okazało się, że od kilkunastu sekund lecą reklamy.

Po przerwie przypomniał się prawie zapomniany Bracik, który zatelefonował, żeby mi oznajmić, że mnie kocha i nigdy nie porzuci.

Gdzie, do licha, podziewa się Marek?

24 października, poniedziałek

Kazimierz wyjechał po południu, unosząc ze sobą telewizor i odtwarzacz CD. Zapewne tam, dokąd się udał, tego nie mają, a jemu będzie to absolutnie

potrzebne. Roksana więc chwilowo przychodzi na telewizję do nas. Dzięki niej zorientowałam się, że pokazują taki program, w którym jedno z partnerów, gdy podejrzewa drugie o zdradę, wynajmuje detektywów. Panowie fachowcy zakładają kamerki z podsłuchem, wchodząc do mieszkań i biur młodych skądinąd osób, metodą na tak zwanego wnuczka. Wchodzą jak do siebie, montują i podglądają. Gdy pewne jest, że zdrada się dokonała, zapraszają zleceniodawcę. Ten lub ta oglądają „na żywo”, co też ich druga strona wyprawia, i biegną z rozwianym włosom i pianą na pysku zobaczyć to wszystko na własne oczy. Bohatera lub bohaterkę goni cały zastęp ludzi, od kamerzysty począwszy, po faceta z mikrofonem na kiju. Kobiety przeważnie stoją potem, tupią, płaczą i krzyczą, mężczyźni natomiast lecą, żeby drania obić po pysku, ze schodów spuścić, a niewiernej drzwi pokazać i powiedzieć: „Precz!”. Golas skacze po schodach po dwa stopnie naraz, wypluwając z siebie inwektywy, a partnerka roni krokodyle łzy i wyje na całą klatkę, że ona nie chciała.

Najzabawniejsza jest rola pani psycholog, która wkracza do akcji, gdy całe to pandemonium już się dzieje, i z zatroskaną miną powtarza nie wiadomo komu i po co: *Trzeba uspokoić emocje, nie warto tak przeżywać, takie rzeczy są przykre, ale to nie koniec świata*. Roksana uświadomiła mnie, że to jest życiowy paradokument i nie powinnam ryczeć jak oślica, gdy to oglądam. Jak Boga kocham, myślałam, że to serial komediowy.

A może by tak zainstalować kamerę w mieszkaniu Marka? Przecież mam klucze...

25 października, wtorek

Pani Hortensja wyceniła swoją pracę na ponad dwa tysiące złotych. Wciąż domaga się przedpłaty, nawet zaczęła mi grozić. Tylko nie zrozumiałam, czy robi mi coś złego, skoro nie chcę jej zapłacić? Dolepi mi drugi nos?

Chyba istotnie udam się do supermarketu. Zakupię modelinę, odcisnę w niej swoją paszczę i postawię w przedpokoju. Będzie straszyć wchodzących pewnie nie mniej niż potencjalne dzieło pani Hortensji.

Pan Przemek rozwodził się niezwykle długo nad przymiotami pani ceramiczki. Że taka zdolna, że taka skromna, że tak nie ma siły przebicia, że koniecznie trzeba jej pomóc. Waham się, czy powiedzieć mu o mistyfikacji. On chyba istotnie zakochał się po uszy. Wczoraj zapytał, czy mogę wybrać się z nim ponownie po zakup pierścionka zaręczynowego. Wspominając poprzednie doświadczenie, zgodziłam się bardzo niechętnie. Ustaliliśmy, że pojedziemy tylko do jednego sklepu i pan Przemek dokona transakcji. Jutro w ciągu dnia. W końcu nie jestem jego matką, żeby usuwać mu kłody spod nóg.

Zatelefonowała do mnie klientka, która chciała sprawdzić, na którego z mężczyzn powinna się zdecydować: tego, z którym się spotyka, czy jego brata.

Wyjaśniła, że odkąd okazało się, że jej chłopak ma brata bliźniaka, towarzyszy jej ten dylemat. Sprawę utrudnia fakt, że obaj panowie są nią zajęci. Moim zdaniem wszystko uprościłoby się, gdyby i ona miała siostrę bliźniaczkę... Odpowiedziałam, że sprawa jest zupełnie prosta. Przecież któregokolwiek wybierze, wszystko zostaje w rodzinie. I nikt nie zarzuci jej, że jedyne kryterium wyboru stanowił wygląd zewnętrzny.

Marka wciąż nie ma i nie daje znaku życia. Jurek radzi, żebym odezwała się do jego znajomych, może znów wyjechał do Londynu, uciekając tym razem przede mną? Ale to byłoby strasznie głupie, bo przecież to Marek zamieszkał u mnie, a nie ja u niego. Jakaś dziwna sytuacja, a było już tak pięknie! Prześladowuje mnie myśl o detektywie. Że też ten głupi Kazimierz musiał wyjechać. Podpytałabym go, co i jak.

Ojciec, gdy tylko mnie zobaczy, zaczyna wychwalać pod niebiosa panią Danusię i jej, za przeproszeniem, interes, i wreszcie tego młodego Chudego. Mam już tego dosyć. Za Chudego nie pójdę, choćby był ostatnim mężczyzną na Ziemi! Chcę Marka i zrobię wszystko, żeby było między nami dobrze, tylko niechże on się znajdzie!

26 października, środa

Pan Przemek zdecydował się wreszcie i zakupił dość drogi pierścionek z brylantem. Potem bał się jechać do domu autobusem. Samochód mu odholowali, bo zaparkował na zakazie. Oczywiście ja byłam wszystkiemu winna. Gdy się tak zażarcie kłóciliśmy przed sklepem, nagle zobaczyłam Marka, który otwierał drzwi samochodu przed jakąś kobietą. Dziwnie się poczułam, choć oczywiście mogła to być jego: siostra, kuzynka, szefowa, znajoma. Ale i tak mnie to zabolalo. Zostawiłam pana Przemka i dopadłam przejeżdżającej właśnie taksówki.

– Za tym białym poproszę, tylko dyskretnie – powiedziałam do kierowcy.

Facet tylko skinął głową, pewnie przydarzyły mu się już takie pościgi. Marek jechał spokojnie, więc taksówkarz mógł trzymać się w sporej odległości, nie wzbudzając żadnych podejrzeń. Przejechaliśmy przez pół miasta, docierając do dzielnicy willowej. Zrobiło się trudniej, bo uliczki były wąskie, w dodatku Marek nagle zaparkował przed jedną z posesji. Taksówkarz zatrzymał się tuż za rogiem i mrugnął do mnie porozumiewawczo.

– Pani idzie go filować, ja tu poczekam – szepnął.

Wyczołgałam się z taksówki i prawie na czworakach dotarłam do ogrodzenia otaczającego dom, w którym zniknął Marek ze swoją towarzyszką. Kichałam na wszelkie zasady i etykę. Willa stanowiła własność prywatną, Marek posiadał klucze, którymi bez trudu otworzył drzwi. Oboje weszli do środka. Musiałam zobaczyć, co zrobią. Każdy, będąc na moim miejscu, pomimo dławiącego przekonania, że już wie, też chciałby zobaczyć. Wspięłam się po siatce, podarłam

rajstopy, pokonując ogrodzenie i żywopłot, i podkrađłam się pod dom. Przytomnie pomyślałam, żeby nie szarpać za klamkę. Mogłabym uruchomić jakiś alarm albo hałasem ostrzec ich i wtedy wyszłabym na skończoną idiotkę. Pomacałam kieszeń. Telefon jest, zrobię im zdjęcia przez okno.

Udałam się na tyły domu, skorzystałam z drewnianej skrzynki, która stała przy ścianie budynku, i w ten sposób wdrapałam się na balkon. Zasłony nie były zaciągnięte. Wyciągnęłam telefon i przygotowałam się na najgorsze. W tej samej chwili ktoś podszedł do okna balkonowego. Nie był to Marek, tylko jakiś obcy facet. W ustach trzymał papierosa i szarpał się z klamką. Zamierzał zapewne wyjść na balkon, żeby zapalić. Niewiele myśląc, pchana rozpędem, zrobiłam mu kilka zdjęć, po czym zaczęłam uciekać. Skrzynka zarwała się pode mną, rajstopy miałam z głowy, płaszcz też. W krzakach zgubiłam but. Dopadłam taksówki, kierowca natychmiast wyrzucił papierosa przez szybkę i ruszył z piskiem opon.

wieczorem

Ostatni mój dyżur w telewizji. Oznajmiono mi, że jestem zbyt nudna, i albo przejdę na nocne czuwanie, czyli dyżury między pierwszą w nocy a czwartą nad ranem, albo mi dziękują za pracę. Wybrałam to drugie. Cieszę się. Dlaczego? Bo mam już dość tej pracy. Pojawiają się stale te same pytania, wciąż rozkładam te same karty. Przywykłam już do tego, że niektórzy klienci nigdy się nie zmieniają i stale będą dociekać, czy on pomyślał o niej dziś z samego rana, a jeśli tak, to co, albo co go spotka w drodze do pracy. Pytania o wygrane numery w lotto to już standard, dzięki temu wiem, kiedy są najwyższe kumulacje. Pewnego razu postanowiłam wypełnić kupon i zagrać. W tym celu rozłożyłam sobie karty. A one mnie wyśmiały, można powiedzieć. Nie jest mi pisana łatwa wygrana, lecz ciężka praca, niestety.

Co może zirytować wróżkę? Na pewno klient, który stale zadaje to samo pytanie i rozmawia godzinami wciąż o tym samym. Wcale nie cieszy mnie, że dzięki temu moje konto zarobku rośnie. To jest udręka. Irytują również klienci, którzy nie rozumieją, co do nich mówię, i wciąż się dopytują: proszę to bardziej sprecyzować. Ostatnio zatelefonowała jedna pani z konkretnym pytaniem, czy to dobra decyzja, aby teraz zmieniać pracę. Karty odpowiedziały, że nie, lepiej z tym poczekać. W trakcie rozmowy okazało się, że ta pani nie zabezpieczyła sobie alternatywy. Zamierzała zrezygnować z pracy i pyta, jak szybko znajdzie nową, równie atrakcyjną. No to ja jej odpowiadam, że nieprędko, jeśli w ogóle tak atrakcyjną znajdzie.

– To lepiej teraz zrezygnować i spokojnie szukać? – dopytywała się klientka.

– Nie, rozsądniej jest spokojnie szukać, pozostając w dotychczasowej pracy – odpowiedziałam.

– A jak długo będę szukać? – chciała wiedzieć ta pani.

Karty pokazały, że rok lub dłużej.

– No, to skoro za rok coś znajdę, to może lepiej zrezygnować już teraz i skupić się na szukaniu?

– Nie, to jest ryzykowne posunięcie, bo karty mówią rok lub dłużej...

Wtedy klientka przerwała mi i powiedziała.

– Dobrze, to już wiem, co zrobię. Odczekam jeszcze miesiąc i złożę wymówienie. A jak już nie będę pracować, to spokojnie poszukam tego nowego zajęcia.

Rozmowa trwała dobre pół godziny. Ja swoje, ona swoje. Na koniec serdecznie mi podziękowała i rozłączyła się.

Jeszcze bardziej irytuje mnie, gdy ktoś telefonuje i pyta, czy warto iść na operację. Cóż to za pytanie! Rozkładałam wówczas karty na przebieg rekonwalescencji, staram się uspokoić rozmówcę, że wszystko przebiegnie bez komplikacji, że to dobra decyzja i tak dalej. Wszystkich jednak przebiła pewna młoda dziewczyna, która telefonowała do mnie kilka razy, pytając, czy powinna poddać się operacjom plastycznym. Każda rozmowa dotyczyła innej części ciała. Uszy, nos, biust, brzuch, kąciaki oczu. Zastanawiające było to, że karty stanowczo odradzały jakiegokolwiek zabiegi tego typu. Domyślałam się, że dziewczyna jest po prostu ładna, ale zakompleksiona, zatem nie ma realnej potrzeby, aby poprawiać się zewnątrz. Potem okazało się, że owe „poprawki” miał przeprowadzić jej kolega, student trzeciego roku medycyny. Jakie to szczęście dla niej, że zadzwoniła do wróżki, lecz zarazem jakie smutne, że pomyślała tylko o wróżce.

W ogóle męczących rozmów jest więcej. Jak mam odpowiedzieć na pytanie, czy siedmioletnie dziecko przestanie siusiać do łóżka? Przestanie, gdy zlikwiduje się przyczynę tego siusiania. Albo dlaczego prześladowuje mnie w życiu pech? Albo czy schudnę? Albo dlaczego boli mnie brzuch, gdy zjem za dużo? Albo kiedy się rozwiodę, bo jestem już dwa lata po ślubie, a u mnie w rodzinie wszyscy rozwodzą się już po roku?

Często myślałam o zmianie pracy. Koniec z wrózeniem, zostanę sekretarką. Będę rozkładać papiery zamiast kart. I wówczas telefonuje ktoś, z kim rozmowa jest jak olśnienie. Albo ktoś, kto potrafi rozbawić mnie do łez. Ostatnio była to prawie pięćdziesięcioletnia kobieta, bezrobotna, która od blisko roku bezskutecznie poszukuje pracy. Osoba ze średnim wykształceniem, bez znajomości jakiegokolwiek języka obcego, bez żadnych konkretnych kwalifikacji. Otóż zatelefonowała z prośbą, aby sprawdzić, czy planowany wyjazd dojdzie do skutku i czy wszystko się uda. Odpowiedź kart brzmiała: dojdzie do skutku, ale to jest zła decyzja. Gdy jej to powiedziałam, to nakrzyczała na mnie, ta klientka znaczy, że jej nie rozumiem i zazdroścę. Bo ona postanowiła wyemigrować do Australii, bo na portalu randkowym poznała jednego Polaka mieszkającego tam na stałe i on jej powiedział, że u niego pracy w bród.

Ostatni fragment wampirzej epopei.

Pani Zgredowska doprowadzona do furii kolejnym trzaśnięciem okna u sąsiadów na górze postanowiła złożyć na nich donos. Jeszcze nie wiedziała, do kogo ten donos złoży i czy będzie to donos ustny, czy pisemny, ale postanowienie utwardziło się w niej na granit. Bo pani Zgredowska uwielbiała składać donosy na sąsiadów, można powiedzieć, że stanowiło to sens jej samotnego życia. Poprawiła lokówki na głowie, pomyślała przez chwilę i sięgnęła po telefon.

– Halo, czy to administracja osiedla? Proszę pani, ja dzwonię w takiej sprawie, która niepokoi wszystkich mieszkańców budynku przy ulicy Ponurej 6. Otóż mój sąsiad, pan Drakulowski, niestety nie znam jego imienia, bo do nich żadne listy nie przychodzą, otóż ten pan notorycznie trzaska oknem. Tak, oknem! Jak to czym? Swoim! U siebie w mieszkaniu trzaska, kiedy wychodzi z domu. W nocy! Co?! Ja sobie, proszę pani, nie stroję żadnych żartów! Halo! Halo! Wyłączyła się... – powiedziała zdumiona pani Zgredowska i popatrzyła z pretensją na telefon, jakby to od niego oczekiwała wyjaśnień. Po chwili ponownie wykręciła numer.

– Halo... – powiedziała zmienionym głosem. – Czy to administracja osiedla? Chciałem uprzejmie donieść, że jeden obywatel z bloku przy Ponurej 6 nie wchodzi do domu drzwiami, tylko oknem. Tak, a poza tym to oni mają w domu trumnę! Sama widziałam! To jest, chciałem powiedzieć, widziałem. Halo? Halo!

Jeszcze raz wykręciła numer.

– Administracja osiedla? Pan Drakulowski z bloku przy Ponurej 6... No i czego pani tak krzyczy?! Co?! I pani też!

Pani Zgredowska opadła na fotel w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku. No to teraz się za nich wezmą!

Następnego dnia pan Drakulowski był bardzo uroczysty. Wszyscy razem zasiedli do obiadu, który w tej rodzinie wyglądał w ten sposób, że byli już najedzeni i delektowali się myślą, że już nie muszą nic jeść. Hrabia popatrzył na syna, chrząknął i powiedział:

– Synu, jesteś już dorosły, a zresztą, co ci będę tłumaczył. Sam wiesz najlepiej. Musisz znaleźć sobie dziewczynę i ją tego... no...

– Tato!

– Nie przerywaj mi! I ją ugryźć w szyję! No.

– Dlaczego w szyję?

– A w co? To jest, chciałem powiedzieć, nie zapominaj, że jesteś wampirem!

A wampiry...

– Jeszcze nie jestem wampirem..

– Ale będziesz! Jak tylko ugryziesz jakąś w szyję. I wypijesz jej krew.

– Kochanie, nie przy jedzeniu!

– O rany, tato! Która dziewczyna pozwoli ugryźć się w szyję do krwi?!

- Wierz mi, są takie dziewczyny. Niektóre aż się proszą, żeby je ugryźć...
- Hrabio!
- W pewne miejsce. No co? W telewizji widziałem. To tym bardziej pozwolą się ugryźć w szyję!
- Ale do krwi?!
- Wielkie mecyje! Najwyżej pomyśli, że jesteś nienormalny!
- Marianku, przecież wiesz, jakie to ważne. – Pani Drakulowska popatrzyła na syna z czułością. – Wystarczy, że ją ugryziesz. Nie musisz jej nic obiecywać, pamiętaj!
- No dobrze, spróbuję...
- Postaraj się, synu. W przeciwnym razie nigdy nie będziesz mógł założyć sztucznej szczęki dziadka ani moich skrzydeł!

Marian westchnął ciężko. Przecież od kilku dni nic innego nie robi, jak tylko ugania się za jakąś dziewczyną. I to jeszcze za jaką! Ale na samo wspomnienie ostatniej pogoni ogarnęło go zniechęcenie...

Po przerwie reklamowej pożegnałam się z klientami. Wtedy zatelefonował Bracik, który wyżalił się, że znów go opuszczam. Dom wariatów!

27 października, czwartek

Opowiedziałam dziś Roksanie, co mi się przytrafiło w czwartek. Mówiłam o całej akcji śledzenia Marka i tym idiotycznym fotografowaniu obcego faceta. Pokazałam jej nawet te zdjęcia. Widać na nich gościa z papierosem w ustach, który wybałusza gały. Po prostu wzorcowy wręcz przykład zdumienia całkowitego. A facet taki raczej w typie draba spod ciemnej gwiazdy.

– Wyglupiłam się, jak stąd do Ameryki – powiedziałam ponuro, głaszcząc Bolusia pod dzióbkiem. – Wdarłam się na prywatną posesję, zaskoczyłam jakiegoś Bogu ducha winnego człowieka, a co gorsza, jest mi okropnie wstyd, bo wychodzi na to, że Marek ma czyste sumienie. Tam chyba naprawdę było jakieś spotkanie służbowe, a nie żadna randka.

Roksana piłowała paznokcie. Zaczynała z jednym, gdy go już upiłowała, porównywała z drugim. Jeśli nie były jednakowej długości, dopiłowywała któryś z nich, wtedy okazywało się, że te dwa nie pasują do reszty i tak niewiele już brakowało, by pozbyła się wszystkich paznokci w całości.

– Skąd wiesz – zaczęła i syknęła, bo pilnik zjechał na skórę. – Może oni tam sobie urządzili orgię?

– Ubrany był ten facet całkowicie, nawet buty miał – mruknęłam ponuro. Bolek podniósł lewe skrzydełko, by tam go teraz podrapać. – Ja za to wróciłam w jednym pantoflu. Kurczę, jeszcze dowód mają!

– No tak, ale ten cały Marek i tak ma coś na sumieniu. Przecież dalej się nie odzywa.

– Nie odzywa się, bo po tej całej hecy pewnie jemu jest wstyd jeszcze bardziej przed tymi ludźmi. Wyglupiłam się konkursowo i sama bym się już do siebie nie odezwała po czymś takim. – Boluś zaproponował drapanie pod prawym skrzydełkiem. – To przez tego całego Przemka, zezłościłam się na niego i nie myślałam logicznie.

Roksana porzuciła pilowanie paznokci i usiłowała teraz wziąć ze stołu igłę. Bez paznokci czynność ta stała się niezwykle trudna.

– To co teraz zrobisz?

Wzruszyłam ramionami, a Boluś podniósł oba skrzydełka naraz.

– Nie wiem. Z telewizji mnie wyrzucili, więc wrócę pewnie do pracy na portalu.

– A co z Markiem?

– Zupełnie nie wiem. Chyba poczekam, co mogę innego zrobić?

Po południu bombardowanie telefoniczne rozpoczął nie kto inny, jak pan Przemek.

Zasyłał mnie informacjami, że jego wybranka zamierza wystawić swoje prace w Paryżu, że zgłosiła się do niej właścicielka galerii i zamówiła sporo prac. Ze zdumieniem słuchałam o szczegółach współpracy, a to dlatego że były to te same informacje, które wymieniałam e-mailowo z Hortensją, tylko zwielokrotnione. Nie musiałam nawet pytać. Hortensja poprosiła Przemka o skromną pożyczkę na ten cel. Nawet nie siliłam się na jakąkolwiek rozsądną odpowiedź, on przecież i tak by mnie nie posłuchał.

1 listopada, wtorek

Dziś wspominamy tych, którzy odeszli. Co roku odwiedzamy ich groby, przypominamy sobie, jacy byli i co wnieśli do naszego życia. Ale ja dziś nie będę wspominać osób, lecz zwierzęta. Jurek pisze takie piękne historie, patrząc z perspektywy zwierząt właśnie. U niego ptaki chodzą do pracy, co rano grupując się na ptasim przystanku autobusowym, psy wychowują ludzkie dzieci i dorosłych przy okazji, koty wynajmują się w charakterze detektywów, a owady prowadzą swoje oddzielne, głębokie życie wewnętrzne.

Ja natomiast wspominam dziś moją Korę, która odeszła zeszłej nocy. Jak mogłabym ją opisać? Kim byłaby w świecie ludzkim, jak by wyglądała i czym mogłaby się zajmować?

Zapewne podjęłaby pracę w przedszkolu, ponieważ uwielbiała dzieci. Co rano zaparzałaby sobie czarną kawę w czarnej filiżance, którą by wypijała, czytając gazetę wypełnioną czarną czcionką. Potem ubrałaby się w czarną sukienkę i czarne szpileczki, włosy związała w dwa eleganckie kucyki, wzięła małą czarną torebkę i udała się do pracy swoim małym czarnym autkiem. W przedszkolu zachęcałaby dzieci do zabawy w „Czarnego luda” i „Czarno, czarno”, na obiad

zamawiałyby przeważnie barszcz czerwony (bo nie podają czarnego) oraz sok z czarnej porzeczki.

Jej ulubiona lektura to powieść z czarnym humorem w tle, a na wakacje jechałaby na Czarny Łąd. U manikiurzystki pytałaby o zestaw czarnych lakierów do paznokci i panicznie bałaby się pajaków, zwłaszcza czarnych. Ale pogadać można byłoby z nią o wszystkim, nie tylko o czarnej magii. Żegnaj, Korciu! Byłaś fantastycznym psem, a najlepiej wychodziło ci układanie wszystkich do snu, dawałaś nam wspaniały przykład, jak doskonale można zasypiać, nieważne, gdzie, kiedy i w jakiej pozycji. Dobranoc, kochana.

2 listopada, środa

Pojechaliśmy razem z ojcem na groby naszych bliskich. Było wyjątkowo ciepło, jak na listopad. Dużo ludzi pojawiło się na cmentarzu. Pomyślałam wtedy, że wolę chyba pożegnać ukochaną osobę i odwiedzać ją w sanktuarium umieszczonym w moim sercu, zamiast zwiedzać przygnębiające nekropolie. Smutno mi się robi na widok opuszczonych, zniszczonych grobów, których nikt od dawna już nie odwiedza. Dlaczego nie możemy po prostu zniknąć we wnętrzu ziemi, zapadać się i istnieć już tylko w pamięci bliskich. Po co dręczymy swoje zmysły ponurymi płytami, z wiązkami więdnących szybko kwiatów, które w ten sposób wpisują się w martwy nastrój cmentarza. Czyż nie łatwiej byłoby nam wszystkim żegnać zmarłego, widząc, jak znika, przechodząc w niedostępny i niewidzialny dla nas wymiar, zamiast wduszać go w mroczną, zimną ziemię, przygniatając betonową płytą, jakby w obawie, że śmierć mogłaby zbyt szybko wydostać się i znów objawić.

Desperacko staramy się oswoić z tym co nieuniknione. Wizyty u wróżek i szamanów są niczym innym jak szukaniem protekcji w zaświatach, dziecianną próbą pogodzenia lęku przed śmiercią z beczelnym przekonaniem o kontroli nad własnym losem. Zaklinanie rzeczywistości poprzez negowanie istnienia Boga, sił nadprzyrodzonych lub przeciwnie, zabobonna wręcz wiara w rytuały, talizmany, mantry, by móc choć iluzorycznie zapewnić sobie poczucie bezpieczeństwa. Co to jest takiego? Jakie ma znaczenie w obliczu śmierci, której nie da się ominąć, zanegować, przygnieść, oszukać ani przekupić? „Zło najstraszliwsze, śmierć, nie dotyka nas wcale, bo póki my jesteśmy, nie ma śmierci, a kiedy jest śmierć, nie ma nas”. Epikur.

3 listopada, czwartek

Z portalu ezoterycznego też mnie wyrzucili. Podobno robię złą reklamę i zniechęcam klientów. Trudno, spełniło się przecież to, czego i tak chciałam. Na szczęście mam alternatywę. Zakład pogrzebowy, koń by się uśmieł.

Mój pierwszy dzień w nowej pracy. Za wstawiennictwem ojca, w zakładzie

pogrzebowym „Zaciszę”, w charakterze specjalistki do spraw pochówków.

Pani Danuta osłodziła mi pierwsze minuty, dosłownie i w przenośni. Dowiedziałam się, że raczenie się zabójczo mocną kawą z samego rana to rodzinna tradycja, zatem ja też muszę się jej podporządkować. Brak doświadczenia od razu dał mi się we znaki. Pani Danusia zapytała, czy życzę sobie czegoś do tej kawy. Odpowiedziałam, że nie, bo zwykle piję kawę – o ile w ogóle ją piję – bez żadnych dodatków, mleka, cukru. Obecni w biurze, jej syn Mateusz i taki jeden pan Pawełek, który chyba zajmuje się nieboszczykami, popatrzyli na mnie dziwnie. Pani Danusia powtórzyła pytanie, czy życzę sobie czegoś do tej kawy, a ja znów zaprzeczyłam. Panowie przyglądali mi się z coraz większym zainteresowaniem, ja zaś nie rozumiałam, w czym rzecz. Wreszcie pani Danuta postawiła przede mną maciupęńki naparstek z czarną smołą i powiedziała:

– Skoro lubisz taką mocną?...

Troje par oczu patrzyło w napięciu, jak jednym łykiem wychylałam zawartość. Pociemniało mi w oczach od tej czarnej kawy, a już parę minut później czułam tak gigantyczny przypływ energii, że mogłabym jednym pociągnięciem wykarczować hektar lasu. I prawdopodobnie jeszcze starczyłoby mi sił, żeby pobiec na koniec kontynentu i przeskoczyć ocean.

Zapewne oczy wyszły mi na wierzch, bo pan Pawełek powiedział:

– Ale żeby nawet wody nie dolać... Serce ci stanie, dziewczyno!

Zdaje się, że inicjację mam już za sobą. Pani Danuta powiedziała, że przez pierwszy tydzień wszyscy będą mi pomagać, choć praca nie jest trudna ani skomplikowana, potem zostaną w biurze sama, bo każdy ma własny zakres zadań. Załatwiamy oczywiście wszystkie formalności związane z odebraniem zwłok z kostnicy, potem z przygotowaniem nieboszczyka do pogrzebu i samym pochówkiem. Ponadto pani Danusia i jej pracownicy otaczają też opieką rodzinę, współpracują z psychologiem, księżmi, nie tylko katolickimi, bo zgłaszają się przecież osoby różnych wyznań, oraz – z wizażystką, która w razie życzenia maluje zmarłych przed ceremonią. Dowiedziałam się, że rodziny dość często życzą sobie zorganizowania za nich stypy, z przygotowaniem przemówień dla członków rodziny i przyjaciół zmarłego.

– Wszystko musi przebiegać bardzo profesjonalnie, tak aby nikt się nie zorientował, że mówca nie napisał sam tych słów, dlatego rozmawiamy z nimi i staramy się jak najwięcej dowiedzieć o zmarłym.

– Każda ceremonia i później stypa wyglądają inaczej, przekonasz się – wyszczebiotała pani Danusia i dodała: – Do pracy ubieraj się skromnie, ale nie jak na pogrzeb. My żegnamy naszych klientów z szacunkiem, ale nie z grobowymi minami!

Całe towarzystwo roześmiało się, nawet Mateusz, który wydobył z siebie mrukliwy gulgot imitujący śmiech. Słowom pani Danuty przeczył wystrój biura,

nader ponury i chłodny. Czarne i białe kanapy, czarne biurko, biało-czarne meble biurowe, biała lampa w czarny wzorek i białe storczyki w oknie. Nawet przybory do pisania były wyłącznie w kolorach czarnym i białym. Uwagę zwracał natomiast ich rozmiar: wszystko GIGANTYCZNE. Olbrzymi zszywacz do papieru (mogłabym nim zszyć opasły tom kroniki tysiąclecia), wielka i bardzo długa linijka, która od razu skojarzyła mi się z karami cielesnymi wymierzonymi dzieciom w szkołach w czasach zaborów, spinacze jak karaczany argentyńskie, wielkie, czarne i podłużne, monstrualnych rozmiarów dziurkacz i ekran komputera, w którym mogłabym się przejrzeć.

Przypomniał mi się Łukasz, wielkolud, z którym kiedyś się spotykałam. On też posiadał wszystko w rozmiarze XXXLLL. Niestety, kontakt się urwał, bo Łukasz wyjechał do Chin, do pracy. Swoją drogą, to stanowi tam zapewne konkurencyjną atrakcję do Wielkiego Muru (ciekawe, czy jego też można zobaczyć z kosmosu?).

Nie zdążyłam zapytać, dlaczego to wszystko jest takie olbrzymie, kiedy drzwi do zakładu otworzyły się i wkroczyła kobieta w czerni. Znaczą się klientka. Zaczęło się od zwykłych formalności, pomógł mi pan Pawełek, który wypytał o szczegóły dotyczące pogrzebu i ewentualnej stypy. Wtedy pani oświadczyła, że przeżyła wystarczający wstyd i żadnej stypy nie będzie. Pochować męża musi, więc to zrobi i koniec na tym. Myślałam, że nie dowiemy się, co się właściwie wydarzyło, ale klientka sama opowiedziała wszystko ze szczegółami.

A było to tak. Oto dwaj panowie dramatu, jeden to dentysta, drugi – jego klient. Klient udał się do stomatologa w wiadomym celu. Poczekał, o umówionej godzinie usiadł na fotelu. W pewnej chwili drzwi gabinetu otwierają się gwałtownie i wpada przez nie człowiek. Klient z trudem rozpoznał w nim owego dentystę, z którym był umówiony, ponieważ stateczny i flegmatyczny zazwyczaj mężczyzna był potargany, czerwony na twarzy i sypał z oczu iskrami na prawo i lewo. Klient, śmiertelnie przerażony, łypie okiem na dentystę, który bez słowa pakuje mu do ust wielką strzykawkę i znieczula absolutnie całą szczękę. Niecały kwadrans później ludzie w poczekalni z przerażeniem zobaczyli faceta z zielonym śliniaczkiem na szyi, który wybiega z gabinetu, omal nie wrywając drzwi z zawiasów, i sypie zębami na prawo i lewo. Na dodatek z paszczęki, obok zębów, cieknie mu krew. Scena jak z amerykańskiego horroru. Wszystkich zamurowało. Jak by tego było mało, za facetem wybiega z gabinetu doktor z obcęgami dentystycznymi w ręce i krzyczy, że nie tylko zęby mu powyrywa, choć i tak od dziś nie będzie mógł on już nikogo więcej nimi gryźć. Pacjent znaczą, nie doktor. Popłoch w poczekalni. Prawie wszyscy ludzie uciekli, niektórzy zemdleli. Pacjentem okazał się artysta malarz, zarazem jeden z pacjentów doktora. Mężczyzna czterdziestoletni, o przeciętnej aparycji, dość pretensjonalny w obyciu. Raczej małomówny, chyba że mówił o sobie. Wtedy nie nabierał nawet oddechu.

Żony obu panów przyjaźniły się od dawna i spotykały niemal codziennie. Niestety, przyjaźń obu pań skończyła się nagle, jak nożem uciął. Stało się to owego pamiętnego dnia, kiedy doktor pozbawił artystę prawie całego uzębienia. Nic z tego jednak nie rozumiał poszkodowany, który przyszedł do znajomego dentysty, bo wypadła mu plomba z zęba, a ten w ataku jakiegoś dziwnego szału wyrwał mu prawie wszystkie zęby.

Wkrótce sprawa się wyjaśniła. Oba małżeństwa zaliczyły już kilkunastoletni staż małżeński, więc co za tym idzie, wzniosłe uczucia i młodzieńcze fascynacje zostały daleko w przeszłości. Jednak ani malarz, ani doktor nie gustowali w romansach na boku. Ich żony również nie. Małżeńska sielanka. Do czasu. Pewnego dnia dentyścina poskarżyła się przyjaciółce, że mąż trochę ją zaniedbuje. Ma dla niej coraz mniej czasu i w ogóle jest nie ten co dawniej. W domu malarza sytuacja miała się trochę lepiej, żona artysty przyznała się, że wtórne zainteresowanie męża osiągnęła przy użyciu podstępu.

– Najlepsza metoda to wzbudzić w nim zazdrość – tłumaczyła znajomej.
– Symuluję sytuacje, by mąż zaczął podejrzewać, że ktoś się mną interesuje, składa różne propozycje, wysyła kwiaty. Mówię ci, zazdrość czyni cuda. Czasami nawet nie odbieram telefonu, kiedy mąż dzwoni, i udaję, że mnie nie ma w domu. Udaję, że się potajemnie z kimś umawiam, dostaję listy od nieznajomych...

Pomysł dentyściny zachwycił. Zrobiła, jak radziła jej przyjaciółka, a nawet jeszcze więcej. Pomogło. Mąż zaczął bardzo intensywnie interesować się, gdzie bywa, z kim i stał się czuły. Niestety, doktorowa nie wiedziała, że zazdrosny mąż to podejrzliwy mąż, nie tylko czuły. Stomatolog zainstalował w domu kamery i pozostawiał włączony dyktafon, gdy wychodził do pracy. Kamery nie zostały właściwie uruchomione, ale dyktafon zrobił swoje. Doktor po powrocie z pracy odsłuchał nagranie, na którym został zarejestrowany męski głos, który informuje, że za chwilę zatopi swoje kły w cudownym karczku, będzie kąsał tu i ówdzie i delectował się ukąszeniami. Zazdrosny mąż wpadł w szal. Jedyna działająca kamera zarejestrowała malarza wchodzącego do domu, mniej więcej w tym samym czasie zostało wykonane nagranie.

Okazało się, że pani doktorowa zaprosiła znajomego malarza, aby ten przygotował prezent urodzinowy dla przyjaciela, czyli namalował portret. Omówienie szczegółów zajęło tylko chwilę. Potem malarz się oddalił, a pani spotkała się z jego żoną, która przywiozła ze sobą dyktafon, przypadkiem identyczny z tym, który ukrył dentysta. Zaprezentowała koleżance namiętne nagranie, po czym odjechała, zapominając zabrać urządzenie. Doktor wrócił i odsłuchał nie ten zapis, który powinien. Później rozegrały się sceny w gabinecie, bo zazdrosny mąż postanowił się zemścić. Niestety, wszystko zakończyło się tragicznie, ponieważ doktor, wciąż nie mogąc ochłonąć, niecałą godzinę później wtargnęła na jezdnię i śmiertelnie potrąciła go ciężarówka.

I tak oto pani doktorowa przysłała załatwić formalności pogrzebowe. Gdy zapytałam, skąd odebrać ciało, kobieta spojrzała na mnie ponuro i odparła:

– Z zarządu oczyszczania miasta. Ten kierowca ciężarówki, zanim zorientował się, że kogoś potrącił, przejechał jeszcze kilkaset metrów. Nic nie słyszał, bo miał słuchawki w uszach.

Nie spodziewałam się, że praca w zakładzie pogrzebowym może być tak zabawna. Może to wcale nie jest zły pomysł?

4 listopada, piątek

Z grubsza wiem już wszystko, oczywiście w teorii. Mateusz niewiele mi pomaga, bo niewiele mówi, za to pan Pawełek nawija bez końca. Ta praca to jego pasja i powołanie. Potrafi godzinami opowiadać o balsamowaniu zwłok, o malowaniu nieboszczyków, o ich ubieraniu i tym podobnych. Po pierwszym szoku można się oswoić. Praca jak każda inna. W końcu ktoś to musi robić.

W biurze nie ma dużo roboty, powtarzalne czynności, więc chyba szybko opanuję. Ojciec ma pretekst, żeby przesiadywać w kantorku pani Danusi całymi dniami, pozostawiając pralnię na pastwę Roksany. To niebywałe, bo przecież mokry interes to nasza rodzinna scheda, której powinniśmy pilnować jak oka w głowie. A tu proszę, ojciec woli wysiadywać godzinki na kanapce u pani Danusi.

5 listopada, sobota

Otrzaskałam się już trochę z pracą w zakładzie pogrzebowym. Przeważnie rozmawiam z klientami, gdy przychodzą załatwić formalności, zajmuję się także pisaniem przemów pożegnalnych. Dziwny zwrot w mojej działalności. Ale praca mi się podoba, nie mniej ciekawa niż na portalu ezoterycznym. Zabawne, bo zdarzają się osoby, które życzą sobie odprawiania różnych rytuałów nad zmarłym. Na przykład zawiązania czerwonej wstążeczki, bo to odstrasza złe moce, albo zapalenia kadzidełek. Aż ciśnie się na usta uwaga, że to wszystko potrzebne jak umarłemu kadzidło. Ostatnio jedna klientka zapytała, czy możemy pochować jej zmarłego dziadka z zapalonym papierosem w ustach, bo obiecała mu to na łożu śmierci.

Marek przysłał mi wczoraj tuzin pięknych róż, do których dołączył karteczkę z krótkim „Myślę o Tobie, M.”. To znaczy, że jednak kocha. Wyrzucam sobie, że w niego zwątpiłam. Nie mam jednak pojęcia, co się z nim dzieje. Jego telefon wciąż milczy, mieszkanie wygląda na nieodwiedzane. Byłam tam wczoraj, wszędzie zastałam kurz i pajęczyny. Intryguje mnie ten zamknięty pokój. Chyba przekroczę już wszelkie granice i zajrzę tam, bo przecież nie wiadomo, co się stało. Znów gdzieś uciekł? Przede mną? To co znaczą te kwiaty i ta karteczka? Boję się, że wpłatał się w coś niedobrego. Marek to przecież niezwykle wrażliwy i prostolinijny człowiek.

Roksana tym razem zapisała się na kurs cyfrowego retuszowania zdjęć. Wycieczka w Bieszczady nie wypaliła, bo podobno instruktor podczas ostatniego turnusu złamał obie nogi. Roksana wyretuszowała już wszystkie swoje zdjęcia. Na niektórych wygląda na piętnaście lat. Naturalnie znów gości na portalach randkowych. Na szczęście w pralni wysiaduje swoje, więc ojciec się nie czepia. W ogóle ostatnio stał się dla mnie niezwykle miły i serdeczny. Nawet proponował, żebym znów z nim zamieszkała. Ale nie chcę teraz nic zmieniać. Jestem mu wdzięczna, że załatwił mi tę pracę u pani Danusi, zostałabym przecież bez pieniędzy, a nie chciałam wygryzać Roksany.

Natomiast Jurek wsiąkł zupełnie w plebanijny klimat. Gospodyni księży pomaga mu opiekować się babcią, obie panie bardzo się polubiły. Kilka dni temu babcia Jurka przyprowadziła do domu psa, nie wiadomo skąd go wytrzasnęła. Jurek porozlepił ogłoszenia, pytał w schroniskach, ale na razie właściciel się nie znalazł. Pies jest duży, to dog angielski, któremu stale kapie coś z pyska. Gdy pije wodę z miski, trzeba uważać, żeby nie przeszkodzić mu w tej czynności, ponieważ jego jeden ruch pyskiem sprawia, że wszystko dookoła zostaje dokładnie zabryzgane śliną. Babcia Jurka uwielbia tego psa, gospodyni księży także, więc niewykluczone że zwierzak już tu pozostanie, jeśli nikt się po niego nie zgłosi. Na razie wołamy na niego Synek, bo to młody pies. Obie starsze panie traktują go zresztą jak – nie przymierzając – swojego małego wnusia.

wieczorem

Synek, czyli czworonożny nowy lokator naszej kamienicy, stanowi żywy alarm z dzwonkiem w jednym. Reaguje na pojawienie się na klatce schodowej każdej nowej osoby, nie szczeka tylko na stałych lokatorów. Roksana zaprosiła wczoraj wieczorem do siebie jakiegoś faceta. Synek ujadł pod drzwiami, a głupi gość zaczął go drażnić, uderzając w klamkę. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy Jurek otworzył drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje, i amant stanął niemalże oko w oko z psinką. Synek pokazał mu piękny garnitur zdrowiuteńkich zębów. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś tak szybko zbiegał po schodach. Roksana zyskała w ten sposób męski płaszcz, mało używany.

Po południu poszliśmy na spotkanie plebanijne. Mogę się wreszcie pochwalić nową profesją: specjalista do spraw pochówków. Jurek oczywiście zabrał ze sobą babcię i psa. Całe szczęście, że to duże zwierzę, bo po drodze babcia Jurka wykrzykiwała: „Synek, Synek, chodź, to cię pogłaszczę!”. Kilku mężczyzn się obejrzało za nami, a miny mieli niezbyt przyjazne.

Na plebanii Synek przywarł do księdza Rafała, który siedział przy stole w kuchni. Pies położył pysk na kolanach duchownego. Patrzył na niego z uwielbieniem i ślinił się potężnie. Ksiądz Rafał bał się poruszyć, a po kilkunastu minutach, gdy Jurek uwolnił go od psiego towarzystwa, udał się na spotkanie

w sutannie ozdobionej piękną mokrą plamą. Niepewnie zadarł sukno do góry, ukazując prążkowane spodnie. W takiej pozie zastał go proboszcz.

– A co ksiądz zrobił z sutanną? – zapytał podwładnego. – Co ona taka krótka?

– Synek mi poślinił – odparł zgodnie z prawdą ksiądz Rafał.

– To ksiądz nie bierze małych dzieci na kolana!

– Nie biorę! Synek sam to zrobił!

– Synek czy córka, nieważne, dzieci się ślinią – podsumował proboszcz.

– Ksiądz się doprowadzi do porządku i zapraszamy do salki.

Ojciec tym razem przyszedł sam, bez pani Danusi. Ale i tak zawita u niej jutro na obiad. Jurek zaprezentował kilka opowiadań dla dzieci i pochwalił się, że jego powieść o wampirach spodobała się wydawcy i zostanie opublikowana. Może nawet przetłumaczą ją na język obcy.

8 listopada, wtorek

Obserwowałam wczoraj wieczorem w telewizji moją niedawną konkurencję. Najpierw do wróżki Proszuli zgłosiła się kobieta, którą ekspertka oczyszczała kilka razy energetycznie. Okazało się, że było to potrzebne, żeby klientka zdała egzamin na prawo jazdy. Kobieta zadzwoniła, żeby poinformować wróżkę, że nie zdała. Pani Proszula zmieszała się lekko i już zaczęła tłumaczyć, że proces oczyszczania jest skomplikowany i powinien trwać przynajmniej przez miesiąc, codzienne oczyszczanie chroni bowiem przed złymi mocami, ale klientka przerwała jej w pół słowa.

– Pani wróżko! – zaczęła mocno podekscytowana. – Gdy wsiadłam do samochodu, to tak mi pociemniało przed oczami, że zobaczyłam wszystkie moje anioły opiekuńcze. A potem pomyliłam pedał hamulca z pedałem gazu i poparułam przez cały plac manewrowy. Egzaminator był w takim szoku, że nie mógł wymówić ani słowa. Dopiero gdy zatrzymałam się na ogrodzeniu, wypadł z auta z krzykiem: „Po moim trupie!”. Więc chyba nie zdałam. Może pani mi to sprawdzić?

Wróżka Proszula przetasowała karty, tak z piętnaście razy, mamrocząc pod nosem dane klientki i po tym całym tasowaniu zapytała słodko:

– A co mam sprawdzić, kochanieńka?

– No, czy zdam następnym razem – zaszczębiotała klientka.

Proszula znów potasowała, tym razem mamrocząc pytanie. Po kilku minutach pokazała kartę Głupca i oznajmiła.

– Myślę, że tak, proszę się nie poddawać, trzeba wierzyć, że się uda. W końcu sukcesem było, że w ogóle wsiadła pani do tego auta, prawda? Oczyszczanie pomogło.

– O tak, tak – zgodziła się klientka. – Byłam taka rozluźniona. Jeszcze się

z tego śmieję!

– No właśnie! – Wróżka Proszula popatrzyła tryumfalnie w oko kamery.
– Tak działa oczyszczanie, proszę państwa. Ta pani nie zdała egzaminu, ale się nie poddaje, bo cudowna energia oczyszczenia trzyma ją na odpowiednim poziomie.

Później padło kilka pytań, niektóre wydały mi się znajome. Na przykład pani Helena, urodzona w grudniu, zapytała, czy mąż Szymon, urodzony w czerwcu, zdradza ją ze swoją podwładną, urodzoną w listopadzie. Wróżka rozłożyła karty i odpowiedziała, że tak. Mało tego, zdradza również tę podwładną z sekretarką szefa, a sekretarkę szefa z gońcem. Potem ktoś zapytał, czy jest opętany, a jeśli tak, to jak długo to potrwa, oraz ile wcieleń jeszcze przed nim. Wróżka zaproponowała prywatną sesję u siebie w gabinecie, bo to bardzo poważne pytania.

Po przerwie reklamowej pojawiło się moje zastępstwo. Ono, bo płci w pierwszej chwili nie zdołałam odgadnąć, wygłosiło przemowę na temat używania kart przesłania duszy i ciała. Wymachiwał ten ktoś kartonikami, na których dostrzegłam między innymi świniński ryj i dziecięce klocki. Potem doradca, którego pseudonim brzmi: Kołatek, więc chyba mężczyzna, pokazał kartę, na której widniała czterolistna koniczyna, i powiedział:

– Jeśli ktoś z was chce być niewidzialny dla innych ludzi, niech nosi w kieszeni nasionko paproci! Trzeba takie nasionko znaleźć w noc świętojańską i umieścić w białej chusteczce. Tylko uważać, żeby skarb nie upadł na ziemię, bo straci swoją moc.

Potem radził jeszcze, by unikać szczelin, bo to są maleńkie otchłanie piekieł. Przed przerwą było śmiesznie, ponieważ znawca magii oświadczył, że koń z czterema kopytami przynosi nieszczęście, ale nie wyjaśnił dlaczego.

Po przerwie ujawniła się ta sama klientka od prawa jazdy, która oczyszczała się już u Proszuli. Zapytała Kołatka, czy zda egzamin. Wróżbita rozsypał karty na stole i pod nim, po czym oświadczył:

– Nie wiem. Chyba nie, ale to nic pewnego. Ja kiedyś sobie wróżyłem na to samo i wyszło mi, że zdam, a potem nie zdałem! I jeszcze trzy inne wróżki mi potwierdziły, że dobrze sobie wywróżyłem!

– Ale może mnie się sprawdzi! – nalegała klientka.

– Mogę pani postawić karty, czy się sprawdzi wróżba, ale to nic pewnego, naprawdę! – wzruszył ramionami Kołatek.

Wyciągnął ze stosu kartę, na której namalowana była miotła. Pokazał to do kamery.

– I co to oznacza? – chciała wiedzieć klientka.

Kołatek odpowiedział, że nie wie, bo nie nauczył się wszystkich trzynastu kart na pamięć, ale miotła kojarzy mu się ze sprzątaniami, więc chyba wszystko dobrze pójdzie.

– To zdam czy nie? – zniecierpliwiła się klientka. – Bo nie wiem, czy

w ogóle uczyć się do tego egzaminu!

– Może się pani uczyć, choć to i tak pewnie nic nie da – odparł Kołatek.
– Potem może pani przyjść do Proszuli na oczyszczenie złych emocji po niezdanym egzaminie.

Ostatnia klientka zapytała, czy pan Kołatek może pisać jej odpowiedzi na kartce, bo u niej w domu mąż śpi na kanapie przed telewizorem i ona musiała ściszyć dźwięk.

W pracy nudno, niewiele się dzieje. Roksana czasem wpadnie z jakąś wiadomością, ale ogólnie spokój. Ojciec tylko miał pretensje, że jakieś baby szukały mnie jako wróżki. Miałam pomóc w znalezieniu złodzieja czy coś takiego. Ojciec je przegonił, a Roksana żartowała, że sama zacznie wróżyć w pralni, tak dla hecy.

9 listopada, środa

Marka wciąż nie ma. Przepadł i nie pamiętał nawet o moich urodzinach, które były dwa dni temu. Sama zresztą zupełnie o nich zapomniałam. Chyba już nic nie będzie z tej relacji. Nawet nie mam ochoty zaglądać do jego mieszkania, bo po co? Jak by mu zależało, toby się odezwał. Roksana namawia mnie na powrót do portalowego randkowania, ale ten pomysł też mi się nie podoba. Ale kogo ciekawego można poznać w zakładzie pogrzebowym? Rodziny zmarłych szybko załatwiają sprawę i wychodzą, a nieboszczycy są raczej nie do wzięcia.

Ojciec jednak znów narzeka na Roksanę, twierdzi, że jest roztrzepana i nieuważna. Podobno wydała jakiejś kobiecie paczkę prania, w której znajdowała się bielizna erotyczna należąca do jednej tancerki z naszego osiedla. Kobieta przyniosła pranie do domu i mąż urządził jej karczemną awanturę, że przepuszcza jego ciężko zarobione pieniądze na jakieś cekinowe szmaty, które w dodatku pierze w pralni.

Roksana martwi się o tego Kazimierza. Podobno rzeczywiście gdzieś poleciał, ale nie do Ameryki, czyli USA, jak sądziliśmy, tylko do Ameryki Południowej. Utknął w Chile na granicy. Wysłał jej pocztówkę o treści: „Pomóż, jestem w Chile na granicy”, ale ona przecież nawet nie wie, jak on się nazywa. No trudno, jest dorosły, chyba wie, co robi.

11 listopada, piątek

Otrzymałam odpowiedź od pani Hortensji, po tym jak napisałam, że nie kupię kota w worku. Cytuję dosłownie:

Witam, proszę wybaczyć opóźnienie w korespondencji, jednak większość czasu spędzam po prostu zwyczajnie w pracowni lub angażuję się w projekty artystyczne, które z siedzeniem przy komputerze nie mają nic wspólnego. Stąd nie zawsze jestem dostępna w internecie. Niestety, specyfika mojej pracy wymaga ode

mnie pełnego poświęcenia i zaangażowania się w dany projekt, nad którym pracuję. Więc zazwyczaj od rana do wieczora jestem umazana po łokcie w gipsie, musi to pani zrozumieć. Nie posiadam osobistego asystenta, który wyręczałby mnie w sprawach korespondencji i marketingu, prowadził sklep, wykonywał kosztorysy, tak by każda osoba zainteresowana moimi wyrobami poczuła się obsłużona, tak jak by sobie tego życzyła. To, co robię, to nie jest łatwy chleb i nie posiadam funduszy na rozbudowę strony, tak aby była ona dla pani bardziej czytelna.

Niestety też nie powielam ani nie wykonuję przedmiotów w ilości masowej. Do każdego przedmiotu podchodzę z sercem i zaangażowaniem, często niezrozumiałym dla osób, które nie mają nic wspólnego ze sztuką, i moje starania, by przedmiot spełniał oczekiwania klienta, zakłóca tę mało istotną otoczkę. Staram się utrzymywać wiadomości w jak najlepszym tonie, a mając w głowie zarysy przyszłych projektów i przyszłych prac, skupiam się już na nich, bo to jest chyba najistotniejsze.

Wydawało mi się, że dałam już pani wystarczającą informację. Dlatego też nie będę chyba mogła sprostać pani zamówieniu, bo sztuki nie da się wcisnąć w pewne ramy, na które pani kładzie nacisk. Dlatego w tym przypadku proponuję pani zakupy „do koszyka” na portalach, na których widnieją już gotowe prace, które może pani zakupić od razu, uważam, że w tym przypadku będzie to dla pani najwłaściwsza forma zakupu.

No i się doczekałam. Zastanawiam się, czy poinformować o tym pana Przemka, czy też poczekać z psuciem sobie humoru na inny dzień.

12 listopada, sobota

Ojciec zawiadomił mnie, że przyszła jakaś paczka z zagranicy. Podobno do Roksany, ale awizo było wystawione na mnie. Udałam się więc na pocztę.

Oczekiwałam w niezbyt dużej kolejce, która wydłużała się z każdą kolejną minutą. Ludzi za mną przybywało, przede mną nie ubywało. Na sześć uruchomionych stanowisk czynne były tylko dwa. W pozostałych okienkach tkwiły zapracowane głowy pań, które z ogromnym zaangażowaniem starały się nie zauważać oczekujących klientów. Zakres usług został bardzo wyraźnie sprecyzowany na dużej płachcie powieszzonej na froncie. I tak w okienku A można było odebrać i nadać przesyłki polecone, w okienku B przesyłki zwykłe i tak zwane gabarytowe, w okienku C dokonać wszelkich opłat. Najdłuższa kolejka ustawiła się do okienka A.

– Proszę pana, nie mam takiego listu! – denerwowała się pani w okienku.
– Nie mam w wykazie takiego nazwiska. Jest Łukasiński, Łukasińska, Łukasik, ale Łukasiewicza nie ma! Może pan się inaczej nazywa?

– Czy pani żartuje? Artur Łukasiewicz, mam przecież awizo! – irytował się klient. Oczekiwał już dobre kilka minut i teraz taka informacja. – Może pani

poszuka ręcznie wśród przesyłek?

– Jakie ręcznie? Co pan? Sto przesyłek mam przejrzeć? Pan chyba oszalał!
– zdenerwowała się pani.

Klient, jeszcze spokojny, choć gula na szyi już mu mocno nabrzmiała, przestąpił z nogi na nogę i zapytał.

– To co pani proponuje?

– Nie wiem, nie mam takiej przesyłki i już – odparła pani i nacisnęła guzik wyświetlania kolejnego numerka.

Gdy przy ladzie stanął kolejny klient, trochę niepewnie wyciągający rękę z karteczką awizo, ten obsługiwany dał upust swojemu zdenerwowaniu.

– Co tu się dzieje, do licha?! Gdzie jest mój list?! – zaczął krzyżeć.

– Nie mam takiej osoby w wykazie! – krzyczała równolegle urzędniczka.
– Niech się pan nie awanturuje, bo ja tu obsługuję klientów!

– Panie, bierz pan tego Łukasiaka, czy jak mu tam, nie wydziwiaj pan, bo ludzie czekają! – odezwał się ktoś z kolejki.

Mężczyzna odszedł kawalek, żądając rozmowy z kontrolerem. Żądanie wypłuł w przestrzeń, więc nikt nie zareagował. Następna osoba w kolejce miała dokładnie ten sam problem. Okazało się, że przesyłki na wskazane nazwisko nie ma, ale za to oczekuje list dla kogoś pod tym samym adresem. Pan stanowczo upierał się, że nie zna człowieka i nie może odebrać za niego listu. Pani w okienku zirytowała się jeszcze bardziej.

– No tak, ludzie nie chcą odbierać przesyłek i ja potem mam całe pudła listów!

Przy okienku B, w którym wedle rozpiski odbiera się i nadaje przesyłki większe, stanął pan z dość dużą paczką. Pół kolejki obserwowało z przejęciem jego wysiłki na rzecz przepchnięcia pudła przez standardowe okienko. Bardzo aktywnie pomagała mu w tym pani urzędniczka.

– Nie przejdzie mu! Za duże!

– O, z lewej się odgniotło!

– Powinni tak pod kątem, bo inaczej się rozerwie.

Komentowali ludzie, a spekulacje, czy w ogóle pan nada tę przesyłkę, odciągnęły ich uwagę od wciąż awanturującego się Łukasiewicza przy okienku A. Natomiast paczka w żaden sposób nie chciała dać się precyzyjnie przesuwać na drugą stronę.

– Musi pan to przepakować – oznajmiła w końcu pani w okienku.
– Sprzedam panu nasze pocztowe kartony.

Mężczyzna nie oponował. Zakupił trzy sztuki i odsunął się na bok, aby nie blokować kolejki. Nic to nie dało, bo jego numer wciąż widniał nad okienkiem, a pani była zajęta stukaniem palcami w klawiaturę. Oczekujący klienci zdenerwowali się.

– Czy ktoś w tym okienku obsługuje? – zapytała młoda kobieta z paczką pod

pachą. Wyraźnie jej się śpieszyło. Nerwowo zerknęła na zegarek i teraz równie nerwowo zareagowała na odpowiedź urzędniczki.

– Ja tu pracuję, proszę pani, i proszę mnie nie poganiać!

– Ja też chciałabym udać się do pracy, a tymczasem sterczę tu już ponad pół godziny!

– Ja pani nie każę tu sterczeć. Może pani sobie nadać tę przesyłkę gdzie indziej!

Przy okienku C było najspokojniej. Kolejka długa, każdy klient obsługiwany wolno, ale jakoś idzie bez zakłóceń. Najwidoczniej jednak nie jest wskazane, aby choć w jednym okienku sytuacja prezentowała się inaczej niż w pozostałych, ponieważ nagle nad głową kasjerki wyrosła taaaka blondyna i ryknęła na cały urząd:

– Kto ma list do odebrania?!

Ludzie stojący wewnątrz budynku poczty zamarli. Rozmowy ucichły. Możliwe że samochody zatrzymały się, zegary stanęły, cały świat zamarł, tak potężny to był głos. Z odrętwienia pierwszy ocknął się młody chłopak, który akurat wszedł do środka, niepewnie rozejrzał się dookoła i już miał nacisnąć guzik pobierania numerków w kolejce, kiedy rozległ się ów potężny głos.

– Ja mam... – powiedział, przerywając ciszę.

– To zapraszam do mnie! – odpowiedziało mu babisko.

Chłopak podszedł, podał wezwanie i dopiero wtedy popatrzył na ludzi. Przyglądali mu się z tak widoczną nienawiścią, że biedak z pewnością pomyślał, czy nie dać nogi. Pal licha list, życie się liczy.

– To już elementarne zasady wychowania nie obowiązują? – zaczął złowieszczo pan w kraciastym szaliku. – A numerek pobrać nie łaska?

Chłopak nie odpowiedział, modląc się w duchu, żeby ta kobieta szybko wróciła z jego listem. W mgnieniu oka ustawiła się za nim gigantyczna kolejka ludzi z awizo w rękach. W tej samej chwili wyświetlił się numer kolejny nad okienkiem A. Nikt nie podszedł, więc pojawił się następny i następny. Przy kolejnej zmianie ktoś się w końcu zorientował.

– Pan ma przeterminowany numer. Proszę pobrać nowy bilet!

– Ale ten numer wyświetlił się trzydzieści sekund temu!

– Nieważne. Ja teraz obsługuję osobę z numerem 936, a pan ma numer 934. Jeśli klient z 936 ustąpi panu miejsca, to proszę bardzo.

Klient z numerem 936 kiwnął głową potakująco. Pani obsłużyła zaskakująco sprawnie pana z numerem 934. Gdy ten z numerem 936 zbliżył się do okienka, nad jego głową, w tej samej chwili, wyświetlił się numer 937.

Spędziłam na tej poczcie blisko trzy godziny. Na szczęście udało mi się załatwić sprawę pozytywnie. Nie wiem, kiedy zły los znów mnie tam zagna, ale z jednego powodu nie narzekam. Nadrabiam dzięki temu zaległości

w czytaniu. Paczka istotnie była zaadresowana do Roksany, bo mnie przecież nikt by nie tytułował *Demonicznym Kwiatuszkiem z Polski*. Pokażnych rozmiarów, ale dość lekka. Na wierzchu widniał adres nadawcy: Pablo Gonzales Piotrowski, Chile.

13 listopada, niedziela

Stale przewija się gdzieś za moimi plecami sprawa ginących słupków od ogrodzenia. Podobno ktoś je w nocy kradnie, następnego dnia pracownicy administracji nabywają i osadzają nowe, po czym słupki znów giną. Roksana opowiadała mi dziś o tym z wypiekami na twarzy. Przy okazji dowiedziałam się, że Pablo Gonzales Piotrowski to jej nowa podrywka. Zapoznała go, a jakże, na portalu randkowym. Podobno potentat górniczy, właściciel kilku kopalń w Chile, ale co wydobywa, tego Roksana nie ustaliła. W paczce znalazły się przeterminowane owoce i czekoladki. Roksana broniła amanta, że to nie jego wina, iż przesyłka dotarła do adresata w miesiąc od nadania. Ja natomiast zdziwiłam się, że sąsiadka tak długo nie pochwaliła się nowym absztyfikantem.

– A bo tak sobie gadaliśmy przez internet, potem to się urwało i teraz mam pretekst, żeby znów się do niego odezwać.

Podziwiam ją. Mnie sprzykrzyły się wszystkie randki, a po całkiem niedawnych doświadczeniach wcale nie odczuwam potrzeby, żeby do tego wracać. Marek, który znów milczy i nie daje znaku życia, to tylko kropka nad i.

Ale sprawa słupków ogrodzeniowych istotnie jest intrygująca.

Jurek śmiał się, że to takie osiedlowe sensacje. No i nie byłoby w tym zapewne nic interesującego, gdyby nie fakt, że ginie tylko kilka sztuk, tych usytuowanych w samym środku, przy trawniku. Nie wie gdzie tamtędy żadna ścieżka, nic tam ciekawego nie rośnie poza trawą, oczywiście nie teraz. Zagadka. Pozostałe słupki stoją nienaruszone. Dziwne.

Czasem gdy tak sobie siedzę w biurze i niewiele mam do zrobienia, to zastanawiam się, na czym właściwie to wszystko polega. Rodzimy się, potem z trudem zdobywamy wiedzę i umiejętności, ale problemy w zasadniczych kwestiach wcale nie znikają. Ogromny postęp cywilizacyjny nie posunął ludzkości ani o krok w zakresie sprawniejszego zawierania związków czy przewidywania własnej przyszłości. Wróżki zatem potrzebne były, są i będą. Zrezygnowałam z tej pracy, lecz czy ona zrezygnowała ze mnie? Czy można zamknąć się na wizje, przeczucia, impulsy, sny?

Klienci zakładu pogrzebowego to osoby przeważnie pogrążone w smutku i żalu, zadające to samo pytanie: dlaczego? Nigdy nie są gotowe na śmierć, nawet wówczas, gdy odchodzi osoba w podeszłym wieku lub chorująca od dawna. Śmierć jest nieodłącznym atrybutem życia. Przemijanie oraz początek i koniec są wpisane w nasz żywot, czy tego chcemy, czy nie. Tymczasem wielu z nas usiłuje zaklinać rzeczywistość, stara się przechytrzyć los i przeznaczenie, tylko czy to w ogóle jest

możliwe?

Wiele osób zadaje pytanie wróżkom: „Co mnie czeka w życiu?”. Później albo zastanawiają się, co zrobić z uzyskaną odpowiedzią, albo zgłaszają pretensje, że to, co usłyszeli, niewiele wnosi do ich życia. Warto jednak zastanowić się, po co wymyślono karty, runy, wahadełko, magiczne kamienie i inne akcesoria do wróżenia. Na czym polega wróżenie i jaki powinien być jego rezultat?

Trudno dziś ustalić, kto i kiedy po raz pierwszy zaczął wróżyć. Jednak od zarania dziejów ludzie starali się znaleźć odpowiedzi na nurtujące ich pytania czy to poprzez obserwację zjawisk atmosferycznych, czy też dopatrując się w pewnych sytuacjach magicznych znaków. Niewątpliwie zawsze towarzyszyło temu przeświadczenie o istnieniu jakiejś mocy sprawczej, silniejszej od człowieka, wymykającej się z obszaru wyobrażeń i zmysłowych spostrzeżeń, a także przekonanie, że dialog z ową mocą mogą prowadzić tylko wybrani.

Na wyobrażeniach oparto przecież fabułę greckich i rzymskich mitów, wizję świata, rolę człowieka w tym świecie oraz jego przeznaczenie. Wraz ze świadomością, że nic nie dzieje się bez przyczyny, pojawiły się bardziej rozbudowane formy owych wyobrażeń, połączone z rytuałami. Jesteśmy bowiem jedynym gatunkiem w Królestwie Zwierząt, który został obdarzony darem myślenia abstrakcyjnego i umiejętnością przewidywania. Człowiek jest tak skonstruowany, że aby odegnać lęki, wcześniej związane tylko ze sferą czysto egzystencjalną, z czasem rozpoczął poszukiwania sposobów uniknięcia nie tylko trudnych sytuacji poprzez przewidywanie, ale także rozwiania niepewności, co przyniesie następny dzień, miesiąc, rok.

I tak zaczęto wyłaniać osoby, które umiały robić to lepiej niż inni. A do kultury wdarło się pojęcie „divinatio”, czyli pytanie bogów.

Już w starożytności „pytano bogów” o różne kwestie, oddawano im w opiekę osoby, miejsca, przedmioty i powodzenie spraw. Z tym zjawiskiem mamy do czynienia do dziś, choć wiele bóstw (każde od czego innego) zastąpił jeden Bóg oraz jego pomocnicy w postaci aniołów i świętych (też każdy od czego innego).

Wraz z pojawieniem się religii monoteistycznych wiara w siłę sprawczą rytuałów i moc bożków malała oraz stawała się coraz bardziej niedozwolona. Religia w rozumieniu wiary w jednego Boga zabraniała stosowania pogańskich praktyk, w tym wróżenia. Nie doprowadziło to jednak do zaniku tego zjawiska, przeciwnie. Rozwijało się ono nadal w postaci starannie skrywanych zabobonów.

Ludzkość przeżyła jeszcze jeden etap, a mianowicie okres myślenia racjonalnego, opartego na rozumie, kiedy to odrzucano zarówno religie, jak i obrzędy oraz wróżenie wedle pogańskich zasad. Lecz niejako dla równowagi to właśnie wiek XVIII przyniósł popularyzację wróżenia cygańskiego, zainteresowanie się przepowiedniami Nostradamusa i innych wizjonerów oraz przywołanie kart tarota. Przepowiednie dla świata, które wtedy zapisano,

odczytujemy dziś jako fenomenalną umiejętność specjalnego „widzenia”, co z jednej strony wprawia w podziw, z drugiej przeraża, bo jak dotąd wszystko się przecież sprawdziło. Z pogardą myślimy o naszych przodkach, którzy nie wykorzystali tej wiedzy i poddali się woli Przeznaczenia. Ale czy my nauczyliśmy się czegoś więcej? Czy potrafimy wyciągać właściwe wnioski i zmieniać bieg wydarzeń, przewidując, jakie one będą?

Tak naprawdę większość z nas nie wierzy we wróżby i w przepowiednie, a jednak czytamy horoskopy, chociażby z ciekawości, przeżywamy dreszczyk emocji, kiedy wróżba się sprawdza, oraz chętnie przysłuchujemy się, gdy ktoś inny z takiej usługi korzysta. Na czym polega fenomen zainteresowania przyszłością, nawet tą bardzo odległą (jakże często padają pytania o przyszły los naszych dzieci i wnuków!) i czy sami znieślibyście ciężar „oglądania” przepowiedni, będąc na miejscu wizjonerów?

W ostatnich latach wykreowano wiele teorii na temat wróżenia, osób, które się tym zajmują, i samych metod. Jedną z nich to tak zwana teoria równoległych światów, która opisuje naszą rzeczywistość jako wiązkę przepływających równolegle rozgałęzień czasu, które razem zbierają się we wrzeciono. Wrzeciono czasu to jednocześnie przeszłość, teraźniejszość i przyszłość, biegnące równolegle.

Zwolennicy tej teorii twierdzą, że fakt przeplatania się dwóch różnych stanów naszego życia udowadnia, iż posiadamy wpływ na nasze przeznaczenie, że modyfikując jeden element, zmieniamy scenariusz jednocześnie na wszystkich trzech płaszczyznach.

Dla osoby racjonalnie myślącej jest to trudne do wyobrażenia, jednak można sobie wyobrazić trójwymiarowy schemat, w którym trzy osie przecinają się w określonym punkcie, a to od nas zależy, gdzie i kiedy ten punkt wyznaczymy. Wydaje się, że nie można zmienić przeszłości, jednak na trójwymiarowym modelu widać, że to, co dla nas jest przeszłością, dla kogoś innego może być przyszłością, która w określony sposób wpłynie z kolei na teraźniejszość innej osoby. Nic prostszego, niż zmienić trajektorię lotu myśli i wpłynąć na własne przeznaczenie. Czy ktoś ma odwagę to zrobić? Nieliczni, dlatego łatwiej przyjąć teorię „przeznaczenia”. Jej zwolennicy twierdzą, że los, jaki został nam przeznaczony, jest niezmienny. Musimy odpracować swoje „lekcje” lub „karmy” i nie ma znaczenia, co wybierzemy lub zrobimy, ponieważ los musi się dopełnić. Zatem istotne jest nie to, co się wydarzy, ale jak to przeżyjemy, jakie wyciągniemy wnioski i czy dzięki temu dane nam będzie przeżyć kolejne.

Z tą teorią związana jest wiara w odradzanie się duszy w kolejnych wcieleniach. Zadaniem człowieka jest jak najlepiej i jak najszybciej wypełnić wyznaczone zadania, tak by w kolejnej odsłonie życia móc doświadczać nowych, które w rezultacie doprowadzą go do stanu „ciszy” zwanego nirwaną.

Wreszcie trzecia grupa, do której można zaliczyć osoby podchodzące

do wróżenia i przepowiedni jak do wyroczni. Przyjmują one, że w kartach lub liniach papilarnych zapisana jest przyszłość, która nadejdzie bez względu na podejmowane działania lub pozostawanie w całkowitej bierności. Osoby te upewniają się tylko co do kolejności owych zdarzeń oraz czasu, kiedy mają nastąpić. Nie są zainteresowane wiedzą, po co i dlaczego. Wierzą, że można „zatrzymać” się w dowolnym momencie przeznaczenia i poprzestać na tym, czego się już doświadczyło. Zatem wszystkie wróżby i przepowiednie, które nie są po ich myśli, są odrzucane jako niewiarygodne, niepewne lub też pojawiają się deklaracja i wewnętrzne przekonanie, że „już w takie rzeczy nie wierzę”.

Czym są horoskopy? Horoskop to mapa nieba w godzinie narodzin każdego z nas. Udowodniono, że przyjście na świat pod planetami, które ułożyły się w określony sposób, predysponuje nas do pewnych zawodów, nałogów, funkcji i ról życiowych. Rok został zatem podzielony na dwanaście części, którym odpowiada dwanaście znaków horoskopów. Podział nie odpowiada miesiącom, lecz związany jest z fazami Księżyca i porami roku.

Na Dalekim Wschodzie mamy do czynienia z horoskopem, który również odwołuje się do symboliki dwunastu znaków, lecz podporządkowane im są kolejne lata. Każdy rok pod opieką innego znaku. Każdy znak to określony zespół cech i zdolności człowieka, który w tym roku się urodził. Wiara Chińczyków w związek znaku z osobowością człowieka jest tak silna, że niekiedy kobiety celowo nie zachodzą w ciążę w danym czasie, aby nie naznaczyć dziecka niepożądanymi cechami.

Horoskop Inków dzielił ludzi zgodnie z cyklem nieba: na tych urodzonych w okresie Rosnącego Słońca, Wielkiego Słońca, Średniego Słońca i Malejącego Słońca. I tak ludzie wybitni, ich zdaniem, rodzili się w okresie Wielkiego Słońca, czyli między 22 grudnia a 21 marca, ci zaś, którzy urodzili się w okresie Małego Słońca, byli spokojni i długowieczni (od 22 czerwca do 22 września). Ale znali też horoskop 12 znaków, którym odpowiadały ptaki, na przykład gołąb (20 lutego do 21 marca), papuga (22 maja do 21 czerwca) lub jastrząb (23 października do 22 listopada). Opis znaków jest bardzo podobny do opisu znaków chińskich lub tradycyjnego horoskopu.

Z kolei irlandzki horoskop druidów odwoływał się do symboliki drzew, horoskop kreolski przywoływał kolory opisujące kolejne miesiące: styczeń i luty – czerwony, marzec i kwiecień – biały, maj i czerwiec – zielony, lipiec i sierpień – żółty, wrzesień i październik – czarny, listopad i grudzień – błękitny.

Czerwień powinna łączyć się z błękitem, bielą lub czernią, w żadnym wypadku nie pogodzi się z zielonym i żółtym.

Biel natomiast ciąży ku czerni, ale inne kolory też będą z nią szczęśliwe. Zieleń to samotnicy, żółty wchodzi w udane związki ze wszystkimi, podobnie jak czerń, która jednak najczęściej wybiera zieleń, zaś błękit dobrze łączy się

z czerwienią.

Wiele jest horoskopów i wiele metod wróżenia, niektóre znane i zrozumiałe, inne ciekawe, tajemnicze lub śmieszne.

A oto najciekawsze wróżby, jakie znalazłam:

Wróżenie z igieł krawieckich (akutomancja) polega na położeniu na wodzie nasmarowanych tłuszczem igieł. Igły powinny mieć różne rozmiary, większa symbolizuje mężczyznę, mniejsza kobietę. Jak łatwo się domyślić, wróżba ta polega na przepowiadaniu, kto z kim i kiedy się połączy.

Wbijanie topora w drewno (aksinomancja), dzięki tej czynności ustalano, czy osoba jest winna bądź niewinna zarzucanego jej czynu. Decydowały dźwięk i wibracje, które powstawały podczas uderzenia. Im czystszy dźwięk, tym mniej winny człowiek.

Alcziki – wróżenie z kości owczych. Można je było zastąpić dziecięcymi klockami. Wróżba ta służyła do udzielania odpowiedzi na różne pytania.

Wróżenie przy pomocy białego koguta lub alternatywnie czarnej kury (alektriomancja); należało narysować koło, nasypać do niego ziaren, na planie koła umieścić litery i odczytać słowa, które kogut lub kura wydziobie. Dawniej pytano tak o imię złodzieja. Dziś typujemy czasem wynik meczu piłkarskiego.

Wróżenie z lotu ptaków (auspicjomancja) dawało odpowiedź na pytanie, jaka czeka nas przyszłość.

Wróżenie z kolorowych kamyczków (litomancja). Każdy kamyczek odpowiadał czemu innemu. Miłości, niepowodzeniu, pracy, zdrowiu. Ich ułożenie i kolor interpretowano łącznie.

I na koniec propozycja dla palaczy: wróżenie z popiołu (spodomancja). Należy popiół sypiący się z papierosa strzepywać na papier. Po wypaleniu papierosa ogląda się wzór, który się wypalił. Przed paleniem powinno się sformułować pytanie, a popiół strzepywać bez patrzenia na kartkę. Czarne wypalone dziurki interpretuje się w ten sposób, że gdy idą w górę, będzie dobrze, gdy idą w dół, niekoniecznie. By oszczędzić zdrowie, można zapisać na kartce kilka haseł i odczytywać je łącznie.

Wierzmy lub nie, nieważne. Zawsze istnieje pokusa, by zajrzeć za zasłonę przyszłości. Wielkie emocje budziły i wciąż budzą okrągłe daty, nietypowy układ gwiazd lub planet, rzadkie zjawiska połączone z nietypowym zachowaniem się zwierząt lub wystarczająco przekonujące opowieści osób.

W czasach współczesnych, gdy wszystkiego niemal możemy dotknąć, wszystko zobaczyć lub usłyszeć, zdawałoby się, że takie patrzenie na świat nie ma już sensu. Tymczasem jednak prawdziwy renesans przeżywają jasnowidzący, wróżki i bioenergoterapeuci. Objawił się tarot i mało popularne wcześniej karty anielskie, karty miłości, karty szczęścia, karty cygańskie (Cyganki przedtem wróżyły z kart klasycznych) i inne.

Jak podejść do tego zjawiska? Z całą pewnością rozsądnie. Niewielki odsetek osób rozumie, że wiedza dana nam o tym, co będzie, to w istocie ciężkie brzemię, nie przywilej. Człowiek jest istotą wolną i rozumną, zatem może i powinien wyciągać wnioski z tego, co się wokół niego dzieje, a każdą decyzję powinien podejmować świadomy konsekwencji. Czym różnimy się od naszych przodków? Tym, że zamiast się uczyć, wolimy stać w miejscu, wkładając wysiłek w nazywanie zjawisk, których i tak nie pojmujemy wobec braku wiedzy płynącej z doświadczenia. Wkładamy ogromną energię w kreowanie iluzji opartej na fałszu i lęku. Na fałszywej, niczym nieuzasadnionej nadziei oraz na zupełnie nieracjonalnych przekonaniach. Pielęgnowujemy własną ignorancję, która podąża pod rękę z arogancją, by na koniec wskrzesić agresję.

W świecie tak skomercjalizowanym jak nasz również sfera duchowa musiała stać się areną handlową. Zarobić można dziś na wszystkim, a na strachu zawsze i wszędzie. Co zatem warto wiedzieć, zanim udacie się po przepowiednię, wróżbę? Czego oczekujemy od wróżącego? Warto się wcześniej zastanowić, czy spodziewamy się określonej wróżby, czy jesteśmy otwarci na jakiegokolwiek słowa, gotowi również na wróżby niepomysłne, czy wiemy, co potem zrobić z tą wiedzą (dlatego czasem lepiej nie wiedzieć) i wreszcie, czy wierzymy, bo bez tego wszystko to nie ma zupełnie sensu.

O co zatem chodzi we wróżeniu? Na czym to polega? Filozofia kart jest stała i niezmienna, podobnie jak sens wszystkich innych przepowiedni. Mają radzić, pocieszać, dawać nadzieję, wskazywać kierunek, uspokajać, dodawać otuchy, czasem popychać do działania. Karty lub inne narzędzia do wróżenia powinny być traktowane jako dziurka od klucza w drzwiach przyszłości. A nie jak scenariusz do przeczytania.

Dlatego nigdy nie odpowiadam na pytania o datę śmierci. Dlatego nie doradzam nikomu, jak ma żyć. Nie oceniam nikogo, czy mądrze, czy głupio postępuje. Dlatego nie lubię pytań o to, co się stanie w przyszłości, bez wskazania dziedziny, dlatego ignoruję pytania i prośby o wskazanie, jak kogoś do czegoś zmusić. Stąd też irytują mnie pytania o partnera lub partnerkę docelową, bo miłość jest zbyt ważnym uczuciem, by je prognozować lub rezygnować ze starań, by samemu stać się dla kogoś tym partnerem docelowym. Dlatego cierpliwie wyjaśniam, że nie ma tak, iż los się na kogoś wziął, tylko nie da się posiać lęku i zbierać odwagi, tak jak nie da się zasadzić sosny i czekać na jabłka. Toteż chętnie rozmawiam z osobami, które proszą o wskazówki, a nie o rady czy gotowe rozwiązania. Dlatego bardzo lubię klientów, którzy pomimo wątpliwości i lęków wciąż dają sobie szansę, i dlatego też opisuję tych, którzy na to zasługują.

Z tych samych powodów nie stawiam sobie kart, by się dowiedzieć, co się stanie. Wolę nie znać odpowiedzi i pewnego dnia przeżyć miłe zaskoczenie. Zresztą w ogóle wolę nie wiedzieć zbyt wiele. Tego się nauczyłam, wróżąc z kart.

Dlatego już tego nie robię, ale czy przestałam być wróżką?

15 listopada, wtorek

Gdy wracałam do domu, wstąpiłam do ulubionego warzywniaka. Sprawa tajemniczo ginących słupków zatacza coraz szersze kręgi. Podobno giną regularnie, co noc, tylko i wyłącznie te umieszczone w tym jednym, konkretnym miejscu. Strasznie dziwna sprawa.

17 listopada, czwartek

Co jest z tymi słupkami? Wyliczono, że w ciągu dwóch tygodni zginęło dwadzieścia jeden sztuk. Swoją drogą, uparty złodziej kradnie tylko z tego jednego miejsca, innych nie rusza, niemniej uparta spółdzielnia konsekwentnie umieszcza w tym samym miejscu nowe słupki. Świat nie przestaje mnie zadziwiać!

18 listopada, piątek

Napisałam przepiękną mowę pożegnalną dla dzisiejszych klientów, którą odczytał mistrz ceremonii, bo pogrzeb był świecki. Zmarłego skremowano. Trudno zbudować podniosły nastrój, gdy zgromadzeni wpatrują się w maleńką puszczkę z prochami, tym bardziej że wedle słów tych, którzy znali zmarłego, prezentował on ponad dwieście kilo żywej wagi. Wszyscy byli ogromnie wzruszeni, pewnie dlatego niektórym wyrwało się: Piękna ceremonia, będziemy korzystać z państwa usług! Potem jeden z gości podszedł do mnie i powiedział:

– Mistrz tak pięknie o nim mówił, to dobrze, że choć po śmierci się doczekał, bo to był straszny palant! Nikt go nie lubił!

– Ależ tyle osób przyszło na ceremonię! – zaprotestowałam gwałtownie.

– Proszę pani, to był dusigrosz! – odparł pobłaźliwie mężczyzna. – Całe to grono to dalsi krewni, którzy liczą na to, że przypadł im w udziale całkiem przystojny spadek! A dzielić będą już dziś, bo zmarły, zdaje się, nie zostawił testamentu, a rodziny nie miał. To wszystko sępy, moja pani, wygłodniałe sępy!

19 listopada, sobota

Roksana przybiegła dziś do mnie z sensacyjną informacją! Podobno ktoś mnie szukał w pralni i wypytywał o Marka.

– Dziwny był jakiś, rozglądał się i strasznie wypytywał, a gdzie ty jesteś, a co robisz, a gdzie Marek – opowiadała Roksana z wypiekami na twarzy.
– Przestraszyłam się.

– A jak wyglądał ten typ? – zapytałam odruchowo, choć pewnie nawet gdybym zobaczyła go osobiście, to niewiele by mi to dało. Nie poznałam przecież wielu przyjaciół Marka.

– No, taki obleśny. – Roksana zakreśliła ręką kółko przed sobą,

co prawdopodobnie miało oznaczać, że był też gruby. – Nawet przystojny, ale miał taki dziwny purchel na nosie. Takie coś, co ruszało się, kiedy mówił. Wysoki, barczysty, duży i obleśny... – Roksanie wyraźnie przypadł do gustu osobnik z purchlem na nosie, bo przez chwilę się zamyśliła. – No wiesz, taki słodki drab.

Nie byłam zadowolona z faktu, że wypytuje o mnie jakikolwiek drab, nieważne, jak słodki, tym bardziej że nic więcej z Roksany nie wydusiłam. Postanowiłam udać się po pracy do mieszkania Marka. Może coś się wreszcie wyjaśni? Jakoś tak drab i jego purchel od razu przywiodły mi na myśl dziwną sytuacją związaną z moim niedawnym ukochanym. Dzieje się coś tuż pod moim nosem, a ja nie wiem co. Może Marek jednak potrzebuje mojej pomocy?

20 listopada, niedziela

Do mieszkania Marka dostałam się bez problemu. W środku poczułam dziwny zapach, trochę słodki, trochę mdły. Skojarzenie z zakładem pogrzebowym pojawiło się natychmiast. Przez ułamek sekundy rozważałam wezwanie policji, ale gdyby okazało się, że to sprawa niewyrzuconych śmieci, wyszłabym na idiotkę.

Otwierałam więc drzwi do kolejnych pomieszczeń w poszukiwaniu źródła woni, aż wreszcie stanęłam pod tymi, których nie wolno mi było otwierać. Zapach dochodził właśnie stamtąd. Podjęłam męską decyzję, zrobiłam dwa kroki do tyłu i wymierzyłam potężnego kopniaka. Drzwi w ogóle nie były zamknięte i otworzyły się z trzaskiem, a ja wpadłam z rozpędu do środka. Prawie zaryłam nosem w stojący pośrodku stół. W pokoju unosił się obrzydliwy odór psujących się zwłok. Wstrzymując oddech, rozejrzałam się dookoła i dostrzegłam na stole resztki surowego mięsa, którym z ochotą żywiły się już robaki. Na moje oko nie były to szczątki pożartego już prawie w całości człowieka, co w pierwszej chwili przyszło mi do głowy. Sama myśl, że może to Marek dematerializuje się powoli w ten sposób, szybko wywietrzała mi z głowy. Tym niemniej cuchnęło nieziemsko.

Pobieżnie więc rozejrzałam się dokoła. Jakiś regał, segregatory, stół zasłany papierami, na których urzędowały robaki, dwa krzesła, na jednym z nich laptop, aparat fotograficzny na stojaku, drukarka stojąca na podłodze. Nic podejrzanego, nie licząc tego mięsa.

Nie byłam w stanie przebywać tam dłużej, ale pozostawienie dzikich lokatorów wydało mi się niestosowne. Udałam się więc do kuchni po worek i tam znalazłam paszport Marka, z amerykańską wizą w środku, który leżał przy zlewie. Wiza była ważna od 30 października przez trzy miesiące. Dziwne to wszystko. Nawet jeśli wyjechał, to jakim cudem przekroczył granicę bez paszportu? W dodatku z ważną wizą? Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. Wróciłam do domu, a tu nie było z kim pogadać. Roksana na randce, Jurek wyszedł gdzieś z babcią, chyba na plebanię, więc udałam się do pani Zosi.

Pani Zosia właśnie kończyła transmisję energetyczną na wrzecionie czasu,

ale chętnie ze mną porozmawiała. Opowiedziałam jej o swoich wątpliwościach, podejrzeniach i człowieku, któremu zrobiłam zdjęcie telefonem. Wspomniałam też o tym facecie z purchlem na nosie, który szukał mnie i Marka.

Pani Zosia zamyśliła się i powiedziała:

– A może skorzystamy z pomocy naszych doradców duchowych? Co ty na to? Chcesz się podłączyć i wypytać ich o wszystko?

Nie miałam zielonego pojęcia, o czym ona mówi, ale udręka związana z niewiedzą w tej sprawie była okropna. Zgodziłam się. Pani Zosia więc zamknęła oczy, osiągając coraz większy stan koncentracji. Po chwili zwróciła się do mnie trochę zmienionym głosem:

– Witaj, jam Anatanel, twój opiekun i przewodnik, pytaj.

Nie zastanawiałam się długo. Dziwny dreszcz przeszedł mi po plecach, ale nie czułam zagrożenia, przeciwnie, ogarnął mnie ciepły spokój.

– Witaj, Anatanelu – powiedziała cicho. – Czy możesz mi pomóc?

– Tak, pytaj – odpowiedział Anatanel głosem pani Zosi.

– Co się dzieje z Markiem? – rozpoczęłam bez ogródek. – Gdzie on jest? Dlaczego się nie pojawia, nie odzywa do mnie? To koniec naszej znajomości?

– Nie, jeszcze nie – odparł spokojnie Anatanel. – On myśli o tobie. Jesteś mu potrzebna. Jeszcze będzie kontakt między wami, on pojawi się i będzie chciał utrzymać relację. Teraz skupiony jest na ważnych dla siebie sprawach.

Odpowiedź Anatanela niewiele mi wyjaśniła. Nie wiedziałam, czy anioły można tak wypytywać. Ale skoro pani Zosia trwała w niezmienionej pozycji, z zamkniętymi oczami, a połączenie miało służyć rozwianiu wszystkich wątpliwości, pytałam dalej.

– Anatanelu, a dlaczego on zniknął? Gdzie jest? Z kim?

– Musiał tak zrobić. To jest część jego planu, który stopniowo realizuje. Teraz mieszka z inną kobietą, w twoim typie urody. Za jakiś czas ona przeżyje to samo, co ty teraz przeżywasz, a on wróci do ciebie.

– Ale co oznacza ten jego paszport, wiza? Przecież nigdzie nie wyjeżdżał!

– Ten człowiek uwikłany jest w wiele spraw, przyjdzie taki dzień, że dowiesz się o każdej z nich. Tamten paszport to tylko element dużo większej układanki. Nie zdziwił cię nagły wyjazd przyjaciela twojej koleżanki i jego rozpaczliwy apel z pocztówki? Życie składa się z drobiazgów. Czasem tak małych kawałeczków, że wydają się w ogóle bez znaczenia. Są jak ziarenka piasku, pojedyncze nie przedstawiają dla nikogo wartości. Ale cała pustynia nie pozostanie niezauważona.

Znów niewiele się dowiedziałam, choć informacja o zamieszkiwaniu z inną kobietą nie spodobała mi się. Zdałam sobie jednak sprawę, że od tego, jak sformułuję pytanie, zależy, jaką otrzymam odpowiedź. Pomyślałam przez chwilę i powiedziałam:

– Czy ten człowiek ściągnie na mnie niebezpieczeństwo? Czy powinnam trzymać się od niego z daleka? On mnie nie kocha, prawda?

– Polubił cię. O miłości nie może być mowy, gdy człowiek bardziej ceni sobie korzyści materialne niż duchowe, a on jest skrajnym materialistą. Ale ciebie polubił, zaintrygował go, nie jesteś podobna do innych kobiet, które spotkał w życiu. Tym niemniej on nie wycofa się ze swoich planów. Za późno, ale myśli, jak postąpić, żebyś jak najmniej ucierpiała.

– Czyli znajomość z nim wiąże się z niebezpieczeństwem?

– On przedkłada materię nad człowieka. To czyni go niebezpiecznym i jemu podobnych czyni niebezpiecznymi – mówił spokojnie Anatanel. – Każdy człowiek, który skupia się na zdobywaniu majątku, zamiast na pogłębianiu wiedzy o sobie, co można uczynić tylko poprzez wchodzenie w relacje z innymi ludźmi, staje się z czasem istotą martwą wewnątrz. Wchodzenie w relację tylko po to, by zyskać, nie być samotnym, mieć opiekuna lub osobę, która się o wszystko zatroszczy, to podążanie drogą donikąd.

– Ależ ja chciałam stworzyć prawdziwą relację, opartą na zaufaniu, uczuciu, szacunku! – zaprotestowałam. – Ten mężczyzna bardzo mi odpowiadał jako człowiek!

– Mylisz się – powiedział spokojnie Anatanel. – Uciekałaś przed samotnością, przed ludzkimi spojrzeniami, krytyką. Związałaś się nie z człowiekiem, ale z wyobrażeniem o nim. Rozpoczęcie bliższej znajomości z drugą osobą stanowi złudne przekonanie, że oto otwierają się bramy raju. Oczekiwanie, że to ten człowiek zmieni wreszcie moje życie, ubarwi je, osłodzi, sprawi, żeby stało się ono bardziej interesujące, pęcznieje, a po niedługim czasie przeradza się we frustrację i w rozczarowanie. Bo ta druga osoba przeważnie oczekuje tego samego. Równie niedobre jest przenikanie się sobą nawzajem, tworzenie jednolitego świata dla dwojga, jednego ciała i jednej duszy. Wkrótce oboje zaczynają się dusić w tym przyciasnym ciałku. Nie zdążyłaś poznać siebie, a uważasz, że wystarczająco poznałaś drugą osobę, by wydawać o niej osąd.

– No dobrze, ale jak wyzbyć się tego pragnienia, jak zachować ową autonomię własnego świata, gdy zaczyna brakować w nim impulsów, a kontakt z bliską osobą, która takich wrażeń dostarcza, jest dużo ciekawszy?

– Odpowiedź powinna być prosta: szukać wciąż nowego we własnym świecie, szukać własnych doświadczeń, poznawać siebie. Od urodzenia gromadzisz w sobie wiedzę. Każde przeżycie uczy cię czegoś innego. Te, które są nieprzyjemne, traumatyczne, starasz się schować głęboko w podświadomości, bo każde wspomnienie jest bolesne. Nie wiesz jeszcze wszystkiego o sobie, nie znasz odpowiedzi na własne pytania. Przeżycia z przeszłości nie pozwalają ci iść naprzód. Poszukaj w sobie siły, by to przezwyciężyć, przeżyj ponownie, świadomie wszystko to, co przyczyniło się do powstania twoich blokad. Poszukaj odpowiedzi,

odkryj tajemnice. Szukaj odpowiedzi w sobie.

– Tylko gdzie znaleźć chęć i siłę do tych poszukiwań?

Anatanel westchnął, bo chyba to samo pytanie zadawał mu każdy kolejny podopieczny.

– To ogromna mądrość móc uniezależnić się od osądów innych osób, by na tej podstawie kształtować obraz samego siebie. To wielki dar móc tylko rejestrować opinie i czynić z nich użytek jak z każdej innej informacji. To gigantyczny wysiłek móc powiedzieć i uwierzyć w to, że relacja z drugą osobą nie jest najważniejszym elementem w twoim życiu. Łatwo to przychodzi, gdy pozostaje się na etapie poszukiwań. To jest często czynnik determinujący. Dopinguje w dążeniu do celu. Niech poszukiwanie, a nie znalezienie stanie się celem na początku. Rozwój jako proces, a nie osiągnięcie określonego poziomu jako cel.

Bo gdy cel już został osiągnięty, gdy jest ktoś tuż obok, trudno powstrzymać rosnącą frustrację, gdyż uzmysławiasz sobie, że powinnaś wyznaczyć kolejny cel. Bo nie umiesz powstrzymać w sobie rosnącej potrzeby uzależnienia się od troski, dlatego nie telefonuje dłużej niż dobę, bo nie umiesz skryć rozczarowania, gdy nie pochwalił cię za ugotowany obiad, który obmyślałaś od tygodnia, jest ci przykro, gdy ten sam komplement, którym cię wczoraj uraczył, trafia pod inny adres. I nieważne, że skomplementował tak swoją matkę. Nie doceniasz tego, że dzięki takim doświadczeniom odkrywasz siebie na nowo. Ponownie. Po raz kolejny. Nie pierwszy raz w życiu. Zastanów się, dlaczego tak reagujesz, a podpowiedzi szukaj w przeszłości, w sobie.

Słowa Anatanela cięły bez litości, ale było w tym dużo racji. Dostrzegam całą gamę sprzeczności i braku konsekwencji w działaniu, choć zawsze uważałam siebie za osobę niezwykle konsekwentną. Z jednej strony przyzwyczajenie do określonego trybu życia, codziennych rytuałów i powtarzalnych czynności zmęczyło mnie już, z drugiej strony – ogarniała mnie wściekłość na myśl, że miałabym cokolwiek zmienić, wszak przywykłam. Niech on się dostosuje, dlaczego ja?

Pragnęłam poznać kogoś, by nie tkwić w samotności, zarazem oswoiłam swoją samotność tak mocno, że mniej lub bardziej świadomie „przyciągnęłam” do siebie człowieka podobnego do mnie, samotnika. Tak mi się przynajmniej wydawało. A może chciałam wierzyć w to, że Marek jest do mnie podobny. Przecież wiedziałam o nim tyle, ile sam mi powiedział, oraz to, co powiedzieli mi jego znajomi. Rodziny Marka nigdy nie poznałam, bo podobno od wyjazdu do Anglii pozostawał z nimi w nie najlepszych stosunkach. Gdzieś w głębi serca pykały mgliste wspomnienia z dzieciństwa, których nie chciałam pamiętać. Moja matka, która odeszła, mój zaborczy i nadopiekuńczy ojciec. Ja też przed czymś uciekałam. Teraz przewodnik duchowy spokojnie ostrzegał mnie przed

niebezpieczeństwem.

- Gdzie popełniłam błąd, Anatanelu? – zapytałam smutno.
- Nie popełniłaś błędu – uspokoił mnie anioł. – Doświadczasz, zatem uczysz się. Błędy popełniają ludzie, którzy za wszelką cenę starają się ich nie popełniać.
- To co teraz będzie? Co mam robić?
- Czekaj. Wszystko się wypełni. Przyjdzie czas, gdy tajemnice przestaną być tajemnicami. Zbieraj wiedzę, analizuj ją, we właściwym czasie skorzystaj.
- No tak, ale wspominałeś o niebezpieczeństwie. Czy mogę zrobić coś, by go uniknąć lub zmniejszyć konsekwencje?
- Wszystkie nasze czyny rodzą konsekwencje. Wszystkie decyzje pociągają za sobą skutki. Czasu cofnąć nie można. Nie bój się przyszłości, bo największym zagrożeniem dla człowieka jest jego wewnętrzny lęk. Ufaj sobie. Uwierz w swój potencjał i wiedzę, a nie stanie ci się krzywda.

Słowa Anatanela działały jak balsam, który łagodnie spływał na moją duszę. Otulał mnie nimi i napełniał spokojem, choć nie dawał fałszywej nadziei na spokojne jutro. Pokrzepiające były to słowa, choć w dalszym ciągu niewiele konkretów wiedziałam na temat Marka. Lecz teraz ta wiedza wydała mi się już zbędna.

- Co ma być, to będzie. Jestem gotowa – stwierdziłam stanowczo.
- Dziękuję ci, Anatanelu, bardzo mi pomogłeś!
- Jestem przy tobie, wspieram cię i wierzę w ciebie! – powiedział na pożegnanie anioł i... no i nie wiem, czy poszedł sobie, czy tylko utraciliśmy połączenie. W każdym razie pani Zosia popatrzyła na mnie badawczo i rzekła:
 - Pomogło?
 - Tak, pani Zosiu, dziękuję.
 - Przemyśl, co powiedział. On zna cię dobrze. Jeśli mówił coś, czego nie rozumiałaś teraz, to zapisz to sobie i przeczytaj za jakiś czas. Wiedza spływa na człowieka z czasem. Wszystko musi się dopełnić.

Wracałam do siebie lekka i spokojna. Co ma być, to będzie. Poczekam i zobaczę!

21 listopada, poniedziałek

Dziś nie wydarzyło się nic szczególnego. Może tylko to, że tym razem pani Danusia gotowała u mojego ojca. Przyrządziła zrazy zwijane w coś tam i purée z zielonego groszku. Ojciec jest uczulony na zielony groszek i od razu dostał plam. Pani Danusia nie zwróciła na to uwagi, pewnie dlatego że klienci zakładu pogrzebowego zwykle mają na sobie jakieś plamy albo są zzieleniali lub sini. Ojciec też tak wyglądał po zjedzeniu obiadu. Na szczęście to nic poważnego, reakcja alergiczna.

Wieczorem natomiast przybiegła do mnie Roksana i nakazała włączyć

telewizor. Akurat czytałam książkę, ale posłusznie spełniłam jej prośbę. W okienku ukazała się wróżka Proszula w turbanie na głowie, podzwaniająca tysiącem bransoletek na przegubach i złotymi łańcuszkami na szyi.

– Jak to dobrze, że ja już tam nie pracuję – powiedziałam z ulgą do Roksany.
– Też by mnie pewnie tak wystroili!

– Przymknij się i słuchaj! – Roksana nastawiła głośniej.

– Gdzie jest ta druga wróżka, Syrenka znaczy się! – krzyczał do słuchawki jakiś klient. Bez trudu rozpoznałam w nim Bracika. – Ja chcę do Syrenki! Gdzie ona jest?

– Czy mam o to zapytać kart? – uśmiechnęła się Proszula.

– Niech pani pyta, kogo chce, ale ja chcę wiedzieć, gdzie ona jest!

– Dobrze. – Wróżka postukała kartami o szklany blat. – Poproszę o pańską datę urodzenia.

– A na co to pani? – nastroszył się Bracik.

– Bo to pan pyta, więc muszę znać pańską datę!

– Nie dam żadnej daty! Mów, gdzie jest moja Syrenka! Słyszysz?!

– Bardzo dobrze pana słyszę, ale proszę na mnie nie krzyczeć. – Proszula zatrzęsała turbanem i postukała bransoletkami. – Rozkładam karty. Gdzie jest znajoma o imieniu Syrena, z którą chciałby skontaktować się pan... Jak pan ma na imię?

– Bogusław!

– ...pan Bogusław? Gdzie jest znajoma o imieniu Syrena, z którą chciałby skontaktować się pan Bogusław? Gdzie ona jest? Gdzie jest znajoma o imieniu Syrena, z którą chciałby skontaktować się pan Bogusław? Gdzie jest Syrena?

– Czy pani duchy przywołuje?! Po co to tyle razy powtarzać?!

– Proszę pana – oświadczyła z godnością Proszula. – To ja jestem wróżką, a nie pan i lepiej wiem, jak trzeba zwracać się do kart! A zatem pytam: gdzie jest znajoma o imieniu Syrena, z którą chciałby skontaktować się pan Bogusław?

Bracik poburczał jeszcze przez chwilę, a Proszula rozłożyła karty i pochyliła się nad nimi. W tej samej chwili zrobił to kamerzysta i przez chwilę było widać obszerny dekolt wróżki wraz z imponującą zawartością.

– Ona jest blisko. Może nawet dojść do spotkania. – I popukała paznokciem w kartę. – Tak, ale nie powinien pan żyć tą miłością, bo to jest złe.

– Gdzie blisko? Gdzie ją spotkam? – dopytywał się Bracik.

– Nieoczekiwanie. Znienacka, jak grom z jasnego nieba – orzekła Proszula.

– Pod dużą budowlą.

– Tak, pod kolumną Zygmunta – parsknęłam śmiechem, ale Roksana uciszyła mnie syknięciem.

– Czy ona mnie kocha? – wypalił Bracik.

– Myśli o panu – odpowiedziała Proszula. – Intensywnie myśli.

– Cholera, po co ja to oglądam! – obruszyłam się. – Pewnie, że intensywnie myślę, zastanawiam się, czego ta lebiega ode mnie chce?

– Ona spotyka się z mężczyznami. Wielu mężczyzn widzę, dużo ludzi, bardzo dużo – kontynuowała wróżka. – Ale oni są towarzyscy, pana obecność nie będzie im przeszkadzać.

– No pewnie, że nie! Posadźmy go na stołku, jak onegdaj Kazimierza, i niech sobie siedzi! Sam w charakterze kolumny! – Ogarniała mnie coraz większa irytacja, bo w końcu ktoś mógł skojarzyć, że mówią o mnie. Przecież nie tak dawno sama tam siedziałam, a Bracik już ze mną rozmawiał, tytułując Syrenką!

– Dlaczego ona się do mnie nie odzywa? – kontynuował Bracik.

– Kretyn! – parsknęłam. – Jak mam się do niego odzywać, skoro już dawno skasowałam numer! Kiedy to było, gdy do mnie dzwonił!

– Nie widzę tego – orzekła tymczasem Proszula. – Ale nic straconego. Proszę przesłać mi pieniądze, to pana oczyszczę sakralnie i odprawię rytuał przyciągania.

– Aha, zaczyna się. – Usiadłam wygodniej w fotelu. – Pani wróżka będzie uprawiać czary. Ciekawe, czy zadziałają?

Roksana zachichotała. W tej samej chwili zawołał jej telefon. To jest taki śmieszny dzwonek – zamiast melodii czy wibracji są słowa przywołujące do odebrania telefonu. Z czasem telefon staje się coraz bardziej natarczywy, w końcu wrzeszczy na całe gardło, żeby go ktoś odebrał.

– To Aleksander, mój nowy facet – powiedziała słodko. – Bywaj, kochana, potem mi opowiesz, co Proszula zrobiła, żeby cię przyciągnęło do Bracika.

I tyle ją widziałam.

A Proszula odczekała, aż na ekranie pokaże się pasek z jej numerem konta, po czym obiecała Bracikowi, że wszystko zadziała, i już uśmiechała się do kolejnych klientów. Sama byłam ciekawa. Co takiego można zrobić, żeby ktoś się w człowieku zakochał? Zawsze mi się wydawało, że miłość to zbyt poważna sprawa, by tak przy niej manipulować. Poza wszystkim – jeśli wskazane rytuały wykonuje ktoś, do kogo czuję niechęć, to co ma się stać? Ten ktoś nagle zacznie mi się podobać? Przecież to zwyczajny okultyzm! Dlaczego ludzie w to brną? Gałązka cisu, ocet w butelce, kamyki w bucie przy wyjściu z mieszkania i już zło nie ma do nas dostępu!?

Posłuchałam jeszcze przez chwilę. Zaczęłam się zastanawiać, czy ja też mogłam być tak odbierana przez ludzi? Przecież to wszystko brzmi jak jakaś nedorzeczna kabała!

Tymczasem wróżka Proszula działała dalej. Zatelefonowała do niej niejaka Alutka, którą od razu poznałam po głosie. Wypytywała o Dariusza, który ma ją centralnie w nosie. Pani wróżka jednak obiecała oczyścić jego aurę, jej aurę i czyjaś jeszcze aurę, pewnie jego żony, żeby przestała być taka uparta

i zdematerializowała się wreszcie, by romans mógł się rozwinąć.

Dalej pani Stefania, która ciągle pyta o to samo, czyli o związek i pieniądze. Z tego, co zauważyłam, zadaje to samo pytanie co niedziela, nawet o podobnej porze. Pani Teresa pytała o Szymona, a konkretnie o jego uczucia do niej. Po długich wywodach wróżki stwierdziła, że nic się nie zgadza, ale mimo to pytała dalej.

Pani Lidia z kolei oświadczyła, że widuje w snach żółto-niebieski budynek, do którego ją ciągnie, i nie wie, co ten sen ma oznaczać. Zanim wróżka zdążyła odpowiedzieć, ktoś przysłał SMS-a, że toalety publiczne w mieście X są tak pomalowane, na żółto i na niebiesko.

Boluś śmiał się do rozpuku. Ja także.

22 listopada, wtorek

Odwiedził mnie dziś w pracy ksiądz Rafał. Porozmawialiśmy przez chwilę i duchowny przyznał się, że przychodzi po prośbie. Oto na plebanię przyszła pewna kobieta. Nazywa się Beata, twierdzi, że pracowała w dużej korporacji jako specjalistka od rozwoju firmy. Zwolniono ją z dnia na dzień, bez uprzedzenia, bez odprawy. Firma miała się tłumaczyć restrukturyzacją, ale zdaniem Beaty prezes przestraszył się, że ona przewyższa go wiedzą i kompetencjami. Uniosła się honorem i zrezygnowała z dochodzenia jakichkolwiek roszczeń, podpisując z firmą porozumienie o rozwiązaniu umowy za obopólną zgodą stron. No i teraz ma problem, bo oszczędności topnieją, mściwy prezes roztacza wokoło plotki, jakoby ona była wariatką i należy się jej wystrzeżać, wszystko z zazdrości. Jednak biedna kobieta musi spłacać dwa kredyty, jeden zaciągnięty jeszcze przez jej byłego męża, który ją porzucił i uciekł za granicę, drugi, który zaciągnęła, żeby spłacić ten pierwszy. Jednym słowem, trzeba jej pomóc.

Obiecałam, że popytam. Boję się jednak, że osoba z taką wiedzą, doświadczeniem i zapewne aspiracjami nie zechce przyjąć propozycji, które ewentualnie moglibyśmy jej złożyć. Bo czym mogłaby się zajmować tutaj? Reklamowaniem zakładu pogrzebowego? Prowadzeniem akcji promocyjnych kremowania zwłok?

23 listopada, środa

Roksana nieustannie namawia mnie, żebym znów zaistniała na portalu randkowym. Waham się, bo nie chcę pogodzić się z faktem, że z zajętej znów stałam się samotna. Samotna i kropka, bo już nawet nie samotna wróżka. Pomyślę. Roksana tymczasem intensywnie rozwija znajomość z tym nowym facetem. Nazywa się Aleksander i twierdzi, że jest wybitnym tancerzem i choreografem. Raczej był, bo to gość dobrze po pięćdziesiątce, z brzuszkiem, niewysoki, mocno łysiejący. Roksana przyprowadziła go do zakładu pogrzebowego pod koniec dnia

pracy. Facet usiadł z fasonem na jednej z kanap i wdał się w dyskusję z Beatą. Beata bowiem przysłała dziś z samego rana i od razu zaczęła roztaczać wizję prężnie działającego interesu z filiami w kilku miastach. Trochę się spłoszyłam, bo nie rozmawiałam jeszcze z panią Danusią w jej sprawie.

Aleksander wyraził przekonanie, a Beata się z nim zgodziła, że nasze ceremonie pogrzebowe są oparte na przestarzałych wzorcach, że należałoby wprowadzić element sceniczno-estradowy, na przykład inscenizację fragmentu *Dziadów* Mickiewicza, na tle mrocznej i tajemniczej scenografii zbudowanej głównie ze świec.

Wyraziłam zwątpienie, czy żałobnikom przypadłby do gustu widok duchów snujących się wokół trumny lub urny z prochami, ale pan Pawełek rzekł z entuzjazmem, że gdyby ktokolwiek zaczął się nagle wyłaniać w blasku świec zza kotary, to interes szybko by nam się rozkręcił, przybyłoby nieboszczyków. Beata pokiwała głową z pobłażliwością dla nas, ignorantów, a Aleksander rozdał zaproszenia na wystawę do galerii sztuki. Wystawia się tam podobno jedna jego dobra znajoma.

– Może po obejrzeniu ekspozycji moja wizja stanie się wam bliższa – oświadczył, po czym wstał i wyszedł. Roksana podreptała za nim.

Jurek poprosił mnie, żebym przez kilka dni zaopiekowała się Synkiem, bo jedzie z babcią do dalszej rodziny. Wciąż nikt nie zgłosił się po psa, więc chyba już zostanie z nami na zawsze. Zgodziłam się bez oporów, bo Synek i ja uwielbiamy się. Psina wpatruje się we mnie swoimi ufnymi oczami, gdy kręcę się po domu. Bolek trochę mu dokucza, ale nie toczą otwartej wojny. Po stracie Kory nie myślałam o przygarnięciu kolejnego psa, ale Synek to co innego. Gość, poza tym naprawdę go uwielbiam.

25 listopada, piątek

Poszłyśmy do galerii na wystawę, o której mówił Aleksander. On sam podobno jest pochłonięty projektowaniem i szyciem kostiumów do spektaklu telewizyjnego. Malarstwo dosłowne. Poszłyśmy. Na wstępie przywitał nas obraz, który przedstawiał – za przeproszeniem – goły tyłek w pelerynie. Tyłek był raczej niezbyt jędrny, co nasuwało przypuszczenie, że został w ten sposób utrwalony fragment starczego ciała. W dodatku poza, w jakiej ów tyłek został przedstawiony, uparcie nasuwała przypuszczenie, że malarz zaszedł modela od tyłu, w dodatku w sytuacji, gdy ten ściągnął spodnie, odchylił pelerynę i...

– To jest pewnie dziadek kustosza tej wystawy – wyszeptalam do Roksany, z namaszczeniem wpatrując się w obraz. – Namalował go, oczywiście, dosłownie.

– Tak, to jest dziadek. Wariacja na temat dziadka do orzechów. – Słowa te wypowiedział nieoczekiwanie dość niski jegomość z sumiastym wąsem i dziwnie ostrzyżoną głową. Z powodzeniem mógłby zagrać w ekranizacji *Pana*

Wołodyjowskiego bez pomocy charakteryzatora. Stał nieruchomo przy wejściu i w pierwszej chwili pomyślałam, że to manekin. Popatrzyłyśmy z Roksaną na siebie. Facet najwyraźniej mówił serio. Odeszłam więc szybko, bo panicznie boję się wariatów. Jeszcze go co rozjuszy i dostanie przyływu szaleństwa...

Ekspozycja została zorganizowana w halach produkcyjnych wytwórni filmowej. Na podłodze leżały rozłożone płótna, płyty pilśniowe oraz duże arkusze papieru. Na wszystkim coś było namalowane, ale z perspektywy podłogi trudno było się zorientować co. Między płótnami leżały konstrukcje służące do ustawiania scenografii i bele materiału. Wszędzie kręcili się pracownicy techniczni.

– Ty, co to jest? – rozlegały się gdzieniegdzie szept.

– No jak to co? Nie widzisz, ośle? To jest ten... no... ostatnie śniadanie czy jakoś tak... bo tu siedzi Mahomet i obok ci jego prorocy! – tłumaczył jeden młody człowiek drugiemu, pokazując palcem olbrzymią płachtę, która pokryta była trzynastoma kwadratami w różnych kolorach. Jeden z kwadratów był wyraźnie większy. Kolega znawcy pokiwał głową z uznaniem, wtedy przyszli robotnicy i zabrali płótno, na którym z drugiej strony było napisane: *Kwadraty, A. Miąska*.

Kawałek dalej znajdował się obraz prawie identyczny, z tym zabranym przez robotników, tylko że kwadraty były tego samego koloru i bardziej ściśnięte.

– Ty, to też są kwadraty! – pochwalił się młody człowiek.

– Nie, to dwunastu wspaniałych – wtrąciła się pani obwieszona łańcuchami.

– Jak dwunastu, skoro jest ich trzynaście! – nie ustępował młody człowiek.

– Bo ten trzynasty to parszywa trzynastka! – roześmiałam się na głos.

Wszyscy popatrzyli na mnie z dezaprobatą, Roksana też, więc zamilkłam.

– To jest Warszawa z lotu ptaka... – oświadczyła dumnie bardzo chuda dama, która nagle pojawiła się przy rozprawiających. Wielka ikona objęła się o jej kościstą pierś.

– A skąd to pani niby wie? – zapytała pogardliwie pani z łańcuchami.

– Bo to ja jestem autorką tego dzieła! – odparła wyniośle chuda i oddaliła się z godnością, chrobocząc chudymi kośćmi.

– Ciekawe, czy mają takie duże i zielone na sprzedaż? – odezwał się tęgi jegomość bez szyi. Towarzyszyła mu bardzo młoda i bardzo skąpo odziana dziewczyna, która nosiła sztuczne paznokcie, sztuczne rzęsy, sztuczne włosy, sztuczne piersi, sztuczną szczękę i sztucznie się uśmiechała.

– A po co to panu? Taki bohomas!

– Nad wypoczynek szukam. Akurat zasłoni całą ścianę.

– Panie, to nie tapeta! To są dzieła sztuki! To trzeba z szacunkiem traktować!

– No, a to to! Takie pstrokate? – I facet bez szyi pokazał tłustym paluchem gigantyczną planszę, usianą całą masą kwadratów w różnych kolorach. – To dzieło jest?

Dyskusję przerwała sprzątaczką, która oznajmiła, że wystawę się zamyka.

Włączyła odkurzacz, spokojnie przejechała nim po wszystkich dziełach, te większe i sztywne ustawiła pionowo pod ścianą, te nieobsadzone w ramach złożyła na szesnaścioro i schowała do kieszeni fartucha. Wtedy Roksana trąciła mnie łokciem. W sali, pod ścianą, stał Marek i zawzięcie dyskutował z kustoszem wystawy. Ruszyłam w jego stronę, ale gdy mnie zobaczył, znikł jak kamfora.

27 listopada, niedziela

Marek jednak ulotnił się, jak kamfora. Złamałam się, zatelefonowałam kilka razy i wysłałam z milion SMS-ów. Nic. Zapytałam dyplomatycznie jego kolegę, ale twierdził, że nie rozmawiał z nim od paru tygodni. Trudno, może dopadnę go innym razem, w końcu anioł przepowiedział mi, że do naszego spotkania dojdzie. Jakoś nie przeczuwam, żeby stało mu się coś złego. Nie umiem nazwać tego, co czuję. Żal? Złość? Poczucie, że mnie wykorzystał? Ale bardzo pragnę chociaż spojrzeć mu w oczy.

Aleksander zaprosił Roksana na dziś do teatru. Twierdził, że ułożył choreografię do przedstawienia, którego premiera odbędzie się właśnie dziś wieczorem. Roksana jest mocno przejęta, bo Aleksander obiecał, że będzie mogła wybrać sobie jedną z sukien, które osobiście zaprojektował do tego przedstawienia. Sąsiadka zrobiła mi przyjemność i wzięła zaproszenie również dla mnie. No to idziemy, punktualnie o dwudziestej.

W biurze spory ruch, ale to dlatego że wiele osób przychodzi, by zamówić sobie dół na grób. Idzie zima, ziemia zamarznie, więc grabarze kopią na zapas. Podobno można sobie zarezerwować i wtedy jest taniej.

Pan Przemek zadzwonił dziś, żeby mnie poinformować, że wyjeżdża na święta z Hortensją do jej rodziny. Interesujące, bo powiedział, że teraz ta rodzina mieszka w okolicach Bydgoszczy. Ale nieważne, obiecał, że zaraz po Nowym Roku się odezwie, już nie mogę się doczekać. Zwłaszcza że do świąt pozostał jeszcze prawie miesiąc.

Przyszła też Beata z oświadczeniem, że opracowała świetny program rozwoju firmy i całą strategię przedstawi nam w przyszłym tygodniu.

wieczorem

Koń by się uśmieł, mogłam się tego domyślić po całej tamtej wystawie z kwadratami. Jak te głupie ubrałyśmy się elegancko, w suknie wieczorowe, fryzury wyjściowe, paznokcie, makijaż, a tymczasem całe przedstawienie to była inscenizacja jednego dnia powszedniego z życia starego kawalera. I tytuł brzmiał jakoś podobnie.

Weszliśmy do teatru, chcieliśmy zająć miejsca na widowni, ale na naszych zaproszeniach nie było żadnej informacji na ten temat. Zanim Roksana podeszła do obsługi, żeby zapytać, gdzie możemy usiąść, pojawił się Aleksander

i poprowadził nas za kulisy. Usiadłyśmy, owszem, na taboretach z boku sceny. Tak trochę przy orkiestrze. Z niepokojem popatrzyłam na olbrzymie talerze, które znajdowały się niedaleko. Ale może to będzie spokojna muzyka?...

Ponieważ siedziałyśmy prawie pod sceną, aktorów pojawiających się na niej widziałyśmy od tyłu i z dołu. Widok raczej niesmaczny. Zwłaszcza że aktorzy dawno już przekroczyli wiek poborowy. Nie do końca zrozumiałam, o co chodziło w tej sztuce, może dlatego że nie widziałam twarzy, a słów wypowiadali niewiele. Ogólnie chyba chodziło o to, że pewien pan, stary kawaler, zwariował i zaczęły go męczyć różne omamy. On sam przez dłuższy fragment sztuki pozostał w łóżku, w piżamie. Nam, czyli Roksanie i mnie, prezentował górną część pośladków, obnażonych, bo stale się w naszą stronę wypinał, a pochylał w stronę widowni. Przyszedł mi na myśl obraz z wystawy. Może to właśnie jego ktoś namalował? Podczas próby.

Aleksander przepadł jak kamień w wodę. Roksana uznała, że skoro jest głównym choreografem, to widocznie musi siedzieć przodem do sceny. Tylko co za układ on wymyślił? Siedzenie na łóżku czy siedzenie na krześle?

W trakcie antraktu facet w piżamie udał się do swojej garderoby. My pozostałyśmy na stołkach. Większość widowni była ubrana normalnie, w swetry, dzinsy, wełniane sukienki. Roksana popatrzyła na mnie krytycznie i powiedziała:

– Gdybyś chociaż zawiesiła sobie taką wielką ikonę na piersi...

– Sama sobie zawieś! – odfuknęłam. – Najlepiej kiełbasę! Akurat pasowałaby do scenografii.

Aktor bowiem przemieszczał się po zaimprovizowanej kawalerce z jednym łóżkiem, stołem, dwoma krzesłami, wieszakiem na ubranie i kuchenką gazową. Byłyśmy trochę głodne, a kuchenka przywodziła na myśl posiłek.

Po przerwie główny bohater wrócił na scenę. Usiadł przy stole i się zamyślił. Nic więcej się nie działo.

– Nad czym on tak, u licha, medytuje? – wyszeptała Roksana. – Myśli i myśli. Myśliwym zostanie!

– Zastanawia się, co zrobić na kolację – odszeptałam. – Nie słyszysz, jak mu burczy w brzuchu?

Aktor jakby usłyszał. Wstał gwałtownie, aż się krzesło przewróciło, podszedł do kuchenki i zapalił gaz. Potem zza kuchenki wyciągnął patelnię, miskę, w której znajdowały się jajka i boczek, i po chwili rozniósł się po teatrze smakowity zapach smażonej jajecznicy. Facet zjadł, ubrał się, zszedł ze sceny, przeszedł przez widownię i poszedł sobie. Roksana parsknęła śmiechem, w tej samej chwili na scenę weszli ludzie na szudłach. Pochodzili dookoła stołu i kuchenki i też poszli. Gdy znikli za kulisami, orkiestra zagrała gromko i donośnie. Oczywiście, talerze poszły w ruch i w rezultacie potem przez kilka dni krzyczałam, zamiast

mówić.

Aleksandra zobaczyłyśmy w szatni, jak odbierał numerki i podawał płaszcze. Gdy zagadnęłam Roksanę o tę kreację, co ją miała od niego dostać, to tylko machnęła ręką i pociągnęła mnie do samochodu. A jednak było to ciekawe zobaczyć, jak się artystycznie smaży i zjada jajecznicę.

28 listopada, poniedziałek

Spadł dzisiaj śnieg. Zrobiło się cudownie na dworze. Gdy rano wyszłam na spacer z Synkiem, nie mogłam napatrzeć się na krajobraz, który przywodził mi na myśl scenografię z bajki. Niebieska poświata nadawała całości magiczny wymiar. Szłam tak zamyślona, a Synek biegał sobie spokojnie w pobliżu, pora była wczesna, niewiele osób pojawiało się tu i ówdzie.

Zupełnie go nie zauważyłam. Dopadł mnie nagle od tyłu i szarpnął za rękę. Pociągnął gdzieś za sobą. Tak mnie zaskoczył, że nawet nie pisnęłam. Potknęłam się o kamień i omal nie przewróciłam. Wtedy drab wziął mnie pod pachy i podniósł do góry. Nie widziałam jego twarzy.

Jezus Maria, porwanie! – przemknęło mi przez myśl. Zaraz potem zaczęłam krzyczeć: – Synek, ratuj!

– Żaden dzieciak ci nie pomoże, idiotko! – warknął napastnik. – Zamknij gębę i przestań się opierać! No już, jazda, idziemy!

Popychał mnie i usiłował przenieść jednocześnie. Opierałam się coraz bardziej stanowczo, starając się jednocześnie zlokalizować psa. W pewnej chwili ziemia się zatrzęsła. Tętent stu koni nie brzmiałby gwałtowniej. Coś wielkiego powaliło mojego napastnika i mnie razem z nim na ziemię. Zęby niczym mamucie kły zawisły nad naszymi głowami, a wszystkiemu towarzyszył warkot stu wygłodniałych wilków i całe potoki śliny.

– Co jest, do kurwy nędzy! – wrzasnął facet i złagodził ucisk.

Skorzystałam z okazji i dałam mu łupnia łokciem w bok. To pomogło mi wyswobodzić się z uścisku, podnieść się i uciec. Dopadłam drzwi wejściowych budynku i obejrzałam się. Pies stał nad człowiekiem, który wił się pod nim niczym w konwulsjach. Przestraszyłam się, że zrobi mu coś złego, pies człowiekowi, ale Synek zdaje się tylko stał nad tym typem, warczał i ślinił się. Zagwizdałam, czworonóg przybiegł natychmiast, bardzo z siebie zadowolony.

– Kochany mój wybawicielu... – wyszeptałam, tuląc zaśliniony łeb.
– Uratowałeś mnie, psinko.

Uciekłam do mieszkania. Ostrożnie wyjrzałam przez okno, ale typa już nie było.

Uhonorowałam Synka dwoma kotletami, po czym usiadłam, żeby pomyśleć. Kto i dlaczego chciałby mnie porywać? Nie jestem bogata, nie jestem nieziemsko piękna, nawet wiek już nie ten, bo choć nic mi nie brakuje, to jednak zwykle

uprowadzane są dużo młodsze dziewczyny. Nic ważnego nie wiem, nikogo ważnego nie znam, tak sądzę, nikomu chyba aż tak się nie naraziłam. A może to te czary wróżki Proszuli zaczęły działać? Bracik wynajął zbira, żeby mnie siłą do niego doprowadził?

Rozłożyłam karty, a tam odczytałam odpowiedź, że jednak jestem w posiadaniu jakiejś wiedzy, która komuś zagraża. Tylko co ja takiego mogę wiedzieć, na litość boską?! A może chodzi o jakiegoś nieboszczyka?

Jakie to szczęście, że Jurek zostawił u mnie tego psa. Gdyby nie Synek, to pewnie gniłabym już w jakiejś piwnicy albo poddawaliby mnie najgorszym torturom. Dziś niedziela, nie będę wychodzić z domu. Psa wypuszczę z klatki schodowej, poczekam w środku. Ale co zrobić w poniedziałek? Mam się zabarykadować w mieszkaniu?

29 listopada, wtorek

Gdy zobaczyli mnie policjanci z posterunku, to pewnie zaklęli pod nosem. Chyba nie zapomnieli jeszcze historii z moją babcią i Kamilem. Na marginesie, Kamil nabył kolejne auto, które zostawił na jakimś parkingu, zapomniał o nim, a gdy sobie przypomniał, auto było już zezłomowane. Mnie od tamtej sprawy z oblem unikał jak ognia.

Opowiedziałam posterunkowemu, co wydarzyło się w niedzielę, a ten zapytał, dlaczego nie zawiadomiłam policji od razu.

– Bo nic mi się nie stało – wyjaśniłam. – Pies mnie obronił.

– Pies? – Zmarszczył brwi policjant. – Jakiej rasy? Szczepiony? Był w kagańcu i na smyczy?

– No, przecież nie kot! – zdenerwowałam się. – Dog angielski. Gdyby był w kagańcu i na smyczy, pewnie bym tu nie siedziała, bo pies nic by nie mógł zrobić.

– Poszczuła pani tego napastnika psem? To jest karalne! – pouczył mnie policjant.

– A napadać na mnie z samego rana, od tyłu, to jest dozwolone? – zniecierpliwiałam się. – Ja się teraz boję wychodzić z domu! Gdyby nie pies, to nie wiem, czy udałoby mi się uciec. Raczej wątpię. Chciałam to zgłosić, bo czuję się zagrożona!

– Jak wyglądał ten napastnik? Proszę o dokładny opis sprawcy!

– Wysoki, barczysty, raczej młody...

– Twarz proszę opisać.

– Nie widziałam twarzy, zaszedł mnie od tyłu!

– To skąd pani wie, że młody?

– Bo ruchy miał młode. Raczej nie był to stuletni staruszek.

– Jakież znaki szczególne?

– No panie, jakie znaki szczególne?! Mógł mieć dwie głowy i ogon! Cztery nogi mógł mieć! Ja stałam tyłem do niego! Zaskoczył mnie!

– To jak mamy go ująć, skoro nic pani o nim nie wie?

– No sorry, ale nie przyszło mi do głowy, żeby go zapytać o personalia i zrobić mu zdjęcie!

Zdjęcie! Skojarzenie piknęło mi w głowie natychmiast. Coś w tym człowieku było jednak znajomego. Chyba już go gdzieś widziałam. A może to ten facet, któremu onegdaj trzasnęłam fotkę w willi...

Zamyśliłam się, a policjant przyglądał mi się z uwagą.

– Coś pani jednak wie? – zapytał surowo.

Sięgnęłam do kieszeni, z której wyjęłam telefon. Odnalazłam tamto zdjęcie i pokazałam mu.

– Nie wiem, czy to ma ze sobą związek, ale tak mi się wydaje, że ten człowiek, który mnie napadł, i ten ze zdjęcia są do siebie podobni – powiedziałam ostrożnie.

Policjant zerknął na fotografię i nagle zerwał się z krzesła.

– Kiedy i gdzie zostało zrobione to zdjęcie?!

– W takiej willi... a kiedy, to widać datę.

Nie słuchał mnie. Wybiegł z pokoju, nie domykając drzwi. Po chwili usłyszałam, jak rozmawia z kimś na korytarzu.

– ...niedawno... zdjęcie gęby... to na pewno on. To już uda się go dorwać, znów działa na naszym terenie... – usłyszałam.

Do pokoju po chwili wkroczyli obaj, posterunkowy i drugi policjant, którego do tej pory nie poznałam. Przedstawił się jako starszy inspektor Ugryż. Też nazwisko dla policjanta!

Ugryż i ten drugi weszli do pokoju. Ugryż zamknął drzwi i przez dłuższą chwilę szarpał się z niewidzialną nitką. Nie mógł się jej pozbyć, a każdy ruch powodował, że wydobywał się nie wiadomo skąd odgłos prucia. Z zaciekawieniem obserwowałam, co mu wreszcie opadnie, spodnie czy rękaw.

W tej samej chwili otworzyły się z rozmachem drzwi i stanął w nich kolejny policjant, który powiedział:

– Już jest! Można konfrontować!

Nie rozumiałam, co się dzieje. Obaj policjanci nie powiedzieli ani słowa, ten posterunkowy tylko poluzował kołnierzyk i bez słowa wskazał na mnie. Wtedy przybyły policjant podsunął mi przed oczy zdjęcie jakiegoś mężczyzny:

– Utrzymywała pani konkubinat z tym oto ściganym? – Ze zdjęcia łypał na mnie nie kto inny, jak Kazimierz we własnej osobie.

– Nie utrzymywałam – odparłam zgodnie z prawdą.

– A kto utrzymywał? – chciał wiedzieć policjant.

– Nie wiem. On przez jakiś czas pomieszkiwał u mojej sąsiadki, ale z tego,

co wiem, to teraz przebywa gdzieś w Ameryce Południowej.

– Skąd pani to wie?

– Bo przysłał kartkę, z Chile.

Policjant przez chwilę przypatrywał mi się dziwnie, jakby rejestrował z pewnym opóźnieniem słowa, które wypowiadam. Po chwili wypluł z siebie kolejną porcję pytań.

– Skąd dokładnie?

– A skąd ja mam wiedzieć? – odparłam zaskoczona. – Może na podstawie stempla pocztowego da się ustalić, z której poczty wysłał, ale ja tego nie wiem.

– Jest pani pewna, że z Chile? – dopytywał się policjant.

– Tak było napisane na pocztówce.

– A pani wie, że za pomaganie przestępcy grozi kara więzienia?

– Wiem, ale on nie uprzedzał nikogo, że jest przestępcą. Stygmatów żadnych też nie miał na sobie.

– Jakich stygmatów?

Popatrzyłam błagalnie na posterunkowego, który milczał. Inspektor Ugryź wciąż walczył z nitką.

– Ale co to ma do rzeczy? Ja przyszłam zgłosić, że ktoś na mnie napadł!

– Ten mężczyzna to groźny bandyta – powiedział przybyły policjant urzędowym tonem. – Oszust, można powiedzieć, matrymonialny. Uwodzi, okrada i znika. Od dłuższego czasu go szukamy, a pani ma, zdaje się, różne takie znajomości w świecie przestępczym?

Wybałuszyłam na niego oczy, bo jako żywo nie przyjaźniłam się z nikim ze świata przestępczego, już chciałam to powiedzieć, ale przypomniałam sobie o Marku i słowach anioła i ugryzłam się w język. Tymczasem policjant ciągnął:

– My znamy już historię aktówki z dokumentami, którą pani przechwyciła. Trzymamy rękę na pulsie.

30 listopada, środa

Nawet nie pamiętam, kiedy wyszłam wreszcie z tego posterunku – tak mnie skołowali tym Kazimierzem, światem przestępczym i jakąś tajemniczą aktówką z dokumentami, którą rzekomo przechwyciłam. Co to wszystko ma znaczyć, do diaska?

Wczoraj spóźniłam się do pracy, ale nie było żadnych problemów z tego powodu. Po prostu Mateusz mnie zastąpił i dziś klienci finalizowali swoje sprawy, nawiązując do dziwnego pana, który chyba jest niemową.

Mało wychodzę z domu. Czuję dziwny lęk, sama nie wiem przed czym. Przypomina mi się, jak bardzo się bałam, kiedy mama się wyprowadziła. Siadywałam wtedy w kącie za kanapą, z podkurczonymi nogami i głową na kolanach. Zamykałam oczy i wyobrażałam sobie, że jestem w innym miejscu,

projektowałam każdy szczegół tego miejsca, każdy drobiazg. Kolor ścian domu, ułożenie chodnika, rodzaj krzewów i kwiatów, które rosną w ogródku. Spędzałam tak czasem całe popołudnia, pogrążona w rozmyślaniach. Ojciec wściekał się wówczas, że jestem leniem patentowanym, który siedzi, zamiast wziąć się do jakiejś pracy.

Teraz też usiadłam na kanapie, podkurczyłam nogi i pomyślałam, że najchętniej znalazłabym się w tej chwili gdzie indziej. Byle uciec od tego wszystkiego, zapomnieć, przestać się bać. Synek położył mi pysk na kolanach, a Boluś zasnął na moim ramieniu. Z nimi poczułam się bezpieczna.

2 grudnia, piątek

Roksana znów nakłoniła mnie do oglądania wróżek w telewizji. W nałóg nam wejdzie. Opowiedziałam jej o napadzie i rozmowie na policji, a ona na to, że Kazimierz nie nadawałby się do przestępczych celów, bo on się do niczego nie nadawał. Ale co ukradł, to jego, więc coś w tym chyba jest. Co do napadu, to wyraziła przekonanie, że prędzej ja zrobiłabym krzywdę tym przestępcom niż oni mnie. Zupełnie zbagatelizowała tę kwestię, jakby napadanie na ludzi było zjawiskiem zupełnie normalnym i bez mała codziennym.

Tym razem w okienku powitał nas Kołatek. Od razu zawiadomił wszystkich, że ma zły dzień i nic mu nie wychodzi, ale co tam, będzie wróżył, i basta.

Na pierwszy ogień poszła pani Joanna, która zapytała, czy Piotr będzie chodził jeszcze do swoich podrywek.

– A dlaczego pani pyta? – zainteresował się Kołatek.

– Bo dziś tak dziwnie na mnie popatrzył – padła odpowiedź.

Kołatek zmarszczył brwi, wylosował kupkę kart i oznajmił:

– On panią kocha, nikogo nie ma innego, ale za rok będzie się wahał i wtedy proszę pamiętać, żeby pani zachowała spokój, proszę sobie zapisać: za rok, dwudziestego grudnia, trzeba zachować spokój.

– Dziś jest piąty grudnia, nie dwudziesty – mruknęłam pod nosem.

– Ale co z tą podrywką? – nie ustępowała pani Joanna. – Spotyka się z nią czy nie?

Kołatek wybrał tym razem inną talię. Wszystkie karty sypały się, gdy je tasował, Kołatek je zbierał i znów tasował, a one wirowały wokół jego rąk.

– Mam ciekawą talię i karty nie współpracują – powiedział wróżbita.

– To znaczy nie chodzi o moją talię, tylko o talię kart – poprawił się po chwili.

– Kochanka? Nie, ona jest brzydka i brzydko pachnie. Tak widzę to w kartach, strasznie brzydko. Nie ma tu zdrady, bo za bardzo ona śmierdzi.

– Ale ta kobieta lubi seks, czy go zbałamuci? – upierała się klientka.

– Nie, ona go nie lubi, nie podoba się jej.

– Dlaczego, przecież on jest bardzo przystojny?

– Ona jest lesbijką, nie lubi seksu z mężczyzną, musiałaby się zmuszać. Ona go wyzywa za jego plecami, pluje jadem, nienawidzi, może go zabije nawet.

Obie z Roksana ryczałyśmy ze śmiechu. Widmo śmierdzącej kochanki-lesbijki, która pluje jadem na potencjalnego kochanka, było nie do wytrzymania komiczne. Na ten moment właśnie trafił Jurek, który zapukał do mnie po sąsiedzku. Przyszedł po Synka.

– Co cię tak bawi? – zapytał od progu. – Przyszedłem po Synka i oblać wydanie mojej pierwszej książki. Ukaże się już na wiosnę, podpisałem dziś umowę.

– To cudownie, Jurku! – Klasnęłam w dłonie. – Chodź, poświęć nam siebie w towarzystwie Kołatka.

– Kołatka? Nie rozumiem? – nie rozumiał Jurek, który udał się za mną do pokoju. Przyniósł ze sobą butelkę szampana i całe pudło rurek z kremem. Synek skowyczał z radości, gdy go zobaczył, a Boluś go przedrzeźniał.

Jurek przywitał się z Roksana i zerknął z zaciekawieniem w stronę telewizora. Kołatek właśnie doradzał w sprawach zdrowotnych niejakiemu Zygmuntowi. Brzmiało to bardzo optymistycznie, bo karty miały pokazać, że witalność Zygmunta jest na poziomie trzydziestu procent i do usunięcia tylko serce i stopa. Aha, serca nie da się usunąć, więc dwie stopy. Zygmunt wtrąca, że obie nogi amputowano mu już dawno, na to Kołatek kiwa głową i mówi, że no właśnie, dlatego karty pokazały problemy ze stopami.

Potem jeszcze jednej klientce wmawiał, że musi usunąć sobie żołądek i coś się przy tym stanie, Kołatek nie wie co, ale nie trzeba się bać na wyrost. Zaraz potem był jeszcze pan Adam, który ma witalność na poziomie sto pięć procent. Za dużo, będzie musiał oddać. Roksana kwiczała ze śmiechu, siedząc w kucki na kanapie, a gdy nastąpiła przerwa reklamowa, mogliśmy zamienić kilka słów na spokojnie.

– Po co oglądacie tych wariatów? – zapytał Jurek i rozlał szampana. Wznieśliśmy za niego toast.

– Bo to świetna rozrywka – odparłam. – Czy ja, waszym zdaniem, też się tak błażniłam?

– Czasami – odpowiedziała szczerze Roksana. – Ale ty byłaś ogólnie nudna, taka zasadnicza. Oni dają czadu, naprawdę. Ten Kołatek i ta cała Proszula. A Diany to się trochę boję, tak zawsze patrzy spode łba.

– Oni naciągają ludzi, naiwnych i nierozsądnych – przekonywał Jurek. – Naciągają ich na koszty i w dodatku wmawiają takie głupstwa. Najgorsze jest to, że ci ludzie biorą to na poważnie!

– Nie dość, że na poważnie, to jeszcze się od tego uzależniają! Co to za pytanie, czy to prawda, że kręgosłup mi się sypie i niedługo wyląduję na wózku? To jest pytanie do wróżki? – zdenerwowałam się.

– A jaka padła odpowiedź? – zapytał Jurek.

– Że na wózku też można żyć!

Rurki zniknęły w mgnieniu oka. Boluś bardzo w tym pomagał. Cały dzióbek miał już umazany w bitej śmietanie.

– Słuchajcie, a może ja się poradzę wróżki w sprawie nowego faceta...

– zaczęła Roksana.

Popatrzyłam na nią groźnie.

– A czego niby nie wiesz?

– No, nie wiem, jak się ubrać na pierwszą randkę, bo on pisał, że lubi kobiety naturalne. To jak to rozumieć? Mam być boso? W lnianej koszulinie? W dresie?

– Przezroczyta bluzka i rajstopy ze szwem – wypalił Jurek.

– Ze szwem? Ale wtedy będę musiała cały czas stać tyłem do niego!

– To tupnij nóżką, obraź się i stań tyłem. W końcu tył masz nie najgorszy.

– Mówisz? I tak mam z nim rozmawiać? Stojąc tyłem?

– To wejdiesz, tupniesz nogą i wyjdiesz. A potem znów wejdiesz, żeby porozmawiać. Będzie już po wrazeniu, to możesz być przodem.

Gdy tak ustalaliśmy, jaką pozycję powinna przyjąć Roksana względem nowego absztyfikanta, przerwa na reklamę skończyła się i powrócił Kołatek.

– No i nie dosłyszałam pytania! – zgłosiła pretensję Roksana. – Dlaczego on ma się onanizować?

– Przeciwnie, ma się przestać onanizować – powiedziałam, krusząc jednocześnie rurkę w ustach. – Bo jak się onanizuje, to chodzi rozkojarzony i czakry mu wirują.

Jurek omal nie zakrztusił się szampanem.

Po chwili Kołatek znów zalecił komuś wstrzymanie się od onanizowania, pomimo że facet pytał o znajomość z kobietą.

– Dlaczego on we wszystkich widzi onanistów? – oburzyła się Roksana.

– I dlaczego tego zabrania? Jakiś ortodoks z niego?

– Może sam jest onanistą. – Jurek wyglądał na rozbawionego. – To raczej odpręża, a nie dekoncentruje.

Tymczasem Kołatek wygłosił wykład na temat relacji karmicznych w związkach damsko-męskich. Wydało mi się to nudne, więc zapytałam Jurka o książkę, a zaraz potem opowiedziałam mu o napadzie i o mojej wizycie na posterunku policji.

– Kazimierz wielkim przestępcą? – Zmarszczył brwi Jurek. – Nie wierzę! Książka wyjdzie na wiosnę. Trochę czasu jeszcze, ale za to duży nakład, więc się odkuję. O jakich dokumentach mówisz?

– A w mieszkaniu Marka znalazłaś coś podejrzanego? – wtrąciła się Roksana.

– Nie, w tym zamkniętym pokoju były jakieś papiery, ale wywaliłam

je razem z tym zarobaczonym świństwem. Nie przeglądałam tego.

- Może to były jakieś arcyenne dokumenty?
- Może. Ale nawet jeśli, to robale je zeżarły w połowie razem z mięsem.
- No tak, ale oni mogą o tym nie wiedzieć...
- Byłaś u niego w mieszkaniu? – Jurek nie nadążał za wydarzeniami.

Opowiedziałam więc wszystko od początku. Istotnie, wszystko miało jakiś związek z Markiem. Facet od napadu kojarzył się z fotografowanym gościem, który stał w oknie willi, do której wszedł Marek. W mieszkaniu Marka były jakieś papiery, które wyrzuciłam, ale komuś mogło się wydawać, że zabrałam je ze sobą, a potem gdzieś ukryłam. Policja kojarzy te trefne materiały z moją osobą i wtedy ktoś mnie napada...

– Moim zdaniem ten Marek jest w coś wplątany, ciebie skojarzyli na zasadzie żony mafiosa, że musisz coś wiedzieć. Byłaś w jego mieszkaniu, zatem stałaś się pierwszą podejrzaną zarówno dla gangsterów, jak i dla policji – orzekł Jurek.

- To co mam teraz zrobić? – zapytałam bezradnie.
- Przyznaj się! – Roksana wzruszyła tylko ramionami.

Łatwo powiedzieć. Ale do czego?! Tego wieczoru nie ustaliliśmy nic poza tym, że przy najbliższej okazji przyznam się do wszystkiego. Jednym i drugim. Może coś z tego wyniknie.

4 grudnia, niedziela

Pana Przemka jakby diabeł jakiś opętał. Wydzwania teraz do mnie z coraz to nowymi pomysłami, jak można wypełnić mi ten czas bez Marka. Niepotrzebnie mu powiedziałam, że zniknął.

I tak – raz namawia mnie, żebym w ogóle dała sobie spokój z facetami, bo żaden nie jest wystarczająco dobry i uczciwy, innym razem znów poleca mi swoich znajomych. Ostatnio niejakiego Patryka. Rozmawiałam z owym Patrykiem przez telefon, całkiem rozsądny i ciekawy typ. Nie mam wprawdzie ochoty na żadne nowe związki, ale rozmowa z kolegą pana Przemka dobrze mi zrobiła. Umówiliśmy się na zapoznawczą kawę. Sądziłam, że pan Przemek ucieszy się z takiego obrotu sprawy, ale on mnie tylko zrugął, że jeszcze łóżko po jednym nie ostygło, a ja już zapraszam następnego. Nie chciało mi się już mu wypominać, że sam mi tego Patryka podetknął. Kawa z nowo poznanym w czwartek. Zobaczymy.

Warte zanotowania: Hortensja oznajmiła panu Przemkowi, że właścicielka galerii sztuki z Paryża zaprosiła ją razem z jej dziełami do siebie na wernisaż. Uwierzyłabym pewnie, gdyby nie taki drobiazg: pani Hortensja podała panu Przemkowi wymyślone przeze mnie imię i nazwisko, którym podpisywałam się pod wszystkimi wysyłanymi do niej e-mailami. Zastanawiam się, czy mu o tym

powiedzieć. Hortensja potrzebuje na wyjazd prawie dziesięć tysięcy złotych. Zobaczymy, jaki jest ten kolega, i może wtedy mu powiem...

Ojcu chyba na dobre wpadła w oko pani Danusia, bo dopytywał się, czy jutro też przyjdzie ugotować u nas obiad. Już podczas Wigilii zaproponował jej pranie całunów pogrzebowych po bardzo korzystnej cenie. A to byłaby nowina, gdyby zeswatać ojca z właścicielką domu pogrzebowego! Wtedy może dałby mi spokój z Mateuszem Chudym!

7 grudnia, środa

Beata zaproponowała, żeby zainwestować w automatyczną platformę do trumien, czyli urządzenie, które wyręcza panów w białych rękawiczkach, by nie musieli się męczyć z powolnym wsuwaniem trumny ze zwłokami do grobu. Była tak sugestywna, że pani Danusia dokonała stosownego zakupu, no i wkrótce pojawiła się okazja, by wynalazek wypróbować.

Niestety, maszyna zepsuła się akurat podczas pogrzebu bardzo szanowanego obywatela. Uroczystość zgromadziła prawdziwe tłumy, wybór domu pogrzebowego „Zacisze” oznaczał wybicie się ponad konkurencję, a tu taka wpadka. Trumna bowiem została zamontowana na podnośniku, który się zepsuł i zaczął jeździć w dół i do góry. Operator maszyny nie mógł sobie z tym poradzić. Wyglądało to, niestety, bardzo komicznie. Na domiar złego wdowa po nieboszczyku, bardzo dystygowana starsza pani, krzyknęła z irytacją:

– Długo tak będziecie się bawić moim mężem?

W końcu podnośnik udało się opanować, panowie czym prędzej przynieśli pasy i ustawili na nich trumnę zdjętą z platformy. Zapomnieli w zdenerwowaniu i pośpiechu o białych rękawiczkach, w rezultacie trumna wysunęła się z rąk jednego z nich i rogiem uderzyła o wybetonowany kant grobu. Uderzenie spowodowało, że wieko od trumny odpadło i obnażyło nagusieńkiego seniora rodu. Nikt poza nami nie wiedział, że starsza pani uznała za zbyt dużą rozrzutność ubierać nieboszczyka w garnitur za dwieście złotych. Jak stwierdziła, gdy przychodził na ten świat, też nie miał na sobie fraka i lakierków. Ale stało się. Zdruzgotana pani Danusia udała się prosto do domu, a towarzyszył jej mój ojciec.

Natknęłam się dziś po południu na Marka. W galerii handlowej na Mokotowie. Spotkanie zupełnie przypadkowe, w pijalni czekolady. Czekałam na Roksanę, która się spóźniała. Zapowiedziała, że przyjdzie w towarzystwie nowego pana od romansu, tym razem ma to być przedsiębiorca, prężny i zaradny.

Usiadłam i złożyłam zamówienie, Marek siedział niedaleko, w towarzystwie dość krzykliwie ubranej i umalowanej kobiety. Sytuacja była niezręczna, bo Marek zachowywał się tak, jakby chciał udawać, że się nie znamy, a ja nie zamierzałam przecież psuć mu randki. W rezultacie tego „udawania” i unikania skrzyżowanych spojrzeń doszło do awantury z kelnerką. Może i jej udzieliło się to napięcie,

ponieważ mnie podała kawę z pianką, a im czekoladę zimną, z metrową warstwą bitej śmietany.

Marek skrzywił się, ale wziął łyżeczkę i umoczył ją w śmietanowej chmurze. Podczas gdy ja polemizowałam z kelnerką.

– Nie zamawiałam kawy, tylko sok i ciastko – mówiłam spokojnie do rudej dziewczyny z przybrudzonym kołnierzykiem firmowej koszuli. Staralam się tego nie widzieć, ale ów brudny kołnierzyk aż krzyczał: „Upierz mnie!”.

– Gdyby pani zamówiła sok i ciastko, to przyniosłabym sok i ciastko, prawda? – odpowiedziała arogancko właścicielka kołnierzyka. – Zamawiała pani kawę.

– Nigdy nie zamawiam kawy, bo jej nie lubię. Chciałam sok i ciastko, pani się pomyliła! – nie ustępowałam, a kołnierzyk drażnił mnie coraz bardziej.

– Nasza kawa jest wyśmienita – uśmiechnęła się krzywo kelnerka. – Na pewno pani ją zamówiła!

Gdy już otworzyłam usta, żeby jej odpowiedzieć, usłyszałam znajomy, do niedawna tak bliski, a teraz poirytowany głos.

– To jest mydło, a nie śmietana! Chce nas pani otruć?!

Kelnerka błyskawicznie odwróciła się na pięcie i podeszła do sąsiedniego stolika. Marek usiłował nakłonić ją do skosztowania bitej śmietany, która sterczała ze szklanki. Twierdził, że jest niejadalna. Śmietana, nie szklanka.

– Zawołam kierowniczkę – oświadczyła kelnerka i uciekła wraz ze swoim kołnierzykiem. Po chwili przyszła druga ruda (same rude zatrudniają, czy co?) – od razu spojrzałam na kołnierzyk: był czysty – która nie dała mu dojść do słowa. Markowi, nie kołnierzykowi.

– To jest bardzo dobra śmietana, bo ja sama ją jem i wiem. Skoro pan ma inny gust, to należało zamówić lody.

Oślupiałam. Oczywiście kwestia rzekomo zamówionej przeze mnie kawy też pewnie zostanie potraktowana podobnie. Musiałam zamówić, bo ta kelnerka się nie myli. Marek urządził karczemną awanturę, zauważyłam, że jego towarzysze bardzo się to podobało, po czym wyszedł, nie płacąc rachunku. Panna z tapetą na twarzy podreptała za nim.

– I kto ma teraz za to zapłacić? – zapytała ostro kelnerka i spojrzała wymownie na mnie. Nie zdążyłam nic odpowiedzieć, bo tuż za mną ktoś ryknął:

– Ja zapłacę! Ja obronię moją Syrenkę!

Bracik dopadł mnie tak nagle, że nawet nie zauważyłam, w którą stronę poszedł Marek. No cóż, wszystko musi się wypełnić. Bracik przez pewien czas tłumaczył mi, że się pogubił, ale już odnalazł, że w tak zwanym międzyczasie wszedł w relację z kilkoma kobietami, które do pięt mi nie dorastają, i zrozumiał, że ja jestem tą jedyną, toteż jest już gotów na stały związek.

– Posłuchaj – zaczęłam ostrożnie, bo wariatów nie należy za bardzo drażnić.

– Ja nie jestem już zainteresowana znajomością z tobą, a tym bardziej relacją.

– Ale dlaczego?! – nie rozumiał Bracik. – Przecież ja cię kocham!

– A ja ciebie nie! – wypaliłam.

Bracik zrobił się okropnie czerwony na twarzy, bo w tej samej chwili ruda kelnerka podeszła do nas, nie wiadomo po co, skoro nic nie zamawialiśmy, a wcześniejszy rachunek został uregulowany. Amant wstał z fasonem, popatrzył na mnie z góry i powiedział tylko:

– A już miałem zainwestować w te opowiadki, które czytałaś w telewizji! Chciałem wydać to w formie komiksu, ale skoro jesteś taka, to wybac. Zrywam z tobą, żegnaj!

I poszedł sobie. Ruda kelnerka patrzyła na mnie z mściwą satysfakcją. W tej samej chwili nadbiegła zdyszana Roksana.

– No i gdzie on się podział? – zapytała bez wstępów.

– Kto?!

– Mateusz! Widziałam go przecież! Rozmawialiście!

Mateusz?! O kurcze blade, Bracik!

Zrelacjonowałam Roksanie zwięźle przebieg naszej krótkiej rozmowy. Popatrzyła na mnie niechętnie i powiedziała:

– To, że tobie nie udają się relacje z mężczyznami, nie znaczy, że wszystkim się nie udają. Mateusz to bardzo fajny facet, poznałam go na kursie rzeźbienia z gliny. Nie musiałaś go przeganiać! Następnym razem nikogo ci już nie przedstawię!

I poszła sobie. Co za parszywy dzień.

9 grudnia, piątek

Pan Przemek znowu mnie zupełnie zaskoczył. Jego znajomy, Patryk, okazał się bardzo przystojnym i sympatycznym facetem. Trochę monotematycznym, ponieważ wciąż mówił o swojej pracy ogrodnika, ale i tak dobrze się bawiłam. Nie jestem przekonana, czy chcę tak od razu wchodzić w kolejną relację, ale przynajmniej przed ojcem i Roksaną mogłam wykazać się posiadaniem nowego absztyfikanta. Postanowiłam więc umawiać się z Patrykiem i czekać, co z tego wyniknie.

Gdy ojciec zapytał, kto zacz, z dumą odpowiedziałam:

– Ogrodnik.

– Eee tam – zniechęcił się ojciec. – Ogrodnik? Ile on tam zarobi na tej marchewce?

– To jest fachowiec od urządzania ogrodów – doprecyzowałam. – Zakłada takie ogrody u ludzi i potem o nie dba.

– Ale i tak w zimie pewnie nie ma pracy! – orzekł ojciec. – To już rolnik byłby lepszy! Bo i marchewkę ma własną, i jajka!

Umówiłam się z Patrykiem na kolejne spotkanie. Wypytał mnie, jakie kwiaty lubię, i już zapowiedział, że na wiosnę urządzi mój balkon. Dobrze, niech urządzi. Pan Przemek zatelefonował tego samego wieczoru i wypytywał, jak było. Gdy powiedziałam mu, że fajnie, zaraz się rozłączył.

Zastanawiam się nad jeszcze jedną sprawą. Otóż wiele osób pyta mnie, gdzie można się nauczyć, jak postępować z partnerem, mężem lub żoną. Nie wiem, chyba to samo przychodzi. Ale może warto zorganizować jakieś warsztaty, podczas których kobiety i potem mężczyźni wymienialiby się swoimi doświadczeniami. Może taka bezpieczna „konfrontacja” później byłaby formą nauki? Sama nie wiem. Muszę się chyba poradzić Jurka albo jeszcze lepiej jego babci. Taki nowy pomysł na biznes...

10 grudnia, sobota

W biurze puchy i mało pracy. Tylko jeden pogrzeb ostatnio, w dodatku klientka stanowczo życzyła sobie, aby jej zmarłemu ojcu odpowiednio ułożyć fryzurę. Zupełnie nie wiem po co, skoro trumna pozostała zamknięta.

Prawie pod koniec dnia do biura wszedł jeden pan i płaczącym głosem prosił mnie, żebym sprawdziła w kartach, czy uda się odzyskać skradzioną dzień wcześniej aktówkę, kryjącą mocno kompromitujące go materiały. Aktówka znajdowała się na tylnym siedzeniu samochodu i kusiła nowością. No i skusiła. Ktoś wybił szybę i ukradł walizeczkę. Szyba, pół biedy, biadolił klient, ale te materiały! Klęska, gdy ujrzą światło dzienne! Pomór i zgliszcza! Tłumaczyłam mu, że już nie wróżę, żeby sobie poszedł gdzie indziej, wreszcie umówiłam go z panią Zosią. Pochlipał przez chwilę i poszedł sobie. Dziwak. Martwię się jednak, by się nie rozeszło, że byłam wróżką, i nie wiem, jak zareaguje na to pani Danusia. A w ogóle skąd on wiedział, gdzie mnie szukać?

Patryk zadzwonił i oświadczył, że nie może się ze mną spotykać, bo pan Przemek zagroził, że mu gębę obije. Zrozumie ktoś tego typu?

11 grudnia, niedziela

Roksana już się pogodziła. Ujawniła dziś przede mną swój profil na portalu randkowym i pokazała kilka wpisów od mężczyzn. Właściwie to nic nowego. Stali bywalcy z tym samym tekstem od lat. Jednego gościa pamiętam, gdy sama jeszcze się tam logowałam. Że też ludziom brakuje dowcipu, by przynajmniej raz na jakiś czas coś zmienić, bodaj zdjęcie, przecież zawsze to zwiększa szanse na znalezienie kogoś. Tym bardziej jeśli prezentowany do tej pory wizerunek nie przyciągnął tłumów.

Na przykład taki Kocurek Mały. Na zdjęciu łypie okiem chłop jak dąb i wyjeżdża z tym Kocurkiem, w dodatku małym. Albo szczelnie zamaskowany Niebieskooki.

Chętnie doradziłabym coś Misiaczkowi w Piżamie, który sympatycznie patrzy ze zdjęcia, ale do Roksany napisał tak:

Witaj, tak się zastanawiam i sam nie wiem, co napisać, bo wszystko, co piszę, jest strasznie głupie. Na pewno mnie zignorujesz, bo spotykasz się z przystojniejszymi. Ja jestem wesoły, inteligentny i bardzo namiętny. Nie pisz, jeśli ci się nie spodoba. Pozdrawiam, Piotrek.

– I co? Odpisałaś mu? – zagadnęłam Roksanę. Ona roześmiała się filuternie i powiedziała, że tak. I że w kolejnej korespondencji Piotrek napisał:

Fajnie, że się odezwałaś, ale musisz wiedzieć, że ja nie wskakuję do łóżka z byle kim na pierwszej randce. Nawet wtedy musi zaiskrzyć. Ja szukam czegoś więcej, czegoś realnego, wyjątkowego, na myśl o czym będzie mi brak oddechu – nie mylić z łatwym i nic niewartym towarzystwem. To ma być ktoś normalny.

Chciałam wiedzieć, czy umówiła się z nim na randkę, ale powiedziała, że nie, bo nie chciała wyjść na łatwą i nic niewartą.

Potem nawiązała rozmowę z Wojtkiem, który z miejsca zaproponował „głęboki masażyk”. Niestety, nie spodobał jej się, może dlatego że żonaty.

Szejkman dopytywał się przez kilka dni, czy jej nie odstrasza to, że on do niej pisze. W końcu odpowiedziała, że tak, bo Roksana jest z natury bardzo ugodowa. Potem była fajna rozmowa z Mirkiem, który od razu zaznaczył, że nie sponsoruje, nie utrzymuje, nie pomaga i nie wyręcza. Roksana napisała, że ona też nie, i fajnie, że się zgadzają.

– No i jutro idę na kolejny bal dla singli – ciągnęła rozbawiona. Mnie też namawiała, ale odmówiłam. Poogłądałam sobie wróżkowy spektakl.

12 grudnia, poniedziałek

Roksana na balu, mam nadzieję, że przyjdzie wieczorem opowiedzieć, jak było. A ja notuję sprawozdanie z kolejnego programu ezo.

Oto wróżka informuje widzów, że przez ostatnie dni robiła rytuały oczyszczania dla widzów, medytowała bez przerwy, wizualizowała aurę każdej osoby, oczyszczała jej blokady i zatykała kanały energetyczne, żeby energia nie wyciekała. Leczyła też na bieżąco wszystkie choroby, hormonalne, sercowe, schorzenia kręgosłupa, bóle stawów. Na piętnaście wcieleń spokojnie wystarczy. Jak tak dalej pójdzie, to po tej planecie będą chodzić sami zdrowi i szczęśliwi ludzie. Z czego ona wówczas będzie żyła?

Zabieg trzy razy po trzydzieści złotych to tak zwana pokoleniówka. Nie mam pojęcia, co to takiego. Wróżka mówi o tym tak, jakby to było oczywiste. Mam braki w wiedzy ezoterycznej. W dodatku jeden klient upewnia się, że trzy razy po trzydzieści złotych daje razem dziewięćdziesiąt. Na to wróżka, że sto. Podobno pełna liczba lepiej oczyszcza.

– Głowa ciągle mnie boli, co robić? – pyta Luiza.

– Za dużo pani myśli – odpowiedziała wróżka. – Ale mnie wyszła kość udowa, nie głowa. Ma pani siniaki? Nie? To będą.

Anna zapytała, czy będzie sama za dwa lata. Pani Jadzia chce wycofać się z umowy najmu lokalu, bo ktoś przez telefon powiedział jej, że może dostać więcej pieniędzy. Na razie nic z tego nie wyszło, kiedy to się sprawdzi?

Pani Marta pyta, dlaczego jest smutna i samotna, pani wróżka więc proponuje jej oczyszczenie wahadelkiem, które odegna smutki, pierwsze machanie za 25 złotych, potem machanie doładowujące za 50 złotych i na koniec utrwalające skutki dwóch poprzednich za 35 złotych. Czy to działa? No pewnie, wróżka też sobie macha przecież. A jak się będę po tym czuła, pyta pani Marta? Doskonale!

Pani Marlena pyta, który z panów jest jej kandydatem docelowym, Marcel czy Ignacy. Pani wróżka uznała, że potrzebne będzie kilka rozkładów, zatem trzeba zapłacić więcej. Ale nic nie rozłożyła, bo niechęć pomyślała już o pierwszym z nich i to jest znak.

– Marcel jest bardzo uczuciowy, choć prezentuje ogromne zablokowanie. Tarot już wie, że ten Marcel jest jej przeznaczony, trudno, pani Marleno, trzeba się z tym pogodzić. – Wróżka rozłożyła ręce i pokiwała głową.

– Ale ja wolę tego drugiego – zaprotestowała pani Marlena.

– Nieważne, karta przeznaczenia decyduje za panią.

– Aha, no tak. Tak, ja też teraz to czuję, kocham Marcela – zgodziła się pani Marlena. – Ale Ignacy do mnie się ciągle odzywa, kwiatki przynosi, przysyła bombonierki. Co z nim zrobić?

Wróżka uśmiechnęła się szeroko.

– Może rytuał odejścia, jedyne dwadzieścia złotych?

– Pomoże?

– Tak, będzie czuł do pani wstręt. Czy pani czuje to, że on igra z pani uczuciami, ten Ignacy? Tak? No widzi pani, ja nic nie wymyślam i nie pytam wcześniej! Pani sama to potwierdziła, że ja dobrze widzę. Pokażę pani kartę, która to mówi.

Tu wróżka podniosła do kamery kartę, ale nie dało się odczytać, jaka to, bo światło odbijało się w śliskiej powierzchni kartonika.

– To ten facet, o którego pani pyta, widzi pani, jaki ponury? – ciągnęła wróżka. – On jest niedobry, uciekać od niego trzeba. On nie jest zaangażowany w związek.

– Ale my nie byliśmy w związku, znam go od dwóch tygodni – odpowiedziała pani Marlena. – No tak, no tak, ja już widzę, że to jest zły związek.

– Oczywiście, to pani życie, ale ja na pani miejscu... no cóż, muszę oczyścić karty, bo to bardzo zły człowiek, proszę dopłacić!

– A to podlec, ale ja też mam swój rozum, nie będę się z nim więcej

spotykać!

– Jeśli pani nie czuje natłoku uczuć... czuje pani? Tak czy nie? Bo ja widzę, że pani ma natłok. Tak, a przy natłoku nie ma wyjścia, musi pani kochać Marcela. Ja oczywiście nic pani nie wpieram, decyzja w pani rękach, ale dla mnie tu nie ma o czym myśleć.

Pani Marlena kilka razy ciężko westchnęła i znów zapytała:

– A ten Marcel to też przeznaczenie?

– Nie, ale i tak musieliście się spotkać – orzekła wróżka. – Karma to coś niewyobrażalnie trudnego, ciężkiego, niedobrego. Boli, ciężko być razem, to jest przekleństwo. Dlatego lepiej, że on jest, ale pani ma karmę, bo pani jest ciężko, ale to jest wartość, trzeba to cenić, pani powinna być zadowolona. To jest tylko przeznaczenie, w kolejnym wcieleniu już się nie spotkacie. Jak pani spotka kogoś na ulicy i spojrzy, i ten ktoś się pani spodoba, to jest to coś, to jest przeznaczenie. Takie spotkania na ulicy, a nie wychodzone, pani nie może go znać wcześniej, bo to wtedy jest karma.

Dobrze, że nastąpiła przerwa na reklamę, bo przestałam rozumieć, co ta kobieta mówi.

Po przerwie pani Marlena już się nie połączyła, za to zatelefonowała pani Irena i zapytała, czy powinna angażować się w związek z trzydziestoletnim mężczyzną. Ona sama ma pięćdziesiąt pięć lat. Wróżka stwierdziła, że pani Irena powinna pójść do kosmetyczki, zadbać o siebie i on nawet nie zauważy. Granica się zatrze.

Następnie pani Ewelina zapytała, czy zda egzamin.

– Tak, ale dopiero, gdy ja panią oczyszczę i proszę się w soli wykąpać, wtedy pani zda.

– A co będzie, jeśli się nie oczyszczę? – zapytała pani Ewelina.

– Jeśli się pani nie oczyści, to będzie źle z panią, bo nie zda pani żadnego egzaminu, tak ma pani wszystko poblokowane!

Na to pani Ewelina szybko się rozłączyła. Pani wróżka przeczytała więc SMS-a od pani Kariny, która pyta, czy rozwiedzie się z mężem.

Wróżka rozłożyła karty i rzekła:

– Nie. Ale proszę się nie martwić, będzie bardzo źle, będą kłótnie i bijatyki. Ta karta, którą wybrałam, to nie jest dobra karta na związek, niestety.

Kolejny SMS:

A mogę wybrać inną?

Zanim przyszła Roksana, wysłuchałam jeszcze jednej rozmowy.

Pan Zbigniew pyta, czy wygra w lotto w tym tygodniu. Wróżka odpowiedziała, że tak, ale karty mówią, że nie, ale trzeba grać. Pan Zbigniew na to, że nie chce wygrać miliona, tylko mniej.

Na tę chwilę wpadła Roksana.

– Nawet, wyobraź sobie, nie było tak źle. Kilku fajnych i przystojnych wypatrzyłam. Jeden taki już szedł w moim kierunku, a wtedy nagle, nie wiadomo skąd, wyrósł mi przed nosem łysy grubas, który pyta, czy jestem aniołem, czy diablicą. No to ja mu, że diablicą, i rozglądam się za tym ładnym. Gruby pyta dalej, co zrobię jako diablica. A ja już widzę, że ten fajny podchodzi do innej dziewczyny, więc ryknęłam na grubasa: „Będę grzmieć!”. Mówię ci, głos mi taki wyszedł z przepony, niski taki, basowy. A ten gruby na to, kogo ja szukam, więc ja do niego, że mężczyzny, i on wtedy okręcił się na pięcie i odszedł. Przebieraniec jakiś czy co?

– A co z tym fajnym? – chciałam wiedzieć.

Roksana pociągnęła nosem i westchnęła ciężko.

– Nic. Jak ten gruby sobie poszedł, to zobaczyłam, że fajny tańczy z fajną. A do mnie przykleił się taki starszy, po sześćdziesiątce. Bardzo miły był, tylko wyglądał jak twój ojciec. Poprosił mnie do tańca i zapytał, co ja tu robię?

– Umówiłaś się z nim?

– On mnie zapytał, co ja tu robię... – ciągnęła Roksana. – To ja mu na to, że szukam faceta, który będzie mnie nosił na rękach, rozpieszczął, lał po gębie każdego, kto na mnie spojrzy, i świata za mną nie widział.

– Czyli same konkrety? – skwitowałam.

– No tak. – Kiwnęła głową Roksana. – A wtedy on powiedział, że kasa jest jego i wara mi do niej. No, to ja mu na to, że szkoda, bo to znaczy, że znów w poniedziałek będę musiała iść do pracy, chyba że wygram w totolotka i wtedy mój mężczyzna może być nagi i bosy.

– I co on na to?

– Że jestem podstępna wyzyskiwaczka i że wyszło ze mnie szydło z worka.

– Co z ciebie wyszło?!

– Szydło z worka! – chichotała Roksana. – Nawet nie zdążyłam zapytać, gdzie mi to szydło wyszło, bo uciekł jak poparzony. Może się bał, że już mu konto opróżniam, tak siłą woli.

Rechotałyśmy jak żaby w stawie.

Roksana wtedy przyznała się, że zamieściła ogłoszenie też jako mężczyzna, żeby przekonać się, jak to jest i jaką ma konkurencję na portalu.

Napisała, że szuka miłej, sympatycznej kobiety, z którą chciałaby i porozmawiać, i popolitykować, i pożartować, i pomilczeć, a jak dobrze pójdzie, to tę znajomość rozwinąć. I wtedy rozpiśały się kobietki, jak to określiła.

Prawie co druga pisała o sobie, że jest urodzoną perfekcjonistką, nieustannie dążącą do doskonałości, wyznaczającą sobie normy postępowania i ideały często niemożliwe do zrealizowania. Że jest dyskretna, kulturalna, tajemnicza, niezależna indywidualistka. Niezwykle ważne są dla niej samodoskonalenie oraz ciągłe zgłębianie wiedzy. Wierna swym ideałom, nieugięta, opanowana, rozsądna,

nieustannie poszukująca prawdy, doskonałości i przyczyny wszystkiego. Otwarta na świat i ludzi, wieczna marzycielka, potrafiąca słuchać innych, jednak nieznosząca pustej gadaniny. Pasjonuje ją wszystko, co nieznanne i tajemnicze. Interesuje się starożytnymi cywilizacjami, wiedzą tajemną, historią. Lubi również dobrą zabawę w gronie sprawdzonych przyjaciół. Pozostałe to z kolei rozważne, odpowiedzialne, twardo stąpające po ziemi, ambitne, pracowite, niezależne finansowo feministki. Mężczyźni szukają jako dopełnienia w życiu (w stylu chińskiego yin i yang), gdyż nie wierzą w szczęście singla. Poza tym tak cudownie można spędzać czas we dwoje i móc na kimś polegać, zawsze, w tych gorszych i lepszych momentach.

Wszystkie oczywiście szukają odpowiedzialnego, dojrzałego partnera, który poszukuje partnerki życiowej i jest gotowy na związek, z którym będą mogły dzielić swoje życie, pasje, radości, sukcesy, smutki, podróże i wydatki zapewne. A co oferują? Że ten jeden jedyny będzie dla niej wszystkim. Że będą wierzyć w ciebie, bo uwierzą od pierwszej chwili poznania. Że wszystko mogą zmienić, wszystko z nią mogą zrobić, co tylko zechcą. *Tylko chciej tego i kochaj mnie bardzo. Mnie trzeba strasznie, bez pamięci kochać i trzymać z całej siły. Inaczej nie ma mnie. Ginę, czasem nawet sama dla siebie. Sama siebie nie znam w takich chwilach.*

– Dlatego mam szansę, rozumiesz? – śmiała się Roksana. – Ty też powinnaś jeszcze spróbować!

Śmiałam się, ale to już chyba nie dla mnie. Tak naprawdę staram się nie myśleć o tym, jak bardzo zawiodłam się na Marku. Po co szukać kolejnej osoby. Nawet ten Patryk! Taki tchórz? A może to ze mną jest coś nie tak? Może czegoś mi brakuje? Może piątej klepki?

Studiowałam filozofię i nie potrafię funkcjonować wedle najprostszyc wzorów. Zalecałam wiele razy moim klientom, by stosowali „mądrość trzech małp”. To filozofia rodem z Chin, która przedstawia trzy małpy: jedna zasłania sobie oczy, druga uszy, a trzecia usta, zaś paremia głosi: *Chcesz być szczęśliwy, to nie dostrzegaj niczego złego, nie słysz niczego złego i nie mów niczego złego!*

Przypomina mi się wtedy taki dowcip.

Oto rabin chce ożenić swojego syna, który jednak wybrzydza i nie chce żadnej z proponowanych kandydatek na żonę. Któregoś dnia ojciec przyprowadza do domu dziewczynę, która jest ułomna, i zachwala ją jako idealną. „Ależ ojcze! – oburza się syn – ona jest ślepa”! „To i lepiej dla ciebie, synu – tłumaczy rabin. – Nie będzie widziała, co robisz”. „Ależ ona jest głucha!” – nie ustępuje młodzieniec. „I to jest jej zaletą! – kiwa głową ojciec. – Nie będzie wiedziała, co mówisz”. Syn rabina narzeka jeszcze, że dziewczyna kuleje, na co starszy człowiek odpowiada: „Nie nadąży za tobą, będziesz mógł chodzić, dokąd chcesz!”. Wreszcie zdesperowany młodzik krzyczy: „Ale ona ma garb!”. Rabin rozłożył

na to bezradnie ręce i rzekł: „No cóż, mój synu, jakąś wadę musi przecież mieć!”.

13 grudnia, wtorek

Dziś w pracy pojawił się klient, który przyszedł zapytać, czy urządzimy ceremonię pogrzebową jego kota. Pani Danusia, która przeżyła lekkie załamanie nerwowe po ostatnich wydarzeniach, powiedziała mi dziś rano, że zostawia interes na głowie swojego syna, zatem przywołałam Mateusza, żeby porozmawiał z klientem i zdecydował. Mateusz przyszedł, wysłuchał, słowa jednego nie powiedział, tylko kiwał głową. Wszyscy uznaliśmy, że się zgadza. Klient wyszedł uszczęśliwiony, pozostawiając nas z informacją, że przyniesie truchło w piątek po południu, bo na ten dzień umówił się z weterynarzem. Zwierzę jest śmiertelnie chore i należy je uśpić. Właściciel chciał, aby tego samego dnia je pochować.

– Mateusz, jesteś pewien, że twoja mama nie będzie miała nic przeciwko temu? – zapytałam, ale Mateusz tylko pokiwał głową i poszedł do swoich zajęć. On zajmuje się nieboszczykami, może dlatego taki małomówny, jego klienci zazwyczaj milczą.

Potem weszli następni klienci. Pan i pani. Pani zapytała bardzo głośno:

– Jaki macie państwo wybór trumien?

Klientka długo wybrzydzała w kwestii drewna, koloru, materiału wyściełającego wnętrze. Jej obawy, że wskazana trumna nie jest wygodna, już byłam gotowa przełamać, proponując, aby położyła się na chwilę i sama wypróbowała. Ale na szczęście mężczyzna, który jej towarzyszył, przerwał naszą dyskusję krótkim:

– Bierzemy tę czarną, ile?

Podaliśmy cenę, pan wyjął portfel, a mnie ledwie udało się powstrzymać pytanie, czy zapakować, czy przesłać do domu?

14 grudnia, środa

Tak to już jest. Jakaś historia bardzo ciekawie się zaczyna i nagle... chała. Nie ma ciągu dalszego. Nic się nie dzieje. Nuda. Poznałam Marka, spełnił się cały koncept pełen tajemniczości i podszyty dreszczykiem emocji. No i co z tego? Ciągu dalszego nie ma. Poznaliśmy się, zamieszkali razem i na tym się skończyło. O ile nie liczyć tej całej sprawy z usiłowaniami porwania i tajemniczymi dokumentami. Ale tu też zapadła cisza. Nikt więcej już mnie nie napadał, policja też mnie nie niepokoi. Podobno w życiu nic się nie dzieje przez przypadek. Każdy początek musi odnaleźć gdzieś swój koniec. U mnie, niestety, początek zdaje się iść od razu pod rękę z końcem, a środka w ogóle nie szukają.

Rozmawiałam dziś z Jurkiem. On radzi, żeby udać się do mieszkania Marka ponownie i jednak się rozejrzeć w tym tajemniczym pokoju. Policja w końcu nie bez powodu się kimś interesuje, a mnie przecież wiążą z jakimiś dokumentami,

napad też nie był zapewne przypadkowy. Pojadę tam więc zaraz po pracy. Jurek odprowadzi babcię i Synka na plebanię i później do mnie dołączy, tak dla asekuracji. Nie wierzę, by to przybliżyło nas do rozwiązania tajemnicy, ale przynajmniej będę wiedziała, że próbowałam.
wieczorem

Zobaczyłam go, gdy stał przed sklepem i liczył w garści pieniądze. Dużo drobniaków i ze dwa banknoty. Później gmerał jeszcze w kieszeniach, widocznie wyliczył, że ma za mało. Kilka monet upadło i potoczyło się po chodniku. Zaklął i pochylony, skrupulatnie pozbierał cały bilon. Wreszcie zdecydował się wejść do sklepu. Zamierzałam zaopatrzyć się w coś do zjedzenia na szybko, bo przecież nie umiałam przewidzieć, ile czasu zejdzie mi w mieszkaniu Marka, a po pracy doskwierał mi głód.

Ogarnięta ciekawością przyglądałam się facetowi, który przed sklepem liczył pieniądze na dłoni. Nie robił wrażenia obszarpanego opijusa, który na flaszkę zarabia zbieraniem puszek. Przeciwnie, ubrany był w porządny płaszcz, spodnie od garnituru, koszulę i krawat. Ostrzyżony i ogolony. Nie pasowało mi do niego to liczenie drobniaków. Ciekawe, co zamierza za to kupić, pomyślałam i weszłam za nim do sklepu. Stałam przy koszu z kajzerkami i udawałam, że starannie wybieram co pełniejsze okazy. Mężczyzna podszedł do lady i poprosił o cztery butelki wódki. No tak, gorzałka. Rozczarowałam się, nie wiedzieć czemu. Może liczyłam, że kupi dwa kilo bakłażanów albo truskawki, które o tej porze roku są jeszcze bardzo drogie. Uruchomiłabym wówczas wyobraźnię i zobaczyłabym go w towarzystwie jakiejś długonogiej, długowłosej i długopaznokciastej brunetki o niebieskich oczach...

Cztery flaszki to chyba pokerek? Popielniczki pełne popiołu, w pokoju dym uniemożliwiający rozpoznanie rysów twarzy sąsiada siedzącego obok, adrenalina unosząca się w powietrzu...

– Co pani tak te bułki obmacuje? – Piękną wizję przerwał mi chropowaty głos. – Brać i wychodzić, a nie robić sztuczny tłum!

Oderwałam wzrok od mężczyzny i spojrzałam na postać, która skrzeczała. Aha, to pani z bloku po prawej, ta od tego złośliwego jamnika, który gryzie bez uprzedzenia i sika gdzie popadnie. Odsunęłam się od kosza z pieczywem i znów spojrzałam w kierunku lady. Mężczyzny już nie było.

– Sztuczny tłok przy bułkach robią i potem się okazuje, że komuś zginął portfel! – kończyła pani od psa i skrzeczącego głosu. Brała po kolei do ręki wszystkie kajzerki i po chwili odkładała je z niesmakiem. – Psiakrew, wszystkie czerstwe!

Mężczyzna szamotał się przy drzwiach. Kupił cztery butelki. Dwie trzymał pod lewą pachą, trzecią i czwartą ścisnął w lewej ręce, w prawej niósł resztę

pieniędzy i jednocześnie starał się otworzyć drzwi, co było o tyle trudne, że drzwi otwierały się do środka i przy czynności przyciągania ich do siebie uruchamiała się lewa pacha i butelki niebezpiecznie się osuwały. Byłam ciekawa, co będzie dalej, ale po chwili zrobiło mi się go żal. Podeszłam więc od tyłu i usiłowałam przytrzymać mu drzwi, które zdążył uchylić. Nagły brak oporu z lewej strony sprawił, że mężczyzna się zachwiał i jedna z butelek poleciała z hukiem na podłogę. Facet jęknął, odruchowo pochylił się nad szklanymi zwłokami i wtedy stracił drugą butelkę, która jeszcze tkwiła pod jego pachą. Ta podzieliła los poprzedniczki. Gość zaklął siarczyście, wydostał się na zewnątrz, dzierżąc wciąż w jednej ręce dwie flaszki, w drugiej pieniądze. Złośliwość rzeczy martwych nie zna granic. Włożył rękę do kieszeni płaszcza, żeby pozbyć się bilonu. Rękaw mu się zaplątał. Gdy szarpał się tak sam ze sobą, wściekle usiłując wysupłać się z płaszcza (przy okazji rozebrał się z niego do połowy), nieopatrznie użył lewej ręki do pomocy. Na bruk poleciała trzecia butelka. To go uspokoiło. Zatrzymał się. Do połowy rozebrany z wierzchniego okrycia, z przekrzywionym krawatem, spocony i zły, trzasnął z całej siły czwartą butelką o chodnik.

– Panie! Co pan?! – ktoś krzyknął.

– W cholerę z nią! – wysyczał facet. – Jedna flaszka na czterech?!

Zabrzmiało to dziwacznie, bo on był sam, ale mógł mieć na myśli bardziej liczne towarzystwo, które gdzieś czekało na dostawę napojów wysokokowych. Jeszcze bardziej żal mi się go zrobiło, bo wydawał się sympatyczny.

Nie mogłam się jednak nad tym dłużej rozwodzić, bo Jurek już mógł czekać na mnie pod drzwiami mieszkania Marka.

Pojechałam autem. Gdy wysiadałam z samochodu, zatelefonował pan Przemek. Mówił coś o tej Hortensji, ale nie słuchałam, szukając nerwowo w torebce kluczy do mieszkania Marka. Jedną ręką trzymałam telefon, drugą gmerałam w torebce. Nie zauważyłam śliskiej kałuży, zachwiałam i torebka upadła mi na chodnik, a cała zawartość rozsypała się dookoła.

No, przynajmniej klucze od razu odnalazłam – pomyślałam i zaczęłam zgarniać rzeczy do torebki, cały czas żegnając się z panem Przemkiem. W tej samej chwili podszedł do mnie jakiś mężczyzna.

– Dzień dobry, może pomóc? – zaofiarował się.

Podniosłam głowę i okazało się, że to ten gość od potłuczonych flaszek. Ten sam, którego widziałam dziś, niecałą godzinę temu. Jaki zbieg okoliczności! Okazało się, że ma na imię Dawid i jest prawnikiem. W wolnym czasie instruktorem pływania. Alkohol pije okazjonalnie. Na pytanie, czy się upija, odpowiada: tak, ale ze wstrętem. Jednak najważniejsze jest to, że Dawid pracuje jako policyjny tajniak. Taki prawdziwy, a nie zagubiony w puszczy amazońskiej! Przyznał się, że został oddelegowany, żeby mnie obserwować. Czyli jednak policja przejęła się tym napadem!

Stwierdził, że to niedobrze, iż go nakryłam, jak kupował tę wódkę. Niby nic, ale koledzy z samochodu widzieli, że ze mną rozmawia, a to podobno błąd w sztuce. Ja z kolei powiedziałam mu, że idę po swoje rzeczy do mieszkania chłopaka. Chciał mi towarzyszyć, ale zaznaczyłam, że znajomy już pewnie na mnie czeka. Dawid więc zrezygnował i pozostał na dworze.

Jurek istotnie czekał już pod drzwiami. Weszliśmy do środka. Chyba nic się nie zmieniło, poprowadziłam go do tajemniczego pokoju, w którym również nie zauważyłam żadnych zmian.

– Tutaj to leżało. – Wskazałam palcem stół, na którym wałało się trochę kartek. Jurek podniósł jedną i przeczytał: „Postanowiłem o Ciebie zawalczyć, Dario. Daj mi proszę szansę na szczerą rozmowę w cztery oczy, a wszystko Ci wyjaśnię. Może jednak uda nam się zbudować coś wartościowego. Całuję, Szymon”.

Był to wydruk poczty e-mailowej, nadawca oznaczony jako Starkman. Sięgnęłam po inne kartki, których było tylko kilka.

„Jesteś nietuzinkową kobietą, Elżbieto, wybrałem Cię spośród wielu kandydatek. Jestem Tobą zachwycony. Może spotkamy się i poznamy bliżej, zanim pobniemy w dalszą znajomość? Pozdrawiam, Maciej”.

– Co to ma być? Biuro matrymonialne? – skrzywiłam się. Jakoś nie pasowało mi to do Marka. – Może to nie jego korespondencja?

Jurek nie powiedział nic, ale kartki złożył i schował do kieszeni.

– Moim zdaniem powinnaś napisać do tego Starkmana i przekonać się – rzekł poważnie.

– Znowu jakieś listy? Kolejna love story z pisaniną w tle? Chyba już nie chcę...

Rozejrzałam się dokładniej po pokoju i dostrzegłam kawałek papieru wystający spod biurka. Coś mnie w tym kawałku zaintrygowało. Kucnęłam, usiłując go wydostać spod mebla. W końcu użyłam śrubokręta, który leżał na blacie. Ostrożnie wysunęłam zakurzoną kartkę. Był to skan jednego z moich listów do Marka, ze zmienionym podpisem. Zamiast mojego „E.” widniało: „Adam”. List został przesłany drogą elektroniczną do niejakiej Marysi, dokładnie miesiąc temu.

– I co to ma być? – zdenerwowałam się. – Ten pajac posługuje się moją twórczością, żeby podrywać jakieś panienki!

– Popatrz lepiej na to. – Jurek w skupieniu studiował jakiś dokument. – To jest zdaje się wyciąg bankowy. Wiedziałaś, że twój narzeczony to milioner?

W mieszkaniu Marka spędziliśmy ponad dwie godziny. Udało nam się odnaleźć jeszcze dwa wydruki z poczty elektronicznej, na których wyraźnie posłużono się moimi tekstami. Za każdym razem podpis był inny. Wyciąg z konta bankowego na gigantyczną kwotę był opatrzony nazwiskiem Jana Kowalskiego,

ale z jakiegoś bliżej nieokreślonego powodu wydawało mi się, że to jest konto Marka.

– Wspominał, że nieźle zarabia, ale nie przypuszczałam, że aż tak – powiedziałam w zadumie. – I pomyśleć, że mogłabym zupełnie zrezygnować z pracy...

– Przestań! – szturchnął mnie Jurek. – Mnie to wszystko śmierdzi. Oby ten gamoń w coś cię nie wplątał!

Wyszliśmy stamtąd, gdy było już zupełnie ciemno. Schowałam część papierów do torebki, a Jurek dwie kartki miał w kieszeni. Już na dworze spotkaliśmy Dawida. Zdziwiłam się, bo niemożliwe, żeby przez tyle czasu stał tu i czekał. Nie zdążyłam go przedstawić Jurkowi, bo Dawid wystrzelił jak z procy:

– Macie coś? Miałaś przecież zabrać swoje rzeczy!

Intuicja podpowiedziała mi, żeby o zabranych papierach milczeć jak grób. Bez zastanowienia wyciągnęłam z kieszeni śrubokręt, który nie wiedzieć czemu, zabrałam ze sobą.

– Tak, zabrałam, ten o. – I pokazałam mu śrubokręt.

Dawida zamurowało zupełnie, a Jurek pociągnął mnie za rękaw. Pożegnaliśmy się, tłumacząc pośpiech późną porą, i wsiedliśmy do samochodu.

Gdy odjechałam kawałek, Jurek odezwał się wreszcie.

– Ten typ też mi się nie podoba. Znasz go?

– Tak, to znaczy nie – powiedziałam szybko. – To tajniak, z policji. Przydzielili mi go do ochrony.

– Do ochrony? I pozwolił ci samej iść na górę, i przejmował się potem tylko tym, co stamtąd zabrałaś?

Istotnie, mnie też wydało się to teraz dziwne. Cała ta sprawa była dziwna. Jurek doradził mi jednak, abym pod żadnym pozorem nie dała po sobie poznać, że coś podejrzewam.

15 grudnia, czwartek

Dawid przyszedł dziś do mnie do domu. Udaję, że cieszę się, iż mam osobistego ochroniarza. Dziwne to uczucie, bo przecież boję się tego mężczyzny. Jurek jest tuż za ścianą, nieco mnie to pociesza, ale jednak boję się.

Z Dawidem obchodzę się ostrożnie i na razie nie ujawniam, że mogłabym go o coś podejrzewać. Godzę się, że nie mogę powiedzieć nikomu, czego się boję, z wyjątkiem Jurka, rzecz jasna. Zobaczę, co z tego wszystkiego wyniknie, udaję, że nic mnie nie niepokoi. Może to długo nie potrwa. Moja ptaszyna pozostaje na dystans do nowego gościa. To niezwykle zachowanie, bo Bolek zwykle jest bardzo przyjazny i towarzyski. Trzeba się zatem mieć na baczności.

Napisałam do tego Starkmana, na razie nie odpowiedział. Poczekam. Jurek na wszelki wypadek przyprawia Synka na noc do mnie. Synek sypia zwykle pod

drzwiami, czuję się bezpiecznie.

16 grudnia, piątek

Facet od nowiutkiej teczki wrócił. Zaklinał się, że pani Zosia mu nie pomogła i tylko we mnie cała nadzieja. Prawie padł na kolana. Zgodziłam się, bo zagroził, że nie wyjdzie i będzie tak klęczał do śmierci, jeśli mu nie pomogę.

– Na pani szczęście to już niedługo, bo przez te dokumenty dostanę szybko zawału serca! – dramatyzował facet. – Może o to pani chodzi? Dostanie pani prowizję od kolejnego klienta!

Zaprosiłam faceta do domu i rozłożyłam karty. Wyszło mi, że wszystko dobrze się skończy i zguba się znajdzie. Uspokojony, sownie zapłacił i poszedł sobie.

Dziś wieczorem opowiedziałam wesoło o zdarzeniu Dawidowi, który przyszedł do mnie po kolacji. Synek też go nie lubi, warczy, dlatego muszę zamykać go w pokoju. Psa, nie Dawida. Natomiast Dawid po moich słowach spojrzał na mnie uważniej niż zwykle.

– Aktówka z kompromitującymi materiałami?... – Zmarszczył brwi i sięgnął po telefon. Chwilę z kimś rozmawiał, używając szyfru typu: „Wypaplał, mordę zbiję, już go nie ma, szukaj, ty gnido, nie wiem, ale jutro ma być!”

Podśledzałam go. Gdy skończył, wrócił do pokoju, popatrzył na mnie i westchnął.

– Co ja takiego w życiu zrobiłem, że muszę pracować z takimi osłami!

– W poprzednim wcieleniu wymyśliłeś spodnie dzwony – uświadomiłam go i roześmiałam się. – Przez kolejne sześć będziesz za to pokutował!

Dawid też się uśmiechnął, ale blado, i zdaje mi się, dziwnie ponuro na mnie popatrzył. Może ten gość od teczki to była jakaś prowokacja. Facet za mało się kamuflował, przez to się wygłupił i sprawa jeszcze bardziej się skomplikowała.

17 grudnia, sobota

Dziś z samego rana otrzymałam SMS-a. Od Dawida. Stało tam tak:

Aktówka będzie w skrytce na dworcu, nr 34, niech ją zabiera w cholerę i jedzie do lasu.

Aha. Domyśliłam się, że chodzi o mojego klienta od tych kompromitujących materiałów, ale Dawid, zdaje się, zapomniał, że ja nie posiadam umiejętności teleportowania się we wskazane miejsce ani nie jestem jasnowidzem. Duchów też nie wywołuję. I nie mam szklanej kuli. Jak, na litość boską, mam przekazać tę wiadomość?! Telepatycznie?! Siłą woli wepchnąć ją w eter?! Przez moment mignęła mi też myśl, skąd on niby wie, o jaką aktówkę chodzi, ale nie wnikałam w to, może istotnie to jakaś akcja policji. Zwariowałabym od tych wszystkich podejrzeń i spekulacji.

I wtedy stał się cud. Połączenie telefoniczne, nie telepatyczne.

– Czy wie pani coś na temat mojej aktówki? – zapytał klient, którego od razu poznałam po głosie.

– O, tak – ożywiłam się. – Jest w skrytce na dworcu, numer trzydzieści cztery!

– Naprawdę?! – Klient się prawie popłakał. – Naprawdę? – powtórzył.
– Pani jest jasnowidzem!

– Nie – uśmiechnęłam się. – A teraz niech mnie pan posłucha. Proszę ją czym prędzej stamtąd zabrać i jechać na grzyby!

– Jak to na grzyby? Na jakie grzyby?

– Nie wiem, podgrzybki, maślaki, muchomory, wszystko jedno. Niech pan jedzie!

– Na długo?

– Do odwołania!

– Aha. To pojedę.

Klient rozłączył się, a ja się uśmiechnęłam do pana Pawełka, który ubierał się do ceremonii. Starkman wciąż się nie odezwał.

23 grudnia, piątek

Ostatni dzień w pracy przed świętami. Jutro mam już wolne. Dziś rano pojawił się u nas w biurze młody człowiek w garniturze i krawacie. Usiadł na kanapie i zaczął przeglądać katalog z trumnami. Ten katalog to pomysł Beaty. Nie pojawiała się przez jakiś czas, a teraz pracuje za dziesięć. Ja nie wtrącam się, to pani Danusia ją rozlicza, nie ja.

Beata namówiła panią Danusię do wprowadzenia kolejnych udogodnień i innowacji w zakładzie. Ależ ona ma dar przekonywania!

I tak mamy katalog trumien, spory wybór ubrań trumiennych dla obu płci, pościel trumienną w pięciu kolorach (Beata zaproponowała, żeby szyć pościel na miejscu, ale jakoś nikt z nas nie umiał sobie wyobrazić siebie przy maszynie, a pani Danusia stanowczo sprzeciwiła się zatrudnieniu kogokolwiek), jest katalog kwiatów i wiązanek, a ponadto szeroki wybór nagrobków. Beata zaproponowała założenie strony internetowej, na której znalazłyby się wszystkie propozycje w wersji wirtualnej, i ponadto klienci mogliby skorzystać z opcji zwizualizowania zarówno ceremonii, jak i nagrobka. To całkiem fajny pomysł, bo czasem trudno klientom pokazać wszystko naraz. Beatę poniosła wena i zaproponowała, aby dom pogrzebowy „Zaciszę” wszedł we współpracę z jakimś ogrodnikiem, który by zadbał o posadzenie roślin na grobie zmarłego. A wszystko dałoby się załatwić bardzo szybko, przez internet.

Klient na razie zapoznał się z wydrukowanym katalogiem, wybrał trumnę, wyściełanie, okucia, muzykę, kwiaty i kolor szarfy na wieńcach. Obliczyłam

wszystko i musiałam w końcu zadać to pytanie:

– Gdzie znajduje się ciało?

Mężczyzna popatrzył na mnie beznamiętnie i odpowiedział:

– Tu. To ja jestem tym ciałem.

Wgapiłam się w niego przez dłuższą chwilę i chyba nawet przestałam oddychać.

– Pan?! Przecież pan żyje?!

– Ale nie wiem, jak długo – odparł spokojnie klient. – Ja lubię być zawsze dobrze przygotowany. Potem okazało się, że moja rodzina zapomniała o tym czy o tamtym, a to jest przecież niedopuszczalne. Ja, proszę pani, lubię ład i porządek. To ile mam zapłacić?

Nawet nie wiedziałam, jak wystawić mu rachunek, kiedy przyszła Beata i natychmiast uznała, że to świetny pomysł: przedpłacony pogrzeb.

– Klienci mogliby wybrać sobie wszystkie elementy na spokojnie, za życia – entuzjazmowała się Beata. – Mogliby ustalić, jaki chcą mieć nagrobek, mogliby sami pielęgnować róże, by potem nie było zmartwienia, że nic nie rośnie, bo rodzina nie mogła się zdecydować. Genialne!

– Ja uważam, że to raczej makabryczne – wtrąciłam z przekąsem. – I co? Może jeszcze zaproponujemy, aby ludzie umieszczali taką propozycję na listach prezentów weselnych? Chcesz mi zrobić prezent? Kup pakiet pogrzebowy!

Beata aż klasnęła w dłonie.

– Bomba! No, po prostu bomba! *Funeral box!* Nagrobek, trumna i kwiaty w pakiecie, przy zakupie ubrania do trumny rośliny do posadzenia gratis. To będzie hit!

Jestem bardzo sceptycznie nastawiona do tego pomysłu. Mam nadzieję, że Beata przypisze zasługi wyłącznie sobie, bo nie chciałabym stracić tej pracy.

24 grudnia, sobota

Urządziliśmy wspólną Wigilię: mój ojciec, Roksana, Jurek i jego babcia, i ja. Zaprosiłam też panią Danusię z Mateuszem. W tym roku zima sprawiła przyjemność nam wszystkim i sypnęła śniegiem. Prawdziwe białe Boże Narodzenie. Było miło, wesoło i bardzo rodzinnie. Potem udaliśmy się wszyscy na pasterkę, do kościoła i księdza Rafała. Przyjechaliśmy trochę za wcześnie i udało nam się przyłapać księdza proboszcza, który trzymał w ręce pęk zielonych trawek, takiej roślinki. Stał obok siostry zakonnej, która uprzątała ziemię i szczątki potłuczonej doniczki. Proboszcz się niecierpliwił, bo zbliżał się czas, by już się przygotowywać do mszy, a siostra sprzątała bardzo dokładnie i zarazem wolno. Wreszcie cierpliwość księdza się wyczerpała. Wysunął rękę z trawkami przed siebie i powiedział swoim dobitnym głosem, w pograżonym w ciszy kościele:

– No, już! Niech sobie to siostra wreszcie gdzieś wsadzi!

Potem odbyło się nabożeństwo, które miał uświetnić śpiew chóru parafialnego. Na wejście przewidziano piękną kolędę *Lulajże, Jezuniu* w wykonaniu solistki i chóru. Kobieta stanęła przed audytorium i zaczęła:

– Lulajże, lulajże, lulajże, lulajże...

Chór jej wtórował, nucąc w tle:

– Lulajże, lulajże, lulajże, lulajże...

Zrobiła się świąteczna atmosfera, nastrój. Problem polegał na tym, że pani solistka wciąż powtarzała samo „lulajże”, a chór zgodnie za nią. Trwało to i trwało. Zacięła się chyba z tremy. Wreszcie ksiądz proboszcz, który celebrował mszę, przerwał dziwny wstęp słowami:

– Nie będziemy się już więcej lulać! Pan z wami!

Cudny jest ten nastrój nocnej mszy, ciszy na zewnątrz, którą przerywało tylko skrzypienie śniegu pod butami. Jutro Boże Narodzenie. Święto, którego nie lubiłam do tej pory, i wydawać by się mogło, że nie mam powodów, by to nastawienie zmieniać. Znów jestem samotna, nie mam ukochanego mężczyzny przy sobie, nie mam przyjemnych wspomnień związanych z Wigilią Bożego Narodzenia, bo wspomnienie tych najbardziej odległych jest zbyt bolesne. A jednak w tym roku coś się zmieniło.

Obecność przyjaciół, którzy zawsze są przy mnie, całkowicie mi to zrekompensowała. Nie jestem sama. Nigdy nie byłam. Po prostu nie dostrzegałam i nie doceniałam tego, co życie dało mi w darze. Teraz przyszedł czas, by to pojąć i cieszyć się tym. Najpiękniejszy prezent na Boże Narodzenie.

26 grudnia, poniedziałek

Starkman odpisał. Nic oryginalnego: jestem podobno bardzo interesująca i nietuzinkowa, chciałby się ze mną spotkać, porozmawiać, zanim pobrniemy dalej. Czy on wszystkim odpisuje to samo? To chyba jakiś oszust matrymonialny, tylko co ma z tym wspólnego Marek? Nie lubię takich typów. Założyłam dziś kilka kolejnych kont poczty internetowej i wysłałam zachętki do Starkmana. Czuję się, jakbym chodziła do podstawówki!

27 grudnia, wtorek

To było do przewidzenia. Starkman wszystkim „moim” bohaterkom odpisał to samo. Na razie to żadne przestępstwo, raczej nuda. Ja natomiast odpowiedziałam w różny sposób, w jednej z wiadomości nawet go porządnie zelżyłam!

28 grudnia, środa

Pan Przemek oświadczył się w święta. Wedle jego relacji wybranka ujrzała go w nowym garniturze, klękającego przed nią w restauracji wypełnionej ludźmi, w asyście kelnera trzymającego w pogotowiu szampana i przygrywającej kapeli.

Wygłosił ułożony przez siebie wiersz miłosny, zakończony przewidywalnym pytaniem, po którym ona wyszeptwała:

– Ależ tak!

Ślub zaplanowali na lipiec, teraz pan Przemek podejmuje starania, aby znaleźć mi towarzysza, w jego mniemaniu – nie tylko na weselną zabawę. Krótką informację, że zawiodłam się na Marku i postanowiłam na razie nie szukać nikogo innego, przyjął dość radośnie i po swojemu próbował mnie pocieszyć, mówiąc:

– To był straszny frajer! Są inni na tym świecie!

Z ciekawostek, wróżyłam ostatnio kobiecie, znajomej Roksany. Bardzo mnie o to prosiła, więc tymczasowo odkurzyłam karty. Kobieta pytała mnie, czy jej mąż zgodzi się funkcjonować w tak zwanym białym małżeństwie, czyli związku bez relacji intymnej. Karty uparcie twierdziły, że nie, ona uparcie domagała się rozłożenia ich raz jeszcze, bo to nie może być prawda. Po jedenastej próbie uznała, że takie wróżenie nie ma sensu i sięgnęła po telefon. Mąż, jak wynikało z rozmowy, był akurat w trakcie montowania rusztowania przy budynku. Całe szczęście, że pracował w zabezpieczeniu, bo to, co zakomunikowała mu żona, na pewno zważyło go z nóg. Nie trzeba być wróżką, żeby przewidzieć, co będzie dalej.

Na jutro zapowiedziała się też klientka, która wierzy w duchy. Przychodziła do mnie wcześniej i nie dociera do niej, że już nie pracuję jako wróżka. Ciekawe, czyjego ducha widziała tym razem i o co mnie będzie pytać. Ostatnio była to jej dawno zmarła ciotka, która chciała wiedzieć, gdzie pochowany jest jej mąż, choć rodzina – w tym ta klientka – miała pewność, że owa ciotka nigdy nie była zamężna.

Starkman pisze nawet do tej niegrzecznej! Domaga się zdjęć. Wysłałam mu kilka swoich po retuszu wykonanych przez Roksanę. Sama siebie nie poznałam. Czekam, która przypadnie mu do gustu.

29 grudnia, czwartek

Zdaje się, że moje rozstanie z Markiem podziało na niektóre osoby niczym impuls elektryczny. Mój ojciec znów rozpoczął organizowanie castingów pod hasłem: „Szukamy męża dla Emilki!”. Jakie kryteria zostały wyznaczone? Wolny i bogaty, bo jak wiadomo, jeśli bogaty, to ładny!

Zabawnie wyszło podczas corocznego zjazdu u babci, tym razem po świętach, kiedy mój ojciec przemawiał przed zacnym rodzinnym gronem i udowadniał, że praca w zakładzie pogrzebowym to już coś, ale to jeszcze za mało. W tej samej chwili babcia zauważyła, że mole rozmnożyły się w kaszy i fruwają wszędzie dookoła. Gdy ojciec mówił o samodzielności i stabilizacji, babcia machnęła ręką na mola, a moja ciotka, która miała na myśli swoje dwie trzydziestoletnie córki, dodała, że to prawda, one także muszą się wreszcie

usamodzielnić. W tej samej chwili babcia zapytała: „Kto? Mole?”. I wszyscy przez moment uważnie przyglądali się latającym owadom.

Temat związku wrócił. I tak, zaraz po południu, zaaranżowano dla mnie spotkanie z pewnym rolnikiem ze wsi położonej niedaleko Białegostoku. Nastąpiła chyba moda na rolników – partnerów. Dawniej rozglądano się za prawnikami, lekarzami, biznesmenami, teraz rolnicy stoją najwyżej w rankingach. Ten pan, w wieku bliżej nieokreślonym, wdowiec, ojciec szóstki dzieci, w tym tylko dwojga niepełnoletnich, wyraził chęć związania się ze mną od zaraz. Nawet moja profesja go nie odstraszyła, bo – jak stwierdził – solidna praca na świeżym powietrzu sprawi, że te „głupoty” szybko wywietrzeją mi z głowy. Do ogarnięcia, bagatelka, czterdzieści hektarów pola i około dwustu krów.

Rozmawialiśmy głównie na temat jego garderoby. Przyszłej. Pan bowiem postanowił kupić sobie dwie bele materiału i uszyć dwa zestawy. Zasugerowałam, żeby nabył w różnych kolorach, to będzie mógł łączyć je ze sobą i w ten sposób będzie miał cztery zamiast dwóch. Ucieszył się i pochwalił mnie za gospodarność. Co ja narobiłam! Wieczorem wróciliśmy do domu. Może ten rolnik mnie nie znajdzie?

Starkmanowi podobają się wszystkie. Chce się spotkać tuż po Nowym Roku. Ciekawa jestem tego gościa. Własnych zdjęć nie przesłał, bo podobno pracuje na bardzo eksponowanym stanowisku. Wszystko to mi przypomina przebrzmiałą już historię z randkowaniem. Taka sobie, płaska zabawa na krótką metę. Roksana namawiała mnie do powrotu na portale randkowe, proszę bardzo, bez rejestrowania się mam to samo!

Jurek doniósł mi, że poprosił jakiegoś swojego znajomego, by spróbował ustalić coś na podstawie tego wyciągu. Może to trochę rozjaśni całą sytuację.

31 grudnia, sobota

Dawid zaproponował wspólne wyjście do znajomych. Powiedział, że już nie musi się ukrywać ze znajomością mojej osoby. Koniec obserwacji. Zarazem twierdził, że bardzo mu się podobam i zadam szyku wśród jego przyjaciół.

Jurek odradzał mi wyjście, ale przecież będziemy wśród wielu osób, raczej nie powinno mi się nic stać. Ciekawość zwyciężyła.

Niewinne wyjście do znajomych okazało się jednak przyjęciem na sto osób. No cóż, mogłam się domyślić, w końcu to sylwester. Panowie w drogich garniturach, panie w superdrogich sukienkach – i ja w kiecce w groszki za sześćdziesiąt złotych. Niezręcznie się czułam, nie znałam nikogo i nikt nie znał mnie. Ponadto całe to grono wydawało mi się jakieś inne, nieprzystępnie odległe, jakby z innego świata. A Dawid od razu gdzieś zniknął. Snułam się więc między stolikami, skubiąc sushi od czasu do czasu, gdy nagle rozległo się tuż za moimi plecami:

– To pani?! Matko jedyna, to pani?!

Odwróciłam się z zainteresowaniem, bo ani chybi jakaś gwiazda dołączyła do tego zacnego grona. Jakież było moje zdumienie, gdy w krzyczącym rozpoznałam klienta od pamiętnej aktówki. Facet prawie klęczał przede mną, a na domiar złego zwracał się per „Pani wróżko, jedyna, kochana, nieomylna!”.

Szybko rozeszło się w towarzystwie, czym się niby zajmuję, i moje nieśmiałe protesty, że już nie, że teraz pracuję w zakładzie pogrzebowym, tylko wywoływały salwy śmiechu i oklaski. Wkrótce ustawiła się kolejka chętnych, nawet karty się znalazły. Kiedy może być lepszy czas na stawianie kabały, jeśli nie w sylwestra!

Byli zaskoczeni, potem zauroczeni, wreszcie chcieli wiedzieć wszystko. Zaskoczenie brało się stąd, że wśród przybyłych znalazło się wielu sceptyków, którzy zadawali pytania, na które doskonale znali odpowiedź i chcieli mnie sprawdzić lub raczej zdemaskować. Czułam się osaczona i zarazem chciałam jakoś wybrnąć z tej niezręcznej dla siebie sytuacji. Oni przecież potraktowali mnie jak maskotkę, rozrywkę na wieczór.

Wszystkie moje wróżby okazały się trafne. Gospodarze pęcznieli z dumy, choć wcześniej nawet nie mieli pojęcia, kim jestem, pozostali biesiadnicy otwierali usta ze zdziwienia, a ja pogrążałam się w darmowej i niechcianej pracy. Ku mojej mściwej satysfakcji komuś spadła sałatka na spodnie, gdy sprawdzałam, czy jednego gościa przyjmą do pracy. Potem jedną panią oblano piwem, gdy stawiałam karty na wynik meczu, w końcu popchnięto kogoś na ciasto, gdy rozkładałam karty, czy jeden taki z sygnetem na palcu zdradza żonę. Ale w pewnej chwili jeden z gości, postawny pan w garniturze i z cygarem w ręce, który do tej pory siedział na kanapie w towarzystwie dwóch połyskujących biżuterią koleżanek, powiedział:

– Sprawdź mi, kochana, czy moje jutrzejsze plany się powiodą.

Zapadła cisza. Wszystkie oczy były zwrócone na mnie. Oczy Dawida, który wyłonił się nie wiadomo skąd,omal nie wyszły z orbit, kiedy rozkładałam karty. Część osób stuknęła się głowami, pochylając się nad stolikiem.

– Tak – odpowiedziałam stanowczo. – Powiodą się, ale to wcale nie będzie koniec tej sprawy. Ona ma drugie dno.

Pan z cygarem zrzucił z kolan długonogą brunetkę i zmarszczył brwi.

– Dokończ.

Nikt się nie odzywał. W powietrzu coś wisiało.

– Cała ta sprawa jest dobrze zorganizowana i wszystko się uda. Ale w pana otoczeniu jest człowiek, który kłamie. On spowoduje, że sukces przerodzi się w porażkę. Widzę kłopoty.

– Mów dalej.

– No cóż, to jest człowiek kameleon, przybiera różne maski. Powinien pan się z nim rozprawić, raz a dobrze, jemu nie wolno ufać! Poza tym niech się pan

wystrzega kobiety, blondynki. Nie pokona jej pan, ona ma zbyt silnych sprzymierzeńców. Lepiej ustąpić pola, niż potem żałować.

Mężczyzna pokiwał głową w zamyśleniu, potem skinął na kogoś, kto podszedł do niego i nachylił się. Ten, któremu wróżyłam, powiedział mu coś szeptem. Przybyły szybko się oddalił, a nikt, łącznie ze mną, nie zauważył, że właśnie minęła północ!

Potem Dawid odwiózł mnie do domu. Nie powiedział ani słowa. Po prostu otwierał przede mną kolejne drzwi i czekał w milczeniu. Wróżenie i karty to jednak przekleństwo. Kolejny facet zraził się do mnie z tego powodu. Gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi swojego mieszkania, zapukał Jurek. Niecierpliwie czekał, aż wrócę. Niewiele mogłam mu opowiedzieć. Nic specjalnego przecież się nie wydarzyło. Wznieśliśmy więc spóźniony toast i wypowiedzieliśmy życzenie: „Oby ten rok nie był gorszy od poprzedniego i obfitował w wiele doświadczeń, bo co nas nie zabije, to nas wzmocni!”.

6 stycznia, piątek

Dziś rano, gdy się obudziłam, pierwszą osobą, która zatelefonowała, był... pan Przemek. Z prawdziwą przyjemnością wysłuchałam jego narzekań, jakie to on ma ciężkie życie, jak to mi się w głowie poprzewracało i nie pamiętam już o dawnych znajomych, jak to jemu wiatr w oczy i tak dalej. Nie powiedział oczywiście nic konkretnego, ale chyba z tą Hortensją coś się nie ułożyło w sylwestra.

Uśmiechałam się do siebie, bo przecież to jest właśnie moje życie. Trochę nudne, trochę przasne, złożone z konieczności ciągłego zdobywania środków do życia, pieniędzy, które muszę zarobić, a nie dostać czy znaleźć na stole, i z takich panów Przemków, wiecznie narzekających. Ubrałam się i wyszłam z domu. W pracy wzięłam sobie dziś i jutro wolne. Bo dziś i jutro spotkam się z tajemniczym Starkmanem!

wieczorem

Notuję bez komentarza, bo nie stać mnie w tej chwili na nic innego. Starkman to Marek. Przyszedł do kawiarni i trzymał w ręce umówiony znak: różowy goździk. Zobaczył mnie, bo nawet nie chciało mi się udawać. Tłumaczył, że mu odbiło, że ma jakieś problemy emocjonalne ze sobą, że to tylko tak, aby się po męsku dowartościować, że jestem dla niego ważna. Takie beznadziejne bzdury.

Czasem naprawdę lepiej nie wiedzieć. Nie chciałam już patrzeć mu w oczy.

7 stycznia, sobota

Jestem wredna. Jestem na niego zła i przez to staję się wredna. Pisałam z kilku kont, jedno spalone, bo się spotkaliśmy. Ale co do pozostałych, chyba się

nie domyśla, że to ja. Bawiłam się już tak z Jackiem Frostem, mogę pobawić się z Markiem. Co mi pozostało? Jestem dobra w te klocki, przegonię go po kilku knajpach, zdrwię z niego. Co użyję, to moje. Cóż mi pozostało?

8 stycznia, niedziela

On jednak jest cwany. Na dwóch kontach zahaczył mnie jako mnie. Przyznałam się, bo nabrałby podejrzeń. Potem nastąpiła ckliwa rozmowa telefoniczna, podczas której dałam mu ostatnią szansę. Mamy spotkać się jutro, u mnie w domu.

Ale pozostały mi jeszcze dwa konta: Daria i Partycja. Tu nie zdradziłam się, że to ja. Ciekawe, z którą się umówi równolegle. Roksana aż kwiczała z radości, że znów knuję intrygi. Chętnie weźmie udział. Problem w tym, że Marek ją zna. Muszę się zastanowić, jak to sprytnie rozegrać.

9 stycznia, poniedziałek

Bukiet róż, łzawe przeprosiny, klasyka gatunku. Oczywiście wrzuciłam się i zgodziłam, by wrócił na moje łono, uprzednio przyjmując solenne zapewnienie, że już nigdy z żadną. Marek powiadomił mnie jeszcze, że jutro jedzie służbowo do Kopenhagi i jak tylko wróci, to mi wszystko wynagrodzi.

Gdy wyszedł, sprawdziłam pocztę. Wiadomość wysłana z telefonu. Na pierwszy ogień idzie Patrycja, spotkanie we wtorek. Pewnie w Kopenhadze.

Poprosiłam Roksanę, by odegrała rolę Patrycji. Wysłała mu jedno ze swoich podretuszowanych zdjęć. Ja pozostanę na deser, jako Daria. Obserwuję to wszystko jak w ekranie telewizora. Ot, kolejny film z gatunku komedia romantyczna.

Nie wzbudza to już we mnie żadnych emocji. Skasowałam numer i wspomnienie o Marku. Zawsze kasuję.

10 stycznia, wtorek

W pracy pan Pawełek powiedział mi, że w piątek przyszedł ten klient od kota. Przyniósł go w takiej torbie na zakupy, postawił na stole i wyszedł przestawić samochód w inne miejsce. W tej samej chwili minął się w drzwiach z klientką, która przyszła pozałatwiać formalności dotyczące pogrzebu swojego zmarłego brata. Pech chciał, że niosła bardzo podobną torbę. Gdy cała ceremonia dla kota była już gotowa, pan Pawełek wziął torbę stojącą na stole i ją zabrał. Nie zaglądał do środka, bo i po co. Pani załatwiła, co chciała, i wyszła także z torbą. Po dobrych dwóch godzinach wróciła roztrzęsiona, pokazując zawartość torby, którą ze sobą wyniosła. Znajdował się w niej zdechły kot.

Nie mogłam powstrzymać parsknięcia. Wyobraziłam sobie bowiem, jak pan Pawełek i mistrz ceremonii żegnają razem ze zbolałym klientem kapustę i pęczek marchewki. Kota, oczywiście, skremowali i podobno nikt się o tym nie dowiedział.

Tylko ta pani od torby zastanawiała się przez dłuższą chwilę, czy nie zmienić jednak zakładu pogrzebowego.

11 stycznia, środa

Roksana o niespożytych siłach poznała równocześnie kolejnego mężczyznę, niejakiego Radosława, który, jak nam to zrelacjonowała, wyróżniał się tym, że zawsze prześladował go pech. Gdy przechodził przez ulicę, nieuchronnie czyjś samochód tak przejechał, że go ochlapał wodą z kałuży, nawet w najbardziej suchy dzień, każda winda, do której wsiadł, zaciniała się od razu, autobusy odjeżdżały mu sprzed nosa i zawsze w zakupach trafił mu się zgniły kartofel. Wczoraj umówił się z Roksaną na randkę w centrum, ale nie zauważył, że wsiadł do autobusu, który zatrzymuje się tylko na wybranych przystankach, i jedynie zdołał pomachać jej przez okno, kiedy pojazd zatrzymał się na światłach.

Poszłyśmy obie do klubu o wdzięcznej nazwie Morfina i czekałyśmy na Marka. Tym razem znakiem rozpoznawczym miał być zielony szalik. Usiadłyśmy w samym końcu sali i czekałyśmy. O umówionej godzinie do lokalu wszedł facet, ustrojony w zielony szalik, ale nie był to Marek, ale wedle opinii Roksany ten facet z purchlem.

– Szybko, załóż na głowę czapkę! – syknęłam do przyjaciółki.

– Ale po co? Przecież tu ciepło... – zaprotestowała w pierwszej chwili Roksana, ale zaraz spełniła moje polecenie. Facet postął, popatrzył, widocznie widok dwóch pochylonych do siebie bab w nasuniętych na czoło czapkach nie wzbudził w nim zainteresowania, bo okręcił się na pięcie i wyszedł.

– Chodu za nim! – wychrypiałam. Roksana tylko kwiknęła.

Facet przeszedł na drugą stronę ulicy i skierował się w stronę małej, wąskiej uliczki. Szedł przez chwilę, a potem zatrzymał przed jakimś lokalem, którego drzwi znajdowały się przy samej ulicy. Następnie nacisnął guziczek domofonu. Nic. Odczekał chwilę i ponownie zadzwonił. Znowu nic. Przyjrzał się drzwiom, nie wiedzieć czemu mściwie, i nacisnął guzik mocniej i dłużej.

– Jeśli zaraz nie otworzą, to weźmie tego pagaja ze śmietnika, podeprze nim drzwi i dopiero będą mieli! – powiedziałam szeptem do Roksany. Obserwowałyśmy faceta zza rogu. Po chwili ktoś jednak otworzył i drab wszedł do środka.

Popatrzyłyśmy na siebie niepewnie. Mógł tam zostać krótko, a mógł siedzieć przez miesiąc, nie wychodząc. Nie wiedziałam, co zrobić, bo zaskoczyło mnie to zupełnie. Kiedy po chwili postanowiłam, że trudno, idziemy, nie będziemy tu stały jak głupie, Roksana nadepnęła na stopę stojącego tuż za nią Dawida.

12 stycznia, czwartek

– Też jest się za kim uganiać! – powiedziała pani Danusia. – To jakiś głąb!

Pluń, kochana, na niego! Mało to facetów dookoła?

– Takich jak on, mało! – zaprotestowałam.

Opowiedziałam wszystkim o tych wczorajszych przygodach oraz zapowiedziałam, że tak łatwo mu nie daruję.

– Jasne, że mało. Takiego idioty ze świecą szukać! – zachichotał pan Pawełek. – Pracował tu u nas kiedyś taki jeden gość. Kobiety za nim szalały, a on któregoś dnia narzekał, że słońce go razi, bo nie zauważył, że wypadło mu jedno szkło z okularów przeciwsłonecznych, taki był z niego głupek! I zboczeniec! Nagie martwe kobiety obmacywał!

– Zboczeniec może być interesujący... – rozmarzyła się pani Danusia. – Oni podobno wyróżniają się wspaniałą wyobraźnią, są bardzo kreatywni, pomysłowi...

Interesującą rozmowę przerwał nam, jak zwykle, klient, który przyszedł zamówić pogrzeb i manicure dla zmarłej nieboszczki.

Nie odpuścę. Marek ma jednak coś wspólnego z facetem od purchli. Uruchomiłam Darię, z którą ma się spotkać w plenerze w sobotę. Randka w parku. Przy ludziach mu urządzę taką awanturę, że się nie pozbiera. Oszust matrymonialny!

Ale Dawid też mnie niepokoi, skąd on się tam wziął, udał, że przypadkiem przechodził i zaraz potem uciekł. Strasznie to wszystko zagmatwane i podejrzane!

14 stycznia, sobota

Pan Przemek wybiera się w weekend do Hortensji. Pogodzili się. Tymczasem ona nagle napisała mi, że jest jednak gotowa wykonać zamówienie, ale cena za wyroby wzrosnie. Za gliniany dzbanek na wodę żąda teraz trzysta pięćdziesiąt złotych!

Słupki od ogrodzenia znów zaczęły ginać. Jutro nadzwyczajne zebranie rady osiedla w tej sprawie. Pójdę razem z sąsiadem z parteru, jako przedstawiciele naszego budynku. Słupki znajdują się wprawdzie po stronie tych z osiedla, ale będziemy solidarni.

Ojciec coraz częściej zaprasza panią Danusią na herbatę. Cieszę się z tego, bo od jakiegoś czasu przestał mi dokuczać i stał się w ogóle miłszy. Już mi nie dogaduje, że niby taka mądrała ze mnie, a wciąż jestem sama jak ten kołek w płocie. Pani Danuta rzadziej też zagląda do zakładu.

Beata znów się objawiła. Wymyśliła ostatnio, żeby robić co jakiś czas akcje promocyjne, na przykład dwie trumny w cenie jednej, darmowy manicure w zakładzie pogrzebowym (oczywiście dla żywych), oprowadzanie po kostnicy (dla chętnych) i salonik porad dla zbolełej rodziny.

Tego ostatniego nie rozumiem, ale chyba chodzi o rodzaj psychicznego wsparcia czy coś w tym rodzaju. A może zajmie się także takimi klientami jak ci, którzy dziś mieli uczestniczyć w pogrzebie swojego dziadka, ale zupełnie o tym

zapomnieli. Pan Pawełek powiedział, że skonsternowany ksiądz nie wiedział, czy rozpoczynać mszę, czy nie, więc Mateusz zatelefonował do córki zmarłego. Ona akurat siedziała u fryzjera. Gdy uprzytomniła sobie pomyłkę, wypadła z salonu z mokrą głową i tak jak stała, przyjechała na pogrzeb. Na miejscu dołączyli do niej pozostali członkowie rodziny, każdy oderwany od jakiejś czynności. I tak jeden przyjechał w dresie, bo właśnie biegał, drugi pojawił się w stroju roboczym pracownika służby oczyszczania miasta, ktoś inny w kolorowej kurtce. Za to wszystkich jednakowo zmoczył deszcz, gdy stanęli pod kościołem. Deszcz był gwałtowny, krótki i pomieszany ze śniegiem. Zaraz potem wyrzało słońce. Przypadkowi ludzie na cmentarzu obserwowali niespotykany pochód trzęsących się z zimna, dziwnie ubranych żałobników.

Jurek przyniósł dziś dobrą nowinę, ksiądz Rafał poznał go z redaktorem naczelnym jednego z bardziej poczytnych pism. Jurek będzie mógł drukować na łamach tego pisma fragmenty swoich utworów zarówno wierszy, jak i erotyków, o prozie nie wspomnę. Jego twórczość bardzo się spodobała, a tak przy okazji, to ów redaktor wspominał, że otrzymali setki listów od czytelników domagających się kontynuacji jakiejś powieści o wampirach, która była czytana w telewizji. Zatem oprócz książeczki dla dzieci Jurek opublikuje więcej swojej twórczości. A tak się jeszcze niedawno martwił, że nic z tego nie będzie!

Na razie ustalili, że nazwisko widniejące na wyciągu bankowym jest nieprawdziwe, to znaczy nie istnieje osoba, która odpowiadałaby innym danym skojarzonym z tym rachunkiem. Niewykluczone że policja się tym zajmie.

Ksiądz Rafał to dobry człowiek, skrzywił się trochę, że czasem wróżę, ale przekonywałam go, że to jest teraz bardziej poradnictwo niż wróżenie.

– Karty, proszę księdza, wprowadzają ten element magii, który jest czasem ludziom potrzebny – perswadowałam. – Oni chcą wierzyć, że działa jakaś Siła Wyższa, która jest bardziej łaskawa nieść nadzieję niż sama wiara. Karty to w istocie rzeczy tylko atrybut, rekwizyt, który ułatwia rozmowę. Gdy komuś trudno klęknąć przy konfesjonale, a potrzeba wyjaśnienia, rozgrzeszenia czy nadziei jest gigantyczna – tę przestrzeń wypełniają wróżby, zaklęcia, rytuały i inne obrzędy, które niekoniecznie są łatwe, ale dają ten upragniony margines błędu. W każdej chwili można zasłonić się stwierdzeniem, „że to tylko karty, które można kupić w kiosku, co one tam wiedzą!” albo że świeczka z supermarketu widocznie nie ma takiej mocy jak trzeba. Ludzie wolą mieć się wróżbami i przesadami, przy całym swoim pragmatyzmie i racjonalizmie, bo tak jest wygodniej, bo w ten sposób można uchylić się od odpowiedzialności. Może mnie uda się ich przekonać, że to iluzja, bo wiarę i nadzieję można odnaleźć tylko w sobie. Wszak jesteśmy stworzeni na wzór i podobieństwo Tego Najwyższego, zatem On zawsze jest obecny w nas.

15 stycznia, niedziela

Marek nie przyszedł na randkę, napisał Darii, że coś mu wypadło. Na szczęście przeczytałam wiadomość przed wyjściem z domu.

W sprawie słupków podjęto męską decyzję. Kilka osób zaczai się w nocy i złapie złodzieja na gorącym uczynku. Czaty zostaną zorganizowane na balkonie pani z parteru, której okna i balkon wychodzą właśnie na newralgiczną część ogrodzenia. Doskonały punkt obserwacyjny. Początek akcji: godzina dwudziesta

wieczorem

Wyłoniono komitet śledczy, złożony z czterech pań i dwóch panów: pani z parteru – właścicielki mieszkania, w którym się ulokowano, pani z administracji, pani z rady osiedla i mnie oraz z męża pani z rady osiedla i pana, który na zebraniach mieszkańców zawsze zabiera głos. Postanowiono, że wybrana delegacja zbierze się w mieszkaniu pani z parteru i w dość przyjemnych okolicznościach przeszklonego balkonu dokona komisyjnego podglądu w celu złapania złodzieja na gorącym uczynku. Pani z parteru słusznie zauważyła, że obserwacja może potrwać, a oczekiwanie w napięciu wyczerpuje. Dlatego też pani z rady osiedla i jej mąż oraz pan z zebrania udali się do pobliskiego sklepu po aprowizację. Jak poszli, tak zginęli. Nie było ich tak długo, że reszta komitetu zaczęła rozważać potrzebę zorganizowania akcji poszukiwawczej. Pani z parteru i ja pozostałyśmy na miejscu, a pani z administracji udała się szukać pozostałych. Ściemniało się. Pani z parteru pomyślała, że zanim zapadnie zmrok, tak wygodny dla każdego przestępcy, zdąży jeszcze zaparzyć kawę. Poszła więc do kuchni. Gdy po paru minutach wróciła i spojrzała przelotnie przez okno, nie mogła uwierzyć własnym oczom. W ogrodzeniu brakowało dwóch słupków! W tej samej chwili zaterkotał domofon. Wrócili państwo wysłani po prowiant.

– Nie ma! No nie ma! – gorączkowała się pani z parteru. – Ja wyszłam tylko kawę sobie zrobić, no dosłownie na pół sekundy, i nie ma!

Zrobiło mi się głupio, bo gdy ona poszła robić tę kawę, to ja pisałam SMS-a do Roksany, że nie mogę rozmawiać.

– A co się stało? – zapytała pani z rady osiedla.

– No, jak kamfora zupełnie! – zacięła się pani z parteru. – Nie ma! No mówię państwu, nie ma!

Obecni rozejrzeli się po pokoju. Nie dało się ukryć, że brakowało pani z administracji, i nieznośna myśl, jakoby właśnie ona zdematerializowała się w ciągu pół sekundy, nie dawała im spokoju.

– Może wyszła?... – zaczął nieśmiało mąż pani z rady osiedla.

Pani z parteru była tak przejęta, że nawet nie zwróciła uwagi na nieadekwatną końcówkę czasownika.

– Ale jak wyszła! Nóg dostała czy co?!

Ta odpowiedź wzbudziła lekką konsternację, bo wątpić, czy pani z administracji posiada nogi, nie było absolutnie właściwe.

– Przecież ma nogi... – zaczął pan z zebrania. – Sam widziałem... Takie trochę chude...

Pani z parteru zamilkła. Ale tylko na chwilę.

– Głupią pan ze mnie robi czy co? Jakie nogi? Słupek ogrodzeniowy ma chude nogi?! I co jeszcze? Głowę, ręce i wydatny nos?!

Niepotrzebnej zupełnie dyskusji na temat anatomii słupków ogrodzeniowych przeszkodził okrzyk pani z rady osiedla:

– Słupki poginęły!

Panowie jak na komendę rzucili się do okna. Stukając nosami w szybę, patrzyli i nie mogli uwierzyć w to, co widzą. Pani z parteru triumfowała.

– A nie mówiłam, że nie dostały nóg! Nie dalej jak sekundę temu jakieś łobuzy ukradły!

Mąż pani z rady osiedla podrapał się po głowie i powiedział:

– Jak oni zdążyli? Przecież ludzie z psami jeszcze chodzą, taki słupek trochę waży, do kieszeni się nie weźmie!

– A gdzie jest pani z administracji? I dlaczego one nie patrzyły? – zauważyła z pretensją pani z rady osiedla i wycelowała oskarżycielski palec w stronę pani z parteru i moją. Obecni popatrzyli na siebie. Pani z administracji wciąż przecież nie było. Wzrok spoczął na pani z parteru, która pośpiesznie wyjaśniła.

– No, poszła państwa poszukać. Bo też zginęliście!

Pan z zebrania chyba pogubił się, kogo w końcu szukają, bo popatrzył bezradnie to na zebranych, to w okno i powiedział:

– Zginęły słupki, i pani z administracji. A może to pani z rady osiedla zginęła razem ze słupkami? Może ta z budynku obok to zorganizowała? Nie uważacie państwo, że to bardzo dziwne? Tak szybko poszło i pani z administracji nic nie widziała? Poszła po kawę i hops, słupków nie ma! Dlatego tak chciała uczestniczyć w tej akcji! To jest zмова złodzieja ze spółdzielnią! Mówię państwu! To jest jeden wielki przekręt! Tu już się jeden bandyta kręcił! To jest robota zorganizowanej szajki, na czele której stanęła ta wiedźma z naprzeciwnika!

Pani z parteru chciała uściślić, że to nie pani z administracji poszła po kawę, ale nie zdążyła, bo w tej samej chwili ktoś rzucił kamieniem w balkonowe okno. Szybko się nie stłukła, ale komitet poderwał się na równe nogi. Pan z zebrania wspominał coś o zamachu. Pod balkonem stała pani z administracji i z wypiekami na twarzy kwiczała:

– Znalazłam słupki! Znalazłam słupki!!!

17 stycznia, wtorek

Afera słupkowa była od rana omawiana w pralni.

– Okazało się – mówiła Roksana do klientki, która z przejęciem słuchała – że słupki kradł cieć z cieciovą z sąsiedniej administracji. To ci od tego budynku w paski, który wygląda jak tort kawowy. Im ktoś ukradł całe ogrodzenie i to na dzień przed tym, gdy postawiono to nasze. Ciec podpatrzył i uznał, że to są te ukradzione. Poszedł do naszej administracji, ale go wyśmiali. To sam zaczął kraść. Co wieczór on i jego żona podkradali się i zabierali po dwa słupki. Więcej nie dali rady, bo to przecież ciężkie.

– A dlaczego kradli tylko z tej jednej strony? – chciała wiedzieć słuchająca pani.

– A bo tam jest niedaleko odpływ z rynny, grunt wilgotny i łatwiej było obluźować i wyciągać. W innym miejscu nie daliby rady bez łopat.

– I co dalej robili z tymi słupkami? Przecież nie było ich nigdzie widać.

– Chowali w piwnicy. A potem ktoś je od nich odbierał. Mówią, że to był ktoś, kto tu mieszkał, i dlatego nie wzbudzał podejrzeń. Podobno jakaś mafia maczała w tym palce.

Słuchałam tego z zaciekawieniem. Z tego powodu spóźniłam się do pracy. One wiedziały więcej ode mnie!

Starkman na razie milczy. Wyraziłam swoje niezadowolenie jako Daria i spokojnie czekam. Ja jako ja – też spokojnie czekam, bo Marek ma wrócić z tej Kopenhagi w środę. Teraz na odmianę przepadł Dawid.

18 stycznia, środa

Ojciec przyszedł dziś do zakładu pogrzebowego, oficjalnie, żeby się ze mną rozmówić, ale tak naprawdę to do pani Danusi. Oznajmił, że chciałby ze mną porozmawiać na temat przyszłych losów pralni i już po chwili zniknął w prywatnej części zakładu, razem z właścicielką. O co mu może chodzić z tą przyszłością? Dowiem się dziś wieczorem. Dobrze, że przynajmniej odpuścił temat mojego zamążpójścia. Jacek się odezwał. Wrócił już z tych Stanów i chętnie się spotka. Zaprosiłam go na sobotę, mamy sporo do obgadania.

wieczorem

Ojciec wparował do mnie, niosąc telefon Roksany. Zainstalowany śmieszny dzwonek, który imituje kobiecy głos, omal nie przyprawił go o zawał. Informuje on, dzwonek, nie zawał, o nadchodzącym połączeniu i z każdym kolejnym impulsem coraz bardziej zniecierpliwiony przywołuje posiadacza telefonu, by odebrał. W końcu spokojny głos przechodzi w krzyk. Roksana zostawiła telefon w pralni. Ojciec segregował kwity. Omal apopleksji nie dostał, gdy nagle, tuż za jego plecami, rozległ się kobiecy głos, który mówił słodko:

– *Hej, to ja!*

Ojciec odwrócił się raptownie i połowa kwitów wylądowała na podłodze.

– Roksana, Emilka? To ty?

Telefon robił swoje:

– *Halo, to ja! Nie słyszysz, że cię wołam?! No rusz się wreszcie, to ja!*

Ojciec poszedł na zaplecze, sprawdził każdy zakamarek w pralni, nikogo nie znalazł i myślał już, że ma omamy. Zanim odkrył, że to telefon tak się z nim drażni, ciśnienie skoczyło mu do trzystu i przeklął wszystko, na czym świat stoi.

Może dlatego, gdy tylko przekroczył próg mojego mieszkania, zapowiedział, że musi komuś przekazać kierowanie pralnią. Stwierdził, że jest już za stary i że nie może pracować do śmierci. Nie rozumiem, po co była ta cała przemowa, w której co drugie zdanie powtarzał, że jemu też się coś od życia należy. Zgadzam się, niech korzysta. Ale dobrze wiem, że za tymi deklaracjami zwykle nic się nie kryje. Ojciec powtarza to samo od kilkunastu lat i wciąż, i nic z tego nie wynika. Nikomu nie powierzy kierowania pralnią, wiem to, bo jeszcze się nie narodził taki, któremu by ojciec w pełni zaufał. Nasza rozmowa zakończyła się jak zwykle moim potakiwaniem i jego podsumowaniem, że pora wreszcie coś postanowić. Amen.

19 stycznia, czwartek

Marek przyjechał do mnie do domu z bukietem i jak gdyby nigdy nic, zaczął mi opowiadać o cudach Kraju Karoliny. Zachowywał się tak, jakby rzeczywiście wyjechał i przez cały ten czas jego nieobecności nic się nie wydarzyło. Nie wytrzymałam i powiedziałam mu, że wiem o wszystkich jego kłamstwach, o tym, iż spotyka się z innymi kobietami i interesuje się nim policja. Marek z początku trochę się spłoszył, a potem powiedział mi, że wpakował się z głupoty w jakiś nie do końca czysty interes i dlatego policja go tropi. Uspokajał mnie, że kobiety nie mają z tym nic wspólnego, po prostu z głupoty zalogował się na portalu randkowym i sam nie wie, dlaczego i po co to zrobił.

– No wiesz, Roksana tyle o tym opowiada...

Było jednak w głosie Marka coś fałszywego. Czuję, że nie mówi mi prawdy. Poprosiłam, by przez jakiś czas nie przyjeżdżał do mnie, potrzebuję chwili na refleksję. Spakował więc większość swoich rzeczy i zapowiedział, że będzie u siebie. W to też mu nie uwierzyłam.

Do Darii na razie się nie odezwał. Może domyślił się, że to znowu ja.

Po jego wizycie zaczęłam się zastanawiać. Znów ogarnęły mnie wątpliwości, czy dobrze robię. Najgorsze w tym wszystkim jest jednak to, że już nigdy nie zdołam zaufać mu w pełni. Wolalabym chyba przekonać się, że jest oszustem, niż stale bić się z myślami, czy go nie krzywdzę. O, jakże łatwo powiedzieć sobie, że wszystko skończone, wykasować numer z telefonu i adres z poczty internetowej i udawać samej przed sobą, że ten człowiek nie obchodzi mnie już. Ale przy pierwszej okazji serce bezlitośnie przypomni, że miłość zapuszcza bardzo długie

korzenie.

22 stycznia, niedziela

Jacek nawiózł sporo zabawnych historii o kolegach psychiatrach i ich doświadczeniach. Opowiadał też, że gdy tylko przyjechał na miejsce, to prawie z marszu zagonili go do pracy. Zajmował się między innymi pewnym pacjentem, który twierdził uparcie, że jest agentem wywiadu i został niepotrzebnie zatrzymany. Podobno błąkał się po puszczy amazońskiej i powtarzał, że jest na tropie przemytników kobiet. Jacek się tym natychmiast zainteresował i poprosił pacjenta, aby wytłumaczył mu dokładniej, w czym rzecz, tym bardziej że facet mówił po polsku. Wtedy pacjent poprosił o kartkę i ołówek i po chwili zaczął rysować kółeczka. Jedno stało obok drugiego. Jacek, doświadczony psychiatra, poczekał, aż mężczyzna skończy rysować, i dopiero wtedy zapytał, co to jest. Mężczyzna popatrzył na niego ze zmarszczonym czołem i odparł:

– To jest moja teoria. Teoria kółek. Kółek w trybiku działalności przestępczej, którą tropię.

– A na czym ta teoria polega? – chciał wiedzieć Jacek.

Wtedy pacjent przyjrzał mu się krytycznie i powiedział:

– Przecież to jest dziecinnie proste! Każde kółko to firma. Jedno kółko pracuje na drugie, które pracuje na trzecie i tak dalej! Z czasem jest ich tak dużo, że wszystkie generują zysk, który przerzucają do następnej firmy, a w tej ostatniej kumulują się miliony! I za te miliony kupuje się kobiety!

Jacek powiedział, że to było fascynujące słuchać tego człowieka i patrzeć na niego. Widzieć, jak mu oczy płoną, gdy mówi o swojej wizji. Nie zdawał sobie sprawy, że plecie głupstwa. Dopiero gdy lekarz zapytał go, czym jest i jak się finansuje pierwsze kółeczko, facet zawahał się, ale odpowiedział:

– Pierwsze kółko zawsze finansuje się samo! To każdy głupi wie!

– To po co ty wyjeżdżałeś? – zapytałam Jacka. – Przekonać się, że wszyscy wariaci są wszędzie tacy sami?

Opowiedziałam Jackowi o ostatnich wydarzeniach. Nawet sama nie wiedziałam, że tyle się tego uzbierało. Ale spodobał mu się pomysł z udzielaniem porad, bo jego zdaniem można by było połączyć siły: kącik porad funkcjonowałby w pralni. Klienci zostawialiby swoje brudne ubrania i szli na „oczyszczającą” rozmowę. Tymi bardziej „zabrudzonymi” zajmowałby się Jacek. Gdyby problemy wymagały interwencji prawnej, włączałby się zaprzyjaźniony z nim mecenas. A tych, którzy mimo wszystko nie poradziliby sobie, oddawalibyśmy w ręce pani Danusi.

– A co zrobimy z Roksaną i Beatą? – zapytałam rozbawiona.

– Beaty nie znam – powiedział Jacek – a co do Roksany, to proponuję, aby ona prowadziła kącik rozrywkowy. Świetnie się do tego nadaje, z jej

temperamentem.

23 stycznia, poniedziałek

Od rana lało jak z cebra, śnieg z deszczem. Ojciec zabrał parasol, gdy szliśmy do kościoła. Udało mu się tym parasolem strącić jednej pani kapelusz z głowy, a gdy usiłował nasadzić go jej z powrotem, to niechcący odczepił jej sztuczny kok, który spadł na ziemię i wszyscy się przestraszyli, że to mysz. Na zakończenie mszy ksiądz proboszcz zachęcił wiernych, by odwiedzili księdza Rafała, który obchodzi tego dnia swoje trzydzieste piąte urodziny i z tego powodu wierni sprawili mu nowego ptaka. Poprzedni ptak przestał się ruszać. Chyba zdechł. Wszystkich chętnych do obejrzenia nowego ptaka księdza Rafała uprasza się o przyjęcie po obiedzie. Istnieje możliwość pogłaskania ptaszka, byle delikatnie.

Udałam się więc na plebanię, a tam okazało się, że pojawił się nowy lokator, a raczej lokatorka: Dusia. Dusia to papużka, młodziotka i trochę wystraszona, ale bardzo rezolutna. Każdego, kto chciał ją pogłaskać, dziobała w palec. Może kiedyś poznają się z Bolusiem i polubią. Nic dziwnego, że wychodzące z plebanii staruszki aż cmokały i mówiły następnym:

– Widziałam! Ksiądz Rafał ma teraz takiego pięknego ptaka!

24 stycznia, wtorek

Pan Pawełek właśnie ubierał jakiegoś gościa do trumny, kiedy inspektor Ugryż pojawił się w naszym biurze. Niestety, ubranie, które rodzina dostarczyła, okazało się za małe i pan Pawełek pocił się, żeby wcisnąć na nieboszczyka cokolwiek.

– Cholera, dla dziecka to jest czy co? – pieklił się pan Pawełek.

Tym razem policjant był po cywilnemu, poważny i skupiony na twarzy. Poprosił, żebyśmy usiedli, i od razu zaczął zadawać mi pytania naprowadzające.

– Czy zna pani niejakiego Janusza P., pseudonim Kazimierz?

Wzruszyłam ramionami. Skąd mogę to wiedzieć? Może i znam. Może to ten od Roksany, a może to kierowca autobusu albo znajomy innej sąsiadki, który mi się kłania. Co za głupie pytanie? Poza tym przecież o Kazimierzu Roksany rozmawialiśmy poprzednio na posterunku, więc dlaczego znów mnie o to pyta?

– Może ma pan jakąś podobiznę tego człowieka, to byłoby mi łatwiej udzielić precyzyjnej odpowiedzi – bąknęłam z sarkazmem. Ku mojemu zaskoczeniu policjant dysponował fotografią. Przedstawiała ona właśnie Kazimierza, znanego mi jako były przyjaciel Roksany, zaginiony ostatnio w Chile. – Znam go, to dawny lokator mojej sąsiadki. Z tego, co wiem, to przepadł gdzieś w Chile. Już mnie o to panowie pytali.

Policjant tylko pokiwał głową i odsunął zdjęcie na bok. Położył na biurku przede mną kolejne. To przedstawiało Dawida. Z niedowierzaniem popatrzyłam

na funkcjonariusza.

– Przecież to jeden z pańskich ludzi. Policjant, terrorysta, to jest chciałam powiedzieć anty, który mnie chronił. Ostatnio przepadł jak kamień w wodę, przynajmniej dla mnie. To pan powinien wiedzieć, gdzie on jest!

Policjant znów nic nie powiedział, tylko wymienił zdjęcia. Tym razem patrzył na mnie Marek. Zamilkłam i spojrzałam bezradnie na niego. Teraz policjant się odezwał:

– To Sebastian W., znany jako Starkman. Poszukujemy go już od dawna, ale jest niezwykle sprytny. Kolejny z nich... – tu policjant postukał w zdjęcie Dawida – ...to Ksawery M., przestępca, a nie policjant, a wszyscy oni w ciągu ostatnich miesięcy pojawiali się w pani otoczeniu.

– Kazimierz rzadko pojawiał się w moim otoczeniu! – zaprotestowałam. – Ale pozostali dwaj, owszem. Ale mnie nic nie zginęło i mogę mówić tylko o zawiedzionych nadziejach, więc nawet nie w kategorii oszustwa! – Pokręciłam głową.

Policjant oparł się rękami o biurko i zmarszczywszy brwi, spytał:

– A co może pani powiedzieć na temat teczki z dokumentami?

– Nic. Nie wiem, o jaką teczkę ani o jakie dokumenty chodzi. – Wzruszyłam ramionami. Wciąż nie mogłam uwierzyć, że w ciągu ostatnich tygodni poznałam tylu przestępców. – Czy może mi pan wyjaśnić, w czym rzecz? Może wtedy będę bardziej pomocna? – dodałam na zachętę.

Policjant westchnął ciężko i powiedział po dłuższym namyśle.

– Dobrze, ale nie tutaj. Umówmy się na komisariacie, dajmy na to, w piątek po południu.

– Dobrze – zgodziłam się i oboje wstaliśmy.

Odprowadziłam funkcjonariusza do drzwi, a tam on się odwrócił i powiedział:

– I bardzo panią proszę, zanim wejdzie pani z kimś w bliższą relację, niech go pani sprawdzi w kartach!

– Co ma pan na myśli? – spytałam urażona.

Policjant uśmiechnął się krzywo.

– Na przykład ginące słupki od ogrodzenia i płyty chodnikowe.

– Przepraszam bardzo! – zaprotestowałam. – W sprawie słupków interweniowała cała wspólnota i one się w końcu odnalazły! A o płytach chodnikowych nic nie wiem!

Policjant zaplótł palce i popatrzył na mnie spode łba.

– No właśnie. Oni je kradli, a wyście się ucieszyli, że dwa słupki się odnalazły, i nikt nie zwrócił uwagi, że zniknął cały odcinek chodnika.

– A po co oni kradli ten chodnik? – zapytałam. – Przecież teraz wszędzie kładzie się kostkę brukową. Płyty chodnikowe to przeżytek! No

i co to ma wspólnego z moimi relacjami?!

– No właśnie – pokiwał głową policjant. – Każdy myślał tak samo. Po co komu kilka słupków, po co komu płyty chodnikowe. Co można zrobić z taką kostką? Co najwyżej wybić komuś okno lub przywalić w głowę. A płyty są ciężkie i co najważniejsze, szerokie. Nie mogę pani jeszcze nic powiedzieć, sprawa jest rozwojowa, ale wszystko kręci się wokół pani!

Brzmiało to jak skrajny idiotyzm, ale skoro policja tak twierdzi?... Wciąż nie rozumiałam jednak, po jakie licho Marek miałby w tej sytuacji związywać się ze mną? Bo przed domem biegnie chodnik ułożony z płyt i on chciał je ukraść? To takie ceregiele urządzał z przeprowadzką i ze wszystkim? Nie mógł po prostu przyjechać któreś nocy i zabrać? A Dawid? Też na te słupki tak leciał?

Ale inspektor Ugryź pożegnał się i wyszedł, nie mówiąc już ani słowa. Musiałam zatem uzbroić się w cierpliwość i poczekać do piątku.

25 stycznia, środa

Babcia Jurka złapała mnie za rękaw, gdy schodziłam po schodach, było rano, szłam właśnie do pracy.

– Twój mąż przyjechał! – oznajmiła wesoło.

Zaskoczyła mnie do tego stopnia, że weszłam za nią do mieszkania Jurka. Tam, przy stole, siedział wystrojony jak stróż w Boże Ciało nie kto inny, tylko rolnik z Białostoczczyzny. Gdy mnie zobaczył, klepnął rękami w uda, wstał i powiedział dobitnie:

– No, to kochana, jedziemy!

– Dokąd? – zapytałam zdumiona.

Rolnik zmarszczył brwi i zrobił taki gest, jakby chciał mnie zagarnąć sierpem.

– Na gospodarstwo! A gdzie niby? W niedzielę da się księdzu na zapowiedzi i się chajtniem!

Tak mnie to zszokowało, że nie zauważyłam nawet, gdy w drzwiach stanął ktoś nowy.

– O, to ładne rzeczy tu, widzę, się wyprawia! – ryknął za plecami znajomy głos. – Nie jeden, a dwóch!

Odwróciłam się, w progu stał Bracik i machał rękami. Byłam zupełnie skołowana. Babcia Jurka każdego z obu panów tytułowała moim mężem, co sprawiło, że zaczęli spierać się między sobą, który ma większe prawo do tego miana.

Na szczęście po chwili pojawił się Jurek. W Braciku rozpoznał owego wydawcę, z którym poznał go ksiądz Rafał, zaś rolnik szukał mojego ojca, ale trafił na babcię Jurka. Przyjechał w konkury, jak się wyraził, ale rezygnuje, bo tu istna „sodomia i gomoria”!

Trzasnął drzwiami i tyle go widziałam. Ja również czym prędzej wyszłam.
26 stycznia, czwartek

Jurek powiedział mi, że Bracik uspokoił się po moim wyjściu. W gruncie rzeczy to przyzwoity człowiek, tylko trochę nerwowy. Jurek ostatecznie go do mnie zniechęcił, mówiąc, że ja standardowo umawiam się z kilkoma mężczyznami naraz, a bywa, że i z kobietami. No cóż, grunt, że to Jurek będzie z nim współpracował, ja nie muszę.

Zaprosiłam Jacka, Jurka i Roksanę na sobotę do mnie, może uda mi się coś wyciągnąć od inspektora Ugryzia, wtedy wszystko sobie obgadamy.

Pan Przemek zatelefonował dziś ze wstrząsającą informacją, że zerwał z Hortensją. Nakrył ją, zdaje się, na gorącym uczynku, gdy zabawiała się z innym mężczyzną. Pomyliły mu się daty i pojechał do niej w ten weekend, zamiast w następny. W domu jej nie zastał, telefon nie odpowiadał, więc zapytał sąsiada. A ten bez wahania wskazał sąsiedni dom. Pan Przemek zapukał, nikt nie odpowiedział, ale drzwi nie były domknięte, a z wnętrza dochodziły dziwne odgłosy, jakby jęki, stękania i wydawało mu się, że ktoś się z kimś mociuje, więc wszedł do środka. I tam zobaczył swoją Hortensję w niedwuznacznej pozie z zupełnie obcym facetem.

Potem okazało się, że pani Hortensja utrzymywała kontakt z kilkoma takimi panami Przemkami, każdemu opowiadając inną historię. Imiona też miała różne. Całkiem nieźle jej się żyło dzięki temu.

No cóż, karty nie widziały ich razem...

27 stycznia, piątek

W pracy nic konkretnego. Beata przyprowadziła swoją znajomą, która od dobrych kilku lat stara się znaleźć odpowiedniego partnera i ułożyć sobie życie. Nic łatwiejszego, powiedziałyby każdy, lecz w jej przypadku desperacja była tak wielka, że niszczyła wszystko, zanim na dobre się zaczęło. Teraz też niewiele się zmieniło, tym razem poznała przez internet jakiegoś oszusta, który mając ją obietnicami o rychłym związku, wprowadził się do jej domu, zamontował na jej komputerze program szpiegowski i wkrótce pozbawił większej części oszczędności. Po kilkumiesięcznej obecności w jej życiu wyparował. Znikł z dnia na dzień. Jak brzmiało pytanie klientki do moich kart? Czy opamięta się i wróci, bo ona już mu przebaczyła.

Partner docelowy. Kto to taki? Czy w ogóle istnieje taka kategoria? Czy mamy w życiu do czynienia z Przeznaczeniem, które wcześniej czy później zetknie nas ze sobą? Czym jest Przeznaczenie? Czy to z góry napisany scenariusz lub wiele scenariuszy, które odgrywamy w życiu, nawet nie zdając sobie z tego sprawy? Oto najczęściej zadawane pytania. Jak na nie odpowiadać?

Zastanawiające jest to, że szukając tego jednego jedyne (czy odpowiednio tej jednej jedynej), bazujemy na własnym wyobrażeniu tej osoby, marzeniu, wizji, którą staramy się dojrzeć w pojawiających się sukcesywnie kandydatach. Od czego się zaczyna? On: ma niebieskie oczy i blond włosy, ale niestety nie posiada orlego nosa, a ja takie uwielbiam. Szukam dalej. Ona: niby ładna, niby dobra, ale za niska. Koledzy mnie wyśmiejają, że noszę ją w kieszeni. Po kilku latach, gdy jakoś ten wymarzony ideał nie pojawia się w polu widzenia, przychodzi refleksja: nie musi być wysokim, wysportowanym brunetem, wystarczy, że będzie dobrze zarabiał. Nie musi być młoda ani inteligentna, wystarczy, by miała zgrabne nogi.

Znów upływa czas, kolejne kandydatki i kandydaci nie spełniają oczekiwań, wówczas katalog wymagań ogranicza się do krótkiego: żeby to był ktoś przyzwoity, dobry dla mnie, odpowiedni, żeby już nie trzeba było szukać. Partner docelowy. No cóż. Ja także żyję wyobrażeniami. Nie różnię się od innych osób, chociaż mam dostęp do wiedzy dla niektórych nieosiągalnej. Cóż z tego, skoro na własny użytek nie umiem z niej skorzystać. Byłam przekonana, że Marek to ten jeden, jedyne, wymarzony i tak długo wyczekiwany. Tymczasem był on przeze mnie tak długo wyczekiwany, że gdy się wreszcie pojawił, sama domalowałam mu „gębę” odpowiedniego dla mnie człowieka. Wyobraziłam sobie, że jest taki to a taki, i zawzięcie, i z uporem chciałam wierzyć w to wyobrażenie, ponieważ kolejna porażka wpędziłaby mnie w depresję i mocno sfrustrowała.

Po raz kolejny zostałam zmuszona, przez życie – a jakże – do przemyślenia jednej z prawd. Jakże oczywistych i prostych. Ludzie są jacy są. Powinniśmy akceptować ich takimi, jacy są. Jeśli jakakolwiek cecha czy skłonność nam nie odpowiada, nie decydujemy się. Przekonanie: on się zmieni przy mnie, ona się uspokoi, gdy zaczniemy być razem, nie musi, ale może – i często doprowadza do katastrofy. Ludzie, owszem, zmieniają się, ale tylko wówczas, gdy sami tego chcą. Gdy tego nie chcą, zmiany, które w nich nastąpią, najczęściej są niepożądane. To my sami uruchamiamy u naszych bliźnich „uśpione” wcześniej skłonności. Uwypuklamy je, szlifujemy lub wyciągamy na światło dzienne.

Irytujące dla mnie było zawsze pytanie: kiedy wreszcie stanie na mojej drodze człowiek, który będzie mnie kochał do szaleństwa i będzie przyzwoity, przy którym spokojnie osiadę niczym statek w porcie? Który nie będzie mnie wykorzystywał ani mi dokuczał. A gdzie refleksja, dlaczego dokucza? Dlaczego wykorzystuje? Dlaczego jest niedobry? Kto mu na to pozwolił? Jak do tego doszło? Był taki od początku? To po co było angażować się w taką relację?

Dlaczego to pytanie jest irytujące? Bo zakłada, że owa poszukująca osoba jest lepsza od innych. Doskonała, idealna, tylko miała pecha w życiu, bo trafiały jej się same łobuzy.

Kiedy spotkam kobietę, która będzie dobra, wyrozumiała i nie zacznie od pierwszego tygodnia znajomości na mnie pasożytować, pytają klienci. Pewnie

nigdy, bo nawet największy ideał, sprowokowany lub zachęcony do robienia czegoś, czego wcześniej nie robił, chętnie zacznie. Okazja czyni złodzieja, sprzyjające warunki uwypuklają w nas to, co do tej pory nie miało szans urosnąć.

Sama sobie to wszystko uświadomiłam, po raz nie wiem który. Może jednak przyczyna tkwi we mnie? Może to ja się nie nadaję na partnerkę? Może nie umiem szukać? Chyba napiszę o tym książkę.

29 stycznia, niedziela

Zebraliśmy się wszyscy razem u mnie w domu. Herbata płynęła strumieniem, ciasto znikало jak kamfora. Przyjaciele byli ciekawi historii, więc zaprosiłam całe grono w jednym czasie, żeby się nie powtarzać. Przybyli: ksiądz Rafał, już po sobotnim spotkaniu, podczas którego każdy znów chciał zobaczyć jego ptaszka, Jacek i Jurek. Mój ojciec i pani Danusia odmówili udziału w tym posiedzeniu, wybierając kino. Roksana, jak zwykle, się spóźniła, Beata miała do nas dołączyć lada chwila, natomiast pan Pawełek i Mateusz, którym obowiązki zawodowe nie pozwoliły przyjść, słuchali przez telefon. Pani Zosia oświadczyła, że nie musi przychodzić, bo przywoła wizję i pokaże ją Rysiowi. Pan Przemek oświadczył, że to jakaś wymyślona bzdura i nie będzie tracił czasu.

– A zaczęło się wszystko od portali internetowych dla samotnych. Pamiętacie, szukałam tam towarzysza na dobre i na złe – zaczęłam snuć opowieść. Bolek usiadł mi na ramieniu i energicznie kiwał łebkiem, by potwierdzić, że to, co mówię, to sama prawda. – Otóż na tym portalu swoje ogłoszenia zamieszczali także oszuści matrymonialni. Ich proceder polegał na tym, że komunikowali się oni z kobietami i starali wydobyć od nich jak najwięcej informacji. Często logowali się pod różnymi pseudonimami i w ten sposób uzyskiwali jeszcze więcej danych.

– Sprytne – wtrącił Jacek. – Często zastanawia mnie, dlaczego kobiety tak łatwo opowiadają o sobie, nawet najintymniejsze szczegóły zdradzają człowiekowi, który jest im zupełnie obcy.

– Otóż to! Przesadna szczerosc tam, gdzie nie jest ona wskazana! – dopowiedział ksiądz Rafał.

– Zatem zbierali sobie informacje i na ich podstawie typowali kobiety bardziej zdesperowane lub naiwne od innych, ale koniecznie zamożne – ciągnęłam opowieść. – Kolejny krok to było spotkanie. Wtedy weryfikowali, czy istotnie mają do czynienia z osobą łatwowierną i majątną. Jeśli ich przypuszczenia się potwierdzały, zaczynali udawać zamożnych biznesmenów, lekarzy, architektów lub kogoś innego, a kogo – to podpowiadała im sama ofiara. Opowiadali różne historie, że przeszli traumę w dzieciństwie, że przeżyli śmierć osoby najbliższej, że zostali porzuceni, skrzywdzeni i tym podobne. Zwykle ich życiorysy były bardzo romantyczne i w wielu kobietach rodziła się wręcz potrzeba, aby się takim wrażliwym i skrzywdzonym przez los mężczyzną zaopiekować.

– Matko jedyna! – Wzniósł oczy do nieba ksiądz Rafał. – Jak tak można!

– Można, można! – odpowiedział mu Bolek.

– Naturalnie, aby uwiarygodnić cały scenariusz, panowie wyglądali elegancko, pięknie pachnieli oraz dysponowali lokalem, który pełnił funkcję mieszkania kawalera.

– No dobrze, ale po co im to było? Okradali te kobiety czy jak? I jakie kryterium stosowali? Wiek? – chciał wiedzieć Jacek.

Równocześnie on i ksiądz Rafał sięgnęli po ostatni kawałek ciasta i zderzyli się dłońmi tuż nad talerzem. Więcej ciasta nie miałam, nasypałam więc krakersów.

– Niekoniecznie wiek, raczej naiwność i pieniądze były najważniejsze. A te, można powiedzieć, wyciągali stopniowo – kontynuowałam. – Prosili o małe kwoty, potem większe, czasem zwracali, żeby uspić czujność ofiar. Ten proceder zwykle trwał przez jakiś czas. Gdy ofiara nabierała do nich zaufania, znali już PIN do konta i szyfr do sejfu.

Krakersy też znikły, wyjęłam więc z lodówki słoik z kiszoną kapustą, nie chciało mi się teraz biec do sklepu. Jurek, dotychczas milczący, parsknął śmiechem. Tymczasem ksiądz Rafał natychmiast zainteresował się słoikiem.

– No dobrze, a gdzie tu Marek? – zapytał Jacek. – I co się stało, że zrezygnował? Czyżby okazało się, że jesteś za mało majątna?

– A te listy, które pisałaś? Jego znajomi? Wszystko to była mistyfikacja? – wtrącił się Jurek.

Westchnęłam ciężko, a Bolek pocałował mnie milion razy.

– To najprawdopodobniej też był element planu, choć do końca tego nie wiem. Z całą pewnością okłamał rodzinę i do Londynu uciekał przed oszukaną kobietą, a nie przed zaborczą modliszką. Moje listy przydały mu się w korespondencji z kobietami, wykorzystał ich treść. Potem być może trochę mu się spodobałam, no i zorientował się, że nie jestem bogata, więc nie okradł mnie – powiedziałam smutno. – Ale pewne jest, że mnie też oszukiwał i przeprowadził się do mnie właśnie dlatego, że potrzebne było mieszkanie dla kolejnego oszusta, który i tak przez cały czas tam mieszkał. W tym zamkniętym na cztery spusty pokoju. Jak pomyślę, że mógł nas podsłuchiwać, to ciarki przechodzą mi po plecach.

Policja twierdzi, że Marek zadał się później z żoną kogoś ważnego z półświatka. Kobieta była niedyskretna, wygadała przyjaciółce, że poznała fajnego gościa i świetnego kochanka, a ta opowiedziała o wszystkim swojemu mężowi. To był ten od purchla na nosie. Wzięli Marka na celownik, zaczęli go szantażować, usiłowali go do czegoś namówić i prawie im się udało, kiedy nieoczekiwanie ja się wpłatałam. Marek pojawił się tam w towarzystwie tej kobiety przekonany, że będą sami. Gdy zobaczył faceta z purchlem, zorientował się, że to pułapka, ale było już za późno, by uciekać. Zgodził się współpracować z nimi. Zupełnie nieświadomie

pomogłam mu. Zrobiłam zdjęcie facjaty tego typu z willi, a to był przestępca, który bardzo starannie się ukrywał przed policją.

– Raczej mało starannie, skoro tak łatwo zrobiłaś mu zdjęcie! – wtrącił się Jurek.

– Niby tak, ale może nie przewidzieli, że będę się skradać za Markiem. – Pokiwałam głową. – W tej willi Marek miał schadzkę z jego żoną, przestępca czekał na nich, bo chciał ich zaskoczyć i korzystając z okazji, zmusić Marka do współpracy, a tymczasem to ja go zaskoczyłam. Wystraszył się, że ktoś chce go zrobić i rozpoczął wojnę z tymi, co go wynajęli. Wówczas okazało się, że Marek zdążył wyciągnąć od swojej flamy nie tylko pieniądze, ale też jakieś bardzo ważne i dużo warte dokumenty. Zawiózł je do swojego mieszkania i zostawił na stole, przekonany, że będą tam bezpieczne. Później, zapewne przez zwykłe zapomnienie, odłożył na stół zakupy, czyli mięso na obiad. Zupełnie o tym zapomniał i mięso się zepsuło. Kiedy się tam pojawiłam, odruchowo zgarnęłam wszystko do śmieci. Nie patrzyłam nawet, co za papiery leżą pod tym świństwem. Mafia zaczęła więc przypuszczać, że Marek i ja działamy wspólnie, stanowimy nową konkurencję. Wysłali draba z purchlem na negocjacje, ale Roksana go pogoniła. Potem policja zaczęła deptać im po piętach i bali się, że ktoś z nas może puścić farbę. Marek na ten czas zniknął, nie wiadomo dokładnie, gdzie się podział, a zamiar mojego porwania udaremnił Synek. Zbiry podesłały mi więc Dawida. Dawid miał się zorientować w sytuacji. Znalazł podobno w domu u mnie jakieś papiery, które mogły się przydać, i zostawił je w teczce, w zamkniętym samochodzie należącym do jednego faceta. Do samochodu ktoś się zaraz potem włamał, ale były to zwykłe oprychy. A facet, właściciel auta, który miał te papiery przekazać szefowi Dawida, wpadł w panikę i jak ostatni osioł przyszedł pytać mnie, gdzie one są. Podobno jest uzależniony od wrózek. Cały majątek już na nie przepuścił. Gdy usłyszał potem, że ma jechać na grzyby, zrozumiał, że sprawa jest zakończona, ucieszył się i podobno naprawdę pojechał do lasu.

– A Kazimierz? Dlaczego policja też cię o niego wypytywała?

– Kazimierz też w tym uczestniczył. Zupełny zbieg okoliczności, dlatego bał się wychodzić z domu, nie chciał, żeby ktoś się zorientował, że on i Marek się znają. Czekał, aż sprawa się trochę wyklaruje. Ale i tak okradł przecież Roksana. Właśnie, gdzie jest Roksana? – Wszyscy rozejrzeli się po pokoju, jakby Roksana mogła znajdować się gdzieś w kącie. – Powinna już tu być!

Dochodziła ósma. O tej porze pralnia była już dawno zamknięta. Roksana nie chwaliła się, że jest dziś z kimś umówiona, co więcej, wiedziała, że się spotykamy i będzie omawiana cała sprawa. Bardzo ją to ciekawiło, zatem jej nieobecność była co najmniej niezrozumiała. Gdy już miałam podzielić się swoimi wątpliwościami z obecnym gronem, ktoś energicznie zapukał do drzwi. Bolek radośnie zaprosił do środka, wykrzykując: „Kto tam?”.

Ale w drzwiach pojawiła się nie Roksana, lecz Beata. Wkroczyła dziarsko do pokoju i oznajmiła:

– Czołem wszystkim! Kupiłam komplet szpilek z nićmi i postanowiłam, że założymy pracownię krawiecką! Co wy na to?

Ksiądz Rafał zastygł z kapustą w ustach i wyglądał teraz jak Święty Mikołaj w żałobie. Jurek zakrztusił się herbatą, Bolek prychnął, a Jacek przyjrzał uważniej Beacie.

– Pani Monika? Monika Krechowicka? A co pani tu robi? Dlaczego pani nie jest na oddziale w łóżku? – zapytał surowym tonem.

30 stycznia, poniedziałek

Beata, która okazała się Moniką, w dodatku jedną z pacjentek Jacka, trafiła wczoraj z powrotem na oddział. Okazało się, że sfalszowała podpis Jacka pod przepustką wielokrotnego użytku, i dzięki temu, że nikt dokładnie tego nie zweryfikował, mogła spokojnie prowadzić podwójne życie. Może właśnie to, że cierpi na schizofrenię maniakalno-paranoidalną, sprawiło, że podsuwała nam wszystkim tak genialne pomysły? Trochę szkoda, ale zdaniem Jacka taka ekscytacja związana z pracą, a tym bardziej z tak kontrowersyjnym miejscem pracy, na dłuższą metę jej nie posłuży. Świat się kończy. Nikt nie jest tym, za kogo się podaje. A może ja także jestem wymyślona? Może ja także nie istnieję?

wieczorem

Proszula i Kołatek na posterunku. Pytania padały głównie od kobiet:

Czy on mnie jeszcze kocha, bo dziś dostałam tylko piętnaście róż, a w zeszłym roku było ich pięćdziesiąt?

Czy mój mąż ma kochankę? Bo kupił mi na walentynki prezent, a nigdy wcześniej tego nie robił! Ile jesteśmy po ślubie? Dwa miesiące...

Czy mój chłopak zaskoczy mnie czymś na walentynki? Bo wczoraj, gdy nie widział, przejrzałam jego telefon, komputer i teczkę, w której nosi dokumenty, i nic nie znalazłam!

Ale równie dużo było telefonów, na przykład:

Wiem, że on mnie kocha, ale proszę mi to powiedzieć, bo wtedy cieszę się jeszcze bardziej!

Uwielbiam go, czy karty to potwierdzają?

Mężczyźni byli bardziej powściągliwi i bardziej pragmatyczni. Pytali dziś:

Czy znajomy menedżer restauracji załatwi ten obiecany stolik w lokalu?

Czy żona wybaczy mu zdradę, gdy padnie przed nią (przed dziewczyną, nie przed zdradą) na kolana z bukietem róż?

Czy dziewczyna roześmieje się, gdy on się przed nią rozbierze?

Czy pogoda się utrzyma, bo zaplanował świętowanie rocznicy ślubu

w plenerze.

To prawda, co powiedział mi później Jacek – wyobrażenie zastępuje nam rzeczywistość. Pragnienie, by życie toczyło się wedle naszych oczekiwań, zastępuje zdrowy rozsadek. Przekonanie, że nadmierna liczba wymagań, zobowiązania i szczerść to ograniczenia dla związku, przyczynia się tylko i wyłącznie do wzrostu braku odpowiedzialności, nieuczciwości, manipulacji i egoizmu. Wszystko, co przychodzi łatwo, szybko i bez wysiłku, ma znikomą wartość, a jednak częściej sięgamy właśnie po takie zdobycze, nie zastanawiając się, dlaczego akurat nam trafiło się takie szczęście.

Ufamy doradcom, którzy największe tajemnice i złote środki sprzedają za bezcen, oraz wbrew wszystkim znakom na niebie i ziemi objawionym wierzymy, że prawda jest inna. Angażujemy się w szukanie jej wersji, zapominając, że wersje prawd to nie prawdy. A potem zgłaszamy pretensje do Losu i doszukujemy się winy we wszystkich i we wszystkim, tylko nie w nas samych.

Starkman nie odezwał się już do Darii. Pewnie ani jego, ani Dawida więcej nie spotkam, czego nawet nie żałuję. Zabawne, jak wiele może się przytrafić jednej osobie w ciągu zaledwie kilku miesięcy. Jeszcze nie tak dawno snułam plany, w których widziałam siebie i Marka siedzących w bujanych fotelach, okrytych pledami, z termoformami pod pupą, których obsługuje gromada wnuków. Teraz wiem, że jestem dopiero na początku tej drogi i nie mam nawet mglistego wyobrażenia, jak ona będzie wyglądać dalej.

Pan Przemek postanowił pojechać w podróż dookoła świata. Może kogoś tam pozna. A mój ojciec oświadczył dziś podczas obiadu, że on i pani Danusia pobierają się. Przyjęłam to ze spokojem. Przynajmniej on jeden osiągnie swój cel i połączy imperium pralnicze z imperium pogrzebowym.

A Roksana? Zajęta kolejnym kandydatem na kandydata... oczywiście poznanym na portalu randkowym przez internet.

Copyright for the Polish Edition

© 2017 Edipresse Polska SA

Copyright for text © 2017 Ewa Zdunek

Edipresse Polska SA

ul. Wiejska 19

00-480 Warszawa

Dyrektor ds. książek: Iga Rembiszewska

Redaktor inicjujący: Natalia Gowin

Produkcja: Klaudia Lis

Marketing i promocja: Renata Bogiel-Mikołajczyk

Digital i projekty specjalne: Katarzyna Domańska

Dystrybucja i sprzedaż: Izabela Łazicka (tel. 22 584 23 51), Beata Trochonowicz (tel. 22 584 25 73),

Andrzej Kosiński (tel. 22 584 24 43)

Redakcja: Ita Turowicz

Korekta: Jolanta Kucharska, Bogusława Jędrasik, Anna Parcheta

Projekt okładki: Izabella Marcinowska

Zdjęcie na okładce: Luba V Nel/Shutterstock.com

Skład i łamanie: Studio „EUREKA”

Biuro Obsługi Klienta

www.hitsalonik.pl

mail: bok@edipresse.pl

tel.: 22 584 22 22

(pon.-pt. w godz. 8:00-17:00)

www.facebook.com/edipresseksiazki

ISBN 978-83-7945-759-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kodowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych w całości lub w części tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw autorskich.

